Ernest Haycox

Droga przez kanion

(Canyon Passage)

Pierwsze wydanie: The Saturday Evening Post, 12 January - 3 March 1945
Pierwsze wydanie książkowe: Little, Brown and Company, Boston, 1945

Rozdział I
W American Exchange

Zaraz po wjeździe do Portland, Logan Stuart zostawił konia w stajni Fashion Livery on Oak i ruszył Front Street w kierunku biura bankowego. Gwałtowny, południowo-zachodni wiatr przetaczał nisko po niebie poszarpane, czarne chmury, a ciężkie krople ulewnego deszczu tworzyły wokół niego ze wszystkich stron, srebrzystą, ukośną zasłonę, wyrzucając w górę z ulicy wodniste błoto i tańcząc kryształowy taniec na błyszczących od wody dachach. Chodniki z desek, służące do przejścia przez ulice na skrzyżowaniach, na wpół unosiły się na wodzie i zapadały się pod jego ciężarem, kiedy z nich korzystał; w taki dzień, lampy naftowe iskrzyły się za zalanymi wodą szybami już o drugiej po południu, zaś zapach wylewający się z saloonów, gdy przechodził koło nich, tworzył intensywną, ciepłą mieszaninę tytoniu, whisky i przemoczonych wełnianych ubrań ludzi.

Przy pomoście portu rzecznego stały trzy lub cztery statki żaglowe, a ich nagie drzewca wznosiły się ponad rzędem drewnianych budynków przy Front. Za Siódmą, w przeciwnym kierunku, wielki las jodłowy tworzył czarny półokrąg, mocno przyciskający tysiąc mieszkańców Portland do rzeki. Zapasy gontów na sprzedaż, skrzypiały na żelaznych wspornikach, a wokół Logana Stuarta wszędzie unosił się surowy, zapach dzikich terenów - ogromnych, porośniętych lasem wzgórz i dolin - który deszcz czynił takim intensywnym. Gdy skręcił do biura bankowego, zobaczył przed sobą krępą postać, niewyraźną w tym niespokojnym półmroku, która gwałtownie wytoczyła się przed nim z drzwi saloonu. W tej samej chwili przejechał po Front Street czterokonny wóz, którego wielkie koła zanurzały się na wpół do osi; i wśród przekleństw woźnicy, wygłaszanych z wielką werwą, natychmiast zniknął za nieustanną kurtyną deszczu.

Gdy drzwi zamknęły się za Loganem Stuartem, w biurze bankowym zrobiło się ciepło i cicho. Rzucił swoje juczne torby na ladę i patrzył, jak młody mężczyzna o suchym, chłodnym wyrazie twarzy, wstaje i do niej podchodzi. Młody człowiek, Cornelius van Houten, nosił parę okularów w stalowych oprawkach, w których szkłach odbijało się żółte światło lampy.

— Mokry dzień — zauważył van Houten. — Jak tam Jacksonville?

— Jakoś się kręci — odparł Stuart i otworzył juczne torby, kładąc na blacie tuzin woreczków złota, mocno wypełnionych samorodkami i pyłem. Z zaciśniętym sznurkiem na końcu każdego z nich wyglądały jak tłuste letnie kiełbaski.

— Dopisać do konta? — spytał van Houten.

— Wymienię na złote monety. W kopalniach brakuje nam pieniędzy. O której otwierasz rano?

— Jutro jest niedziela.

— Wsadź monety do jucznych toreb. Zabiorę je dziś przed zamknięciem i przechowam w moim pokoju hotelowym.

— Szacuję, że masz tu jakieś siedem tysięcy - a to nie jest drobiazg, który można zostawić bez nadzoru w pokoju hotelowym.

— Corneliusie — oznajmił Stuart z uśmiechem, który przełamał szorstką rezerwę na jego twarzy — złoto to tylko żółty żwir.

— Acha — stwierdził van Houten, niby to zgadzając się z nim. — Ale ten żółty kolor robi różnicę.

— Masło też jest żółte i można nim smarować chleb. Próbowałeś kiedyś tego ze złotem?

— Jak na człowieka interesu — skomentował van Houten, — masz bardzo dziwne refleksje. Gdybym był bankierem, a kiedyś nim będę, uznałbym, że nie jesteś zdrowy na umyśle i nie pożyczyłbym ci nawet grosza.

— Każdy człowiek może sam wybrać sobie swoich bogów, Corneliusie. Jacy są twoi bogowie?

— Co? — spytał van Houten.

Logan Stuart powrócił do swego rozbuchanego dnia.

Deszcz nasilił się do tego stopnia, że budynki po drugiej stronie ulicy rozmyły się na wpół zamglone w iskrzącej się ulewie, a kaskady wody rozpryskiwały się na chodniku, tryskając z przepełnionych rynien. Na środku ulicy stał jakiś człowiek z mokrymi wąsami przyklejonymi do policzków i patrzył, jak żółty strumień błota powoli przepływa wokół niego. Stuart skręcił do sklepu na rogu Alder, kupił sobie suche ubrania i dokonał kilku zakupów na rzecz rodziny Dance'ów zmierzającej drogą Oregon-Kalifornia, a następnie przeszedł po wąskiej desce przez Front Street i wszedł do salonu fryzjerskiego w pobliżu hotelu American Exchange.

Wykąpał się, ogolił i ostrzygł, po czym z zapalonym cygarem w zębach udał się do hotelu American Exchange, wynajął pokój i udał się do niego. Rozwiesił mokre ubranie na krześle, obszedł niespokojnie pokój dookoła i stanął przed jednym z dwóch okien w pomieszczeniu, by obserwować burzową ulicę w dole. Na górze, w rytm uderzeń wiatru, szczyt hotelowego dachu wydawał matowe odgłosy podobne do dźwięku organów. Z jednym ramieniem opartym o parapet zastygł w chwili bezruchu, która nie była dla niego zbyt charakterystyczna. Był człowiekiem zbudowanym z luźnych, prymitywnych i wytrzymałych części, jak maszyna przeznaczona do ciężkiej pracy; nie było w nim ani krzty delikatności czy też gładkości. Jego długie usta były wyraziste tylko wtedy, kiedy się uśmiechał, a ciężki nos nieco puchł u nasady, aby pomieścić szerokie nozdrza. Miał najczarniejsze włosy z czarnych, opadające na głowę w długich kosmykach; jego oczy były ostro szare i mocno osadzone w oczodołach - wszystko to tworzyło twarz, która nawet w stanie spokoju zawierała mieszane elementy smutku i silnego temperamentu. Tylko wtedy, gdy się rozjaśniała, widać było na niej pewne oznaki porywczości. Miał niecałe sześć stóp, długie ramiona i mięsiste nogi, a jego klatka piersiowa była

raczej szeroka niż gruba. W lewym kąciku ust miał bliznę w kształcie haczyka na ryby, wspomnienie po walce na pięści, której z ochotą oddawał się w młodości. Teraz, w wieku dwudziestu ośmiu lat, panował nad sobą już lepiej.

Wytrzymał w bezruchu tylko przez krótką chwilę i nagle odwrócił się od okna, wyszedł z pokoju i zszedł po schodach do saloonu, który przylegał do lobby American Exchange.

Znajomy, Henry McLane od razu go zauważył i zaprosił na drinka.

— Tak dla ochłody — powiedział Henry. — Jak tam sprawy w kopalni?

— Dużo się dzieje — odparł Logan Stuart i usłyszał chrapliwy gwizd parowca na rzece; to była Belle, wracająca z rejsu do Gór Kaskadowych. Zrobił sobie miejsce przy zatłoczonym barze, obok Henry'ego McLane'a, który zdjął swój przypominający rurę do pieca kapelusz i walnął w niego jak w bęben, aby zwrócić na siebie uwagę barmana. O piątej w tym zalanym wodą świecie nie było już naturalnego światła.

— Co Indianie mają zamiar zmalować w tym roku? — spytał Henry McLane.

— Jak dotąd jest spokojnie, ale bardzo niepewnie.

Sala barowa była o tej porze zatłoczona, zadymiona i radosna. Portland było nowym i małym miastem na słabo zbadanym północno-zachodnim wybrzeżu, dlatego Portland było nadal w dużej mierze miastem kawalerów przybyłych w poszukiwaniu szans biznesowych; zaś bar American Exchange służył im zarówno za klub, jak i za miejsce spotkań handlowych. Zebrali się tu typowi mieszkańcy nowych ziem: kapitan statku z dobrodusznymi bokobrodami i zimnymi jak lód oczyma; farmer wybrudzony błotnistymi drogami w głębi kraju; emigrant, o energicznym, dosadnym i serdecznym sposobie bycia, oraz głosie dostosowanym do głębokich kniei Oregonu i rozległych otwartych równin; i wreszcie mieszkaniec Nowej Anglii, bystry i chłodny, który przybył tutaj specjalnie aby uzyskać korzyści handlowe, jakie można było znaleźć w tym nowym kraju i który zamierzał je wykorzystać oraz zbić na nich fortunę. W rozmowach słychać było akcent ze wschodu, zmieszany z sposobem mówienia z Iowa, Missouri oraz miękką wymową z Wirginii.

— Logan — powiedział Henry McLane, — mam ładunek towarów z brygu Alice, który ma zostać dostarczony do Claya i Kinga w Jacksonville. Wyślę go statkiem Canemah do Salem. Chcesz się zająć dalszym przewozem? Różnego rodzaju narzędzia, parę zwojów sukna, wiadra, cynowe naczynia, liny.

— Ile będzie potrzeba mułów?

— Przypuszczam, że dwadzieścia. Jaka będzie opłata przewozowa?

— Trzy dolary za muła dziennie.

McLane zastanawiał się nad tym przez chwilę i skinął głową.

— Zgoda. Będzie w Salem dwudziestego, tego miesiąca.

Umowa została zawarta, Logan Stuart postawił drugą kolejkę drinków, po czym McLane wyszedł.

— Muszę sprawdzić, czy George Miller może zabrać ładunek okien w kierunku Gale's Creek.

— Okien - okien z szybami?

— Robimy się cywilizowani — stwierdził McLane i oddalił się, by złapać mężczyznę w zabłoconych butach, okrągłej futrzanej czapie i ogromnym wojskowym płaszczu. — George — zawołał przekrzykując panujące w saloonie zamieszanie. — George!

Lokal był wypełniony po brzegi. Logan Stuart przecisnął się przez tłum ludzi i okrążył grupę emigrantów pogrążoną we wspomnieniach ze szlaku. Pięciu czołowych biznesmenów z Portland siedziało przy stole pokerowym, mocno zaangażowanych w jakieś własne spekulacje biznesowe, a siedzący nieopodal kapitan statku był w środku kłótni z innym człowiekiem.

— Drewno w San Francisco sprzedaje się po niebotycznie drogiej cenie, a ty zarobisz krocie. Trzeba dać zarobić innym. Nie targuj się tak cholernie o fracht, przyjacielu, bo wypłynę stąd na balaście.

Po wyjściu z saloonu Logan Stuart zauważył, że Henry McLane znów siedzi przy barze i dobija jakiegoś kolejnego targu.

Podszedł do biurka urzędnika.

— Czy przybyła panna Lucy Overmire?

— W dziesiątce — odpowiedział urzędnik, — właśnie wysiadła ze statku z Gór Kaskadowych. Pytała o George'a Camrose'a.

Stuart wszedł po schodach, których czerwony pluszowy dywan był poplamiony świeżym błotem.

Skręcił w korytarz i stał przez chwilę pod jej drzwiami, z żywym zainteresowaniem przypominając sobie w myślach jej twarz; potem zapukał i usłyszał jej głos:

— Wejdź, George.

Kiedy otworzył drzwi, stała na środku pokoju z uśmiechem na twarzy. Był to jednak uśmiech przeznaczony dla Camrose'a, który natychmiast zmienił swój charakter. Coś z niego zniknęło, nie wiedział co; i coś się w nim pojawiło, też nie wiedział, co to było.

— George wiedział, że będę tutaj, i prosił mnie, żebym przywiózł cię do domu. Musiał nagle wyjechać w podróż do Crescent City.

— Nie będziesz miał nic przeciwko noszeniu mnie na rękach, Logan? — Potem zupełnie niespodziewanie wybuchła lekkim, swobodnym śmiechem. — To było głupie pytanie. Kobiety na rękach ci nie przeszkadzają.

— Kto wyrobił mi taką reputację? — zapytał.

— Pogłoska.

— Pogłoska autorstwa George’a Camrose’a — stwierdził. — Ten człowiek buduje swoją wierność moim kosztem. Masz mocne ubrania? Wyruszamy przed świtem, a pogoda jest paskudna.

— Dam sobie radę — odparła i patrzyła na niego z uśmiechem na ustach.

W jej oczach pojawił się oceniający blask, a na twarzy coś na kształt osądu - i to również było mu znajome. Znali się bardzo dobrze. Miała na sobie piękną, brązową suknię, a jej czarne włosy były delikatnie, lśniąco splecione z tyłu głowy. W swym stroju wyglądała na pełną i dojrzałą kobietę.

— Kolacja? — zaproponował.

Podeszła do lustra przy biurku, by obrzucić się szybkim spojrzeniem, po czym chwyciła przypominającą szal chustę i ruszyła za nim po

schodach do jadalni. Rozmowy wypełniały salę głośnym hałasem; przy kawalerskim stoliku pośrodku pomieszczenia Logan Stuart dostrzegł Henry'ego McLane'a, zaróżowionego i dostojnego w ruchach, po swoich biznesowych wycieczkach do baru.

Usiadła naprzeciw Stuarta, uprzejma i spokojna; była świadoma otoczenia i od czasu do czasu jej oczy okazywały ciekawość, a jakaś szelmowska myśl poruszała jej twarzą. Potem jej uwaga skupiła się na nim, ponownie z głębokim i dobrze strzeżonym zainteresowaniem. Czasami między nimi pojawiało się ciepło, silne i niepokojące, a wyraz jego twarzy wyostrzał się; w takich chwilach spokój jego twarzy rozpadał się, ustępując miejsca uśmiechniętemu niepokojowi. To właśnie wtedy przyglądała mu się najuważniej, próbując wyczytać coś z jego myśli.

— Jak tam minęła wizyta? — spytał. — Jak było w The Dalles?

— Spokojnie — odparła. — Ale, Logan, jest tam dużo bydła i koni, które zostały porzucone przez emigrantów, kiedy spływali w dół rzeki. Można je dostać za bardzo małe pieniądze. Być może opłacałoby się je kupić i przewieźć do południowego Oregonu.

— Widziałaś jakieś muły?

Siedziała nieruchomo, próbując sobie przypomnieć, a on natychmiast dostrzegł w tym bezruchu coś, co mocno go poruszyło.

— Nie — odparła. Zauważyła jednak zmianę w jego wyrazie twarzy i jej czujność znów wzrosła. Zjedli posiłek w milczeniu i ruszyli po schodach. Podszedł z nią do drzwi i zatrzymał się na chwilę.

— O piątej — powiedział. — Ubierz się ciepło. Pierwszego dnia dojedziemy do Salem, a drugiego do czoła Long Toma. Powinniśmy być w Jacksonville w piątek po południu. Czy to nie zbyt szybka podróż dla ciebie?

— Nie — odpowiedziała. — Przypuszczam, że teraz zamierzasz pograć w pokera.

— Chyba raczej nie. Dobranoc.

Jej odpowiedź „Dobranoc" płynęła za nim. Minął drzwi swojego pokoju i zatrzymał się na schodach, oglądając się za siebie. Wciąż stała przy drzwiach, a lampa w holu ukazywała zarys jej twarzy.

— Kobieta, Logan?

Roześmiał się i poczuł nagły przypływ gniewu w stosunku do niej. Odwróciła się i zamknęła drzwi. Rozbawiła go jej podejrzliwość, ale schodząc po schodach, nie znajdował już radości w jej ocenie jego osoby. Był niespokojny, rozdrażniony i pomyślał: „George musiał zrobić ze mnie cholernego faceta. Będę musiał z nim sobie porozmawiać". Usłyszał uderzenia deszczu o ścianę hotelu i wrócił do pokoju po płaszcz i kapelusz, po czym ruszył wzdłuż czarnej ulicy Front Street i przeszedł do biura bankowego. Van Houten opóźnił dla niego godzinę zamknięcia, i natychmiast przyniósł juczne torby z dużego firmowego sejfu.

— Na pewno chcesz to trzymać w pokoju hotelowym?

— Nie ma problemu — odparł Stuart i przewiesił torby przez ramię. Poczekał, aż van Houten zgasi lampy i wygasi żeliwny piecyk. Van Houten wyjął zza lady dragoński rewolwer i zamknął drzwi do biura. Powiedział coś, co zwiał napływający wiatr, i ustawił się między Stuartem a ścianami

budynku, kiedy szli z powrotem w kierunku American Exchange. Spadł z wąskiej deski przejścia, zanurzając nogi w wodzie aż po cholewki butów i kwaśno zaklął. W drzwiach hotelu zatrzymał się i powiedział: „Powodzenia”. W wpadającym przez drzwi Stuart świetle zobaczył, że przez całą drogę z biura bankowego młody człowiek niósł w ręku odbezpieczony dragoński pistolet.

— Idź, wysusz nogi — powiedział Stuart i patrzył, jak van Houten znika zupełnie po pokonaniu trzech kroków; tak czarna była dzisiejsza noc. Przeszedł przez hol i wszedł po schodach, na górnym podeście zatrzymał się, po czym ruszył do drzwi Lucy Overmire. Zapukał i usłyszał jej chłodny głos, zapraszający go do środka.

Stała przy oknie, odwracając się, by na niego spojrzeć i pokazać mu ten sam powściągliwy osąd na twarzy, który widział wcześniej.

— Nie — powiedział, — to nie była kobieta.

— Dlaczego więc mi tego nie powiedziałeś?

— Wychodzisz za George'a, nie za mnie — zauważył. — Dlaczego miałbym cię informować, dokąd się wybieram?

Nagle zaczęli się z siebie śmiać. Przeszła przez pokój, a światło rozjaśniło jej policzki; popatrzyła na niego, mówiąc z mieszaną ostrością i delikatnością.

— Nigdy bym nie chciała, żeby jakaś kobieta zrobiła z ciebie głupca, Logan.

— Czy George'a też wypytujesz w taki sposób?

— Nigdy mi nie przyszło do głowy, by w niego wątpić.

— Pochlebia mi to wyróżnienie — stwierdził sucho.

— George wykazuje mniejszą wrażliwość na kobiety niż ty. Ocenia je bardziej krytycznie. Ty masz w sobie zbyt wiele współczucia, Logan. Lubisz uczciwą grę.

— Czyżby? — spytał. — Ale to on jest zaręczony, a ja nie.

— Co masz w tych jucznych sakwach?

— Gotówkę, w złocie.

— Obserwowałem cię z okna hotelu. Gdy przechodziłeś, na rogu Alder stał jakiś człowiek. Szedł za tobą przez to całe błoto.

— Dobranoc, Lucy — powiedział i wyszedł z pokoju.

Z holu i saloonu dochodził mocny hałas. W swoim pokoju położył torby pod materacem, u wezgłowia łóżka. Rozebrał się do wełnianej bielizny i napił się z dzbanka z wodą, po czym podsunął krzesło pod gałkę u drzwi. W obu oknach nie było haczyków, ale oba znajdowały się co najmniej piętnaście stóp nad poziomem ulicy i nie trzeba było się nimi przejmować. Wsunął rewolwer pod poduszkę, zgasił światło i położył się płasko na plecach, wsłuchując się w miarowe uderzenia kropel deszczu o hotel; od czasu do czasu ostrzejszy podmuch wiatru wstrząsał całą konstrukcją budynku. Przez chwilę rozmyślał o Lucy, stojącej w swoim pokoju, kobiecie piękniejszej, niż jakikolwiek mężczyzna miał prawo oczekiwać; przypomniał sobie jej rozjaśnioną śmiechem twarz i ton tego śmiechu, a także to, jak spokojnie potrafiły spoglądać jej oczy, jak głęboko w nich kryły się dziwne rzeczy, które czuła. Zapadł w sen...

Był człowiekiem, który sypiał bez snów i który spał lekko. Tak więc, kiedy podmuch zimnego wiatru musnął tył jego głowy, jego oczy natychmiast się otworzyły. Leżał plecami do bocznego okna, a ręce miał pod kołdrą, więc nie mógł łatwo sięgnąć po rewolwer. W pokoju słychać było słaby odgłos przemieszczania się i posapywanie ciężkiego oddechu człowieka. Oddech na chwilę ucichł, a potem przybrał na sile i Stuart poczuł dłoń przesuwającą się ostrożnie wzdłuż krawędzi łóżka. Stuart zwizualizował sobie w głowie położenie mężczyzny - zamachnął się i poderwał, chwytając ciężki cień znajdujący się przed nim. Jego ramiona zamknęły się na grubym ciele; został poderwany z łóżka przez szybki obrót mężczyzny i opadł na nogi. Trzymał go mocno. Uderzył czubkiem głowy w podbródek napastnika i usłyszał, jak ten chrupie; potem przedramię napastnika walnęło go w kark z siłą maczugi. Ogłuszyło go to i sprawiło, że upadł na łóżko. Poderwał nogi w górę i z całej siły wbił je w brzuch napastnika, w chwili gdy ten zamierzał się na niego rzucić. Głowa bolała go z całej siły, a przed oczyma tańczyły mu błyski światła. Usłyszał, jak napastnik przewraca się i przeklina pod nosem, po czym sięgnął pod poduszkę i chwycił rewolwer. Zaparł się w łóżku, by oddać strzał. Wystrzelił w poruszający się cień mężczyzny, a w następnej chwili złodziej, pędząc nisko pochylony przez pokój, wyskoczył przez okno, zabierając ze sobą całe jego skrzydło z szybą.

Usłyszał, jak napastnik ląduje w alejce w dole. Kiedy dotarł do okna, nie widział już na czarnym pasie alei pod sobą niczego, ale wychwycił ostatnie echa butów uciekiniera, który biegł przez grube błoto w kierunku rzeki.

Przez okno wpadał zimny wiatr, a na hotelowym korytarzu rozległ się hałas. Krzesło blokujące klamkę wywróciło się, i drzwi stanęły otworem, wpuszczając do środka mdłe światło lampy. Zajrzał przez nie jakiś człowiek.

— Co się tu, do cholery, dzieje?

— Nic — odparł Stuart. — Proszę zamknąć drzwi i odejść.

Drzwi zamknęły się, blokując gwałtowny przewiew. Stuart stał jeszcze przez chwilę, powoli kręcąc szyją z boku na bok.

— Zabawny gość — pomyślał. — Musiał mieć łapsko jak konar dębu. Cholernie mało brakowało, a złamałby mi kark. — Usiadł na łóżku, ostrożnie położył się na plecach, czując stały ból; leżał płasko, wpatrując się w czarny sufit. — To mógł być Bragg — powiedział do siebie. — To mógł być on.

Drzwi otworzyły się ponownie i głos Lucy doleciał do niego przez pokój, delikatnie zaniepokojony.

— Logan.

Światło padało na nią słabo i zobaczył jej wysoki kształt w szlafroku z włosami splecionymi z tyłu. Zobaczył niewyraźną sylwetkę jej twarzy, gdy podeszła do niego i stanęła nad jego łóżkiem.

— Logan — powtórzyła.

— Nic się nie stało — uspokoił ją. — Uciekł. To była kiepska próba. Głowa przestała go boleć; przestała go rwać równie gwałtownie, jak zaczęła, i teraz poczuł się już dobrze. — Lucy, wyjdź stąd.

Stała bez ruchu, spoglądając na niego z góry. Powiedziała:

— Jesteś ranny?

— Nie. Idź już.

Obserwował ją, gdy się wycofywała z pokoju; widział, jak odwraca się i patrzy za siebie przez chwilę, a potem zamyka drzwi.

Rozdział II
Narzeczony Lucy

Opuścili Portland o szóstej rano, w deszczowy poranek, przeprawili się promem i ruszyli przez gęsty półmrok jodłowego lasu aż do Clackamas. Za Oregon City przedostali się do płaskiej doliny Willamette, ograniczonej od wschodu przez Góry Kaskadowe, a od zachodu przez Pasmo Nadbrzeżne. Domy ranczerów stały w odległości zapewniającej samotność, niskie i ciemne w deszczowej mgle, zaś od czasu do czasu czysta błotnista droga mijała ganek sklepu lub prymitywnej szkieletowej chaty, służącej jako tawerna dla przejeżdżających. O zmierzchu rozmazanego dnia dotarli do Salem, którego kilka domów było owocem misji metodystów, i tam przenocowali.

Deszcz nie przestawał padać, sprawiając, że dolina zieleniła się na ich oczach, w miarę jak posuwali się coraz dalej na południe. Przeprawili się promem przez Santiam w Syracuse City i spędzili kolejną noc w Harris Claim. Trzeci dzień powiódł ich przez Kopiec Skinnera i dalej do zwężającego się podnóża doliny, a czwartego dnia przez surowe i porośnięte lasem grzbiety Calapooyia - drogą wojskową - do domu Jessego Applegate'a. Ciemny jodłowy las zaczął ustępować miejsca dębom, madronom i sosnom, deszcz ustał, a ziemia robiła się coraz bardziej ciepła i brązowa. Jechali szybko, mijając wozy załadowane po brzegi dobytkiem osadników, napotykając karawany mułów i samotnych podróżników na koniach. Piątego dnia przekroczyli rzekę Umpqua przy sklepie Aarona Rosesa, a późnym popołudniem dotarli do małej osady zbudowanej u ujścia wąskiego kanionu, którego zbocza wznosiły się coraz ostrzej, gęsto porośnięte drzewami. Cała okolica przed nimi była pełna wzniesień i dolin.

Kiedy Stuart rozsiodłał konie, ze swojej chaty wyszedł Cliff Anslem.

— Dwie noce temu, w górnym biegu Graves Creek, został zabity górnik — powiedział Anslem. — To byli Indianie Limpy'ego, jak mi się wydaje. Gdzieś w kanionie jest teraz oddział kawalerii pod dowództwem młodego Bristowa. Zaprzęgi przechodzą przez kanion z podwojonymi obsadami, dla bezpieczeństwa. Jutro rano będziesz miał mnóstwo ludzi do towarzystwa.

— Za wolno by to było — odparł Stuart.

Odwrócił się do dziewczyny.

— Zrobimy sobie nocną przejażdżkę i dotrzemy przed świtem do Dance'a, jeśli wytrzymasz.

Lucy skinęła głową i weszła do chaty, podczas gdy Anslem zaprowadził konie do swojej zagrody.

Na małej łące u podnóża tych surowych wzgórz stało porozrzucanych cztery lub pięć domków, a z kanionu wiał stały wiatr, chłodny i gwałtowny. Ostatnie promienie słońca padały na łąkę, wzmacniając ostrą woń naturalnego siana. Stuart usiadł na skraju zakurzonej drogi, odchylił się do tyłu i zapalił fajkę, wsłuchując się w brzęczący odgłos dzwonka klaczy prowadzącej przejeżdżający obok zaprzęg. Zmierzch zaczął już zapadać, kiedy przybył juczny zaprzęg, zmierzający z osady Scottsburg do kopalni, i zatrzymał się, by rozbić obóz. Był to zaprzęg Howisona, załadowany cukrem, kawą i solą. W ciemności rozkwitło obozowe ognisko, kiedy Anslem zawołał Stuarta na kolację.

Chata miała w środku pojedyncze pomieszczenie z łóżkiem, stołem i kominkiem. Lucy leżała na łóżku, na wpół obudzona z krótkiego snu. Wpatrywała się w wiszący bezpośrednio nad nią dach, a żółte światło z pokoju tańczyło w jej oczach. Stuart zatrzymał się przy łóżku, ze spuszczoną głową, spoglądając na nią. Wyciągnęła do niego rękę, on ją ujął, odchylając ją do pionu, zaś ona nagle roześmiała się i szybko podeszła do zastawionego kolacją stołu. Pani Anslem rzuciła tym dwojgu szybkie i przebiegle ciepłe spojrzenie, a potem podała kolację - dziczyznę, fasolę i placki. Z kanionu wypadli jeźdźcy i ostry głos wydał jakąś komendę. Anslem wstał i podszedł do drzwi.

— Kolacja gotowa, panie poruczniku.

Kiedy porucznik wszedł do środka, był zakurzony po ciężkim dniu jazdy; miał widoczną brodę, która pokrywała jego młodzieńczą twarz, a oczy świeciły mu jasnym blaskiem. Powiedział:

— Witaj, Logan - panno Overmire, jak się pani ma? — i zajął swoje miejsce, nie robiąc w związku z posiłkiem żadnych ceregieli.

— Co tam słychać w kanionie?

— Mnóstwo śladów przecinających łąki nad Cow Creek.

Anslem powiedział:

— Osiodłam dla ciebie konie, Logan — i wyszedł z domu.

— Jedziesz teraz? — spytał porucznik. — Limpy i jego wojownicy gdzieś tam są, ale nie wiem gdzie. Może będziemy mieli spokojny rok.

Pani Anslem, stojąc przed rusztem w kominku i pilnując czajnika z kawą, popatrzyła na niego.

— Nigdy nie ma spokojnego roku.

Anslem wyprowadził konie, czekając z nimi na zewnątrz. Stuart wstał razem z Lucy, a gdy oboje szli w stronę drzwi, pani Anslem mruknęła:

— Pozdrówcie ode mnie Dance’ów i powiedzcie im, że tęsknię za rozmową.

Nad górami i łąką panował półmrok, a ujadanie psów Anslemów niosło się echem daleko po najeżonych lasem wzgórzach. Uśmiech Lucy oświetlił Stuarta, gdy pomógł jej wsiąść na siodło. Wyregulował paski przy jucznych torbach, próbnie wysunął i wsunął strzelbę z futerału i przesunął dłonią po kolbie rewolweru. Powiedział „Na razie” do Anslema i ruszył w drogę, z towarzyszącą mu Lucy. Oddech kanionu był wilgotny i zimny. Ścieżka wznosiła się, a miękki piach pochłaniał odgłosy kroków koni. Obok szlaku płynął potok, melodyjnie szemrząc po kamieniach, a jakieś nocne zwierzę przemknęło przed nimi i wślizgnęło się do lasu. Niebo było

stalowoniebieskie, otoczone poszarpanym cieniem lasu. Po godzinie drogi od Anslemów zatrzymali się, odpoczęli, posiedzieli trochę bez ruchu i ruszyli dalej. Wschodząca ćwiartka księżyca malowała na ścianach kanionu matowe srebrne plamy, błyszczała na falach potoku i świeciła półświatłem na białych pniach jodeł. Po kolejnej godzinie dotarli do wyjazdu z kanionu i wydostali się na górską łąkę, błyszczącą niczym ciemne i na wpół ukryte jezioro na tle masywnych brzegów pierścienia otaczających je gór. Zerwał się silniejszy wiatr. Urządziwszy chwilę odpoczynku, Stuart nasłuchiwał, co może przynieść wiatr. Był czujny i w pełni rozbudzony, lecz kiedy spojrzał na Lucy, uśmiechnął się. Jej głos dotarł do niego starannie scenicznym szeptem.

— Ty nigdy nie jesteś szczęśliwy, jeśli nie jesteś w drodze.

Przerwał jej:

— Posłuchaj — bo zdawało mu się, że słyszy w nocnych ciemnościach jakiś hałas. Gdzieś daleko – milę od nich - przez łąkę zdawała się podróżować jakaś grupa. Konie stanęły bez ruchu, ich głowy czujnie skierowały się w tamtą stronę; wciągały głębiej powietrze, węszyły za czymś, co je zainteresowało. Potem odgłosy jazdy ucichły.

Przekroczyli płytki potok i skręcili w głąb łąki, przecinając ją. Wierzby nad potokiem leniwie tańczyły na lekkim wietrze, a potok zmienił się w bladą, wijącą się smugę. Czerń masywów górskich ponownie zamknęła się przed nimi i dalej zaczęli wspinać się ciemnym szlakiem między ogromnymi, nieruchomymi kolumnami jodeł. Po pewnym czasie zatrzymali się raz jeszcze, by dać odpocząć koniom.

Kontynuowała poprzednie słowa:

— Dom, biuro czy kobieta, które znasz dłużej niż tydzień — wszystko to staje się dla ciebie nudne. Przyjeżdżasz do Jacksonville, spędzasz tam noc i już cię nie ma.

— Moje interesy wymagają ciągłego jeżdżenia.

— Jeździsz w interesach - ale jeździsz też tylko po to, żeby jeździć.

— Skąd o mnie aż tyle wiesz?

— Żadna kobieta nie może patrzeć na mężczyznę przez dwa lata, nie dowiadując się o nim niczego.

— Wiesz o mnie więcej — stwierdził, — niż ja wiem o tobie.

— Kobiety zawsze były bardziej spostrzegawcze… i bardziej się interesowały.

Zatoczył koniem, złapał wodze Lucy i zjechał ze szlaku. Odgłosy nad nimi zrobiły się głośniejsze i wkrótce zmieniły się w tętent kopyt rozpędzonego konia samotnego jeźdźca, który nie zachowując żadnej ostrożności mknął na oślep tym ciemnym korytarzem. Minął ich na wyciągnięcie ręki; jadąc, wydawał a siebie ciche śpiewne pomruki, jakby chciał rozproszyć swoją samotność. Słyszeli, jak zjeżdża w dół, a długo później zobaczyli sylwetkę jego konia na łące pod nimi. Stuart i Lucy wrócili na szlak. Nadal rozpamiętywał jej uwagi; myślał o nich długo, w trakcie dalszej jazdy.

— Chcę, żeby mój biznes się rozwijał — oznajmił w końcu. — Chcę zobaczyć, jak na każdej drodze ciągną się zaprzęgi Stuart & Company.

Kiedy pojawią się dyliżanse, chcę, żeby były to dyliżanse Stuart & Company. Chyba jestem ambitny.

— Nawet ambicja nie popychałaby cię tak mocno. Nie jesteś do końca szczęśliwy. Coś cię dręczy. Może to coś, czego szukasz, albo coś, co cię nie satysfakcjonuje.

Jechał dalej nie komentując jej słów, poświęcając myśli w połowie jej uwagom, w połowie o otaczającym go odgłosom i innym wrażeniom zmysłowym. Usłyszał jej głos, tak niski, pełen powagi i łagodny, przebijający się przez ciemność.

— Czy to chodzi o kobietę?

— Do diabła z George'em Camrose'em, który zszargał mi reputację — mruknął. — Czy to zawsze kobieta musi być powodem tego, że mężczyzna leży w nocy nie mogąc zasnąć?

— Kiedy nadejdzie ten czas, niech to nie będzie zwykła kobieta. Niech to nie będzie spokojna kobieta.

— Czemu nie? — powiedział.

— Znienawidziłabyś ją — odparła.

Jechali w milczeniu, aż minęła północ, i dalej przez ciemne godziny, podczas gdy szlak wynosił ich wyżej w góry, a leżący po lewej stronie kanion pogłębiał się u ich stóp, raczej wyczuwalny niż widoczny. W pewnym momencie dostrzegli światło płonące daleko na dnie kanionu.

— Ed Blackerby — mruknął.

Powietrze zrobiło się rzadkie i zimne, a zapach gór robił się coraz silniejszy; to była woń dzikości płynącej z nieznanych zakątków, z miejsc nigdy nie widzianych okiem człowieka, od początku czasu. Gdzieś między północą a pierwszym brzaskiem, zatrzymali się na dłuższy odpoczynek i zdjął Lucy z siodła; ciężar jej ciała opadł na niego i przez chwilę spoczywała biernie w jego ramionach, a jej twarz uniosła się do góry, tak blisko niego, że dostrzegł na niej oznaki zmęczenia. Opuścił ramiona i cofnął się o krok do siodła, odpinając płaszcz zawiązany za łękiem. Rozłożył płaszcz na ścieżce i obserwował, jak dziewczyna pada na ziemię i zwija się na nim. Przykucnął koło niej i otulił ją skrajem płaszcza, jednocześnie przeszukując kieszenie w poszukiwaniu fajki. Trzymał zimną fajkę w zębach, słuchając lasu, ulotnych pomruków rozlegających się dookoła, szelestu poruszanych zarośli, cichych szurnięć miękkich stóp, aksamitnego szumu skrzydeł, wszystkich półtonów tej ogromnej ziemi.

Spała głęboko, gdy pół godziny później pochylił się i położył dłoń na jej policzku. Powiedział: „Lucy” i usłyszał, jak odpowiada przez sen. Jej imię zabrzmiało przyjemnym echem, miękko osiadło na jego języku, powtórzył je ponownie: „Lucy” i obserwował, jak siada wyprostowana i odwraca głowę w ciemności.

Pomógł jej wdrapać się na siodło, zwinął płaszcz i mocno go przywiązał. Wznawiając podróż, poruszali się pewnie przez te wczesne godziny, przez strumień czasu świata, wspinając się wraz ze szlakiem i opadając wraz z nim, w dół i w górę stromych zboczy, w dół i w górę nagłych wzniesień. Księżyc, blady i bezradnie nieudolny w rozpraszaniu ciemności nocy, zniknął teraz za potężnymi zachodnimi grzbietami górskimi, a otaczająca ich atramentowa czerń zrobiła się głębsza niż

kiedykolwiek wcześniej. Był to czas przed świtem, kiedy witalność wszystkich stworzeń płonęła kapryśnie i niepewnie. Stopniowo zaczął wyczuwać bliskość otwartej przestrzeni. Ciężar masy drzew napierał na niego coraz słabiej, a kolory obiektów pierwszego planu stawały się coraz bledsze, aż w końcu szlak wynurzył się z lasu i zaczął schodzić długimi, krętymi pętlami w niżej położone tereny. Tuż przed wschodem słońca dostrzegł pojedyncze światło jaśniejące w oddali.

Brzask poranka zaczynał się przebijać na niebie, gdy dotarli do chaty Bena Dance'a i Stuart pomógł Lucy zejść na ziemię. Psy Dance'a szczekały wokół niego, a zapach dymu drzewnego i kawy przesycał rzadkie powietrze. Drzwi chaty otworzyły się i wylał się z nich strumień żółtego światła, a jakiś człowiek szybko zrobił krok przez otwór wejściowy i odsunął się z niego na bok. Miał karabin przewieszony przez ramię, gotów do użycia. Kiedy rozpoznał dwie osoby przed sobą, pozwolił, by otoczył ich jego mocny głos.

— Wejdźcie, wejdźcie. Śniadanie czeka. Asa, chodź tu i weź te konie.

Lucy poszła prosto do chaty. Stuart stał chwilę z jucznymi torbami przerzuconymi przez ramię, obserwując poranek rozlewający się po wschodnich szczytach gór; poruszał się bezkształtnymi falami, rozchodząc się jak mgła, w kolorze wody, spływając z wysokich szczytów i rozprzestrzeniając się w dół zboczy przez czarne załomy gór. Niebo zaczęło robić się niebieskie, gwiazdy powoli bledły. Młody Asa zabrał konie.

— Młody porucznik wczoraj tędy przejeżdżał — poinformował go Dance.

— Jeden z górników nie żyje.

— I tak jest spokojnie, jak na tę porę roku — stwierdził Dance.

Stuart wślizgnął się przez drzwi chaty Dance’a i stanął twarzą w twarz z jasnym ogniem na otwartym palenisku. Na środku stał stół, przy którym teraz siedziała Lucy; dwóch kolejnych chłopców Dance’a także siedziało przy nim, jedząc, nie podnosząc głów. Pani Dance, mająca zaledwie czterdzieści lat, wywróciła zawartość patelni z kukurydzianym chlebem na talerz i obdarzyła Logana energicznym uśmiechem.

— Jak tam Portland, Logan?

— Tysiąc osób i przez cały czas pada deszcz.

— Ach — stwierdziła pani Dance i pokręciła głową. Jej skóra była ciemna, a rysy twarzy praktyczne i ładne. — Jak można żyć w takim tłumie?

Dance wszedł do środka z pytaniem.

— Chcesz, żebym już teraz zmienił ci konie?

— Prześpimy się do południa.

— Caroline! — krzyknął Dance. — Pościel łóżka.

Z sąsiedniego pokoju chaty wyszła dziewczyna i skinęła głową Lucy, a Stuartowi rzuciła dłuższe spojrzenie.

Jej zdecydowane „Cześć” dotyczyło obojga gości. Miała prawie dwadzieścia lat, niebieskie oczy matki i jej masę jasnobrązowych włosów. Okrągłe ramiona były odsłonięte do łokci, a usta spokojne i pełne.

— Mam coś dla ciebie — powiedział Stuart.

— Co? — spytała dziewczyna.

— Jeśli w południe włożysz tę swoją brązową sukienkę, to ci to dam.

Caroline Dance przechyliła głowę na bok, przyglądając się Stuartowi, a na jej ustach pojawiło się żywe zainteresowanie.

— Być może, założę — oznajmiła sceptycznie i wyszła z pokoju.

Lucy wstała od śniadania i poszła do drugiego pokoju. Stuart spędził jeszcze trochę czasu nad kawą i fajką; chłopcy Dance'a wstali i odeszli w milczeniu, jak młode psy gończe, które szukają świeżego tropu. Dance siedział przez chwilę przy stole, by przekazać plotki z całego tygodnia, po czym Stuart opróżnił stukaniem fajkę i również wyszedł do drugiego pokoju. Były w nim trzy łóżka i jakaś szmata rozłożona na klepisku podłogi. Lucy leżała już, śpiąc z rękami złożonymi przed twarzą. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem położył się w sąsiednim łóżku.

W południe na podwórzu czekały trzy konie zamiast dwóch. Gdy Stuart i Lucy wyszli z chaty, w siodle trzeciego siedziała Caroline Dance. Dance wyjaśnił to swoim energicznym głosem:

— Mamuśka wysyła Caroline do chaty Megarry'ego. Pani Megarry ma termin.

Pani Dance wyszła z chaty z pulchnym pakunkiem i podała go Caroline.

— To już wszystko, czego będziesz potrzebować.

Stuart spytał:

— Chcesz, żebym przysłał z Jacksonville doktora Balance'a?

Caroline pokręciła głową. Miała na sobie brązową sukienkę i starannie ułożone włosy.

— Potrafię zrobić wszystko, co trzeba — powiedziała.

— Oczywiście — dodała pani Dance, zaskoczona, że pojawiły się jakiekolwiek pytania. — To tylko dziecko. Dziś wieczorem zostaniesz u Megarry'ego, Caroline, a jutro wrócisz do domu.

Dzień był gorący i bezwietrzny, a szlak wiódł na południe, w górę i w dół po serii zaokrąglonych pagórków i grzbietów, które stanowiły poszarpane przedłużenie wyższych gór na wschodzie. Wjechali w krótką dolinę otoczoną w połowie wzgórzami i minęli małą osadę położoną nad rzeką Rogue; przepłynęli promem i szybko pojechali wzdłuż rzeki. Kilka mil za promem Caroline Dance zatrzymała konia przed chatą, która była czymś niewiele lepszym od zwykłego szałasu. To był dom Megarry'ego. Do drzwi podeszła kobieta i zasłoniła oczy dłonią, przed słońcem. Powiedziała:

— Caroline, nie masz zbyt wiele czasu.

Caroline siedziała bez ruchu w siodle, zwrócona twarzą do Stuarta. Nie uśmiechała się, ale oczekiwanie sprawiło, że jej usta w milczeniu wyrażały wszystkie przepełniające ją emocje. Drażnił ją swoim ociąganiem się i ona o tym wiedziała, ale jej to nie przeszkadzało.

Wyjął w końcu z kieszeni mały pakunek i nie śpieszył się z jego rozpakowaniem. Trzymał zawartość skrywając ją w dłoni, przejechał konno obok niej i pochylił się, by otoczyć rękoma jej głowę. Odchylił się do tyłu na siodle i obserwował ją, jak spoglądała na broszkę z kameą, wiszącą na jej szyi na cienkim złotym łańcuszku.

— Cóż — powiedziała Caroline z przyjemnością w głosie, — wygląda jak broszka rodzinna mojej babci z Missouri.

Kobieta w chacie Megarry'ego zawołała ostrzejszym tonem:

— Nie ma czasu, Caroline.

Ekscytacja rozjaśniła twarz Caroline i chociaż nie była impulsywną dziewczyną, mimo wszystko pobudziło ją to do pchnięcia konia w stronę Stuarta. Wtedy przypomniała sobie o obecności Lucy, rzuciła jej kose spojrzenie i zeskoczyła z konia, od razu wchodząc do chaty.

Stuart i Lucy ruszyli dalej, kierując się w stronę wejścia otwierającej się przed nimi doliny. Rzeka płynęła przez cały czas koło nich, lecz grzbiety górskie powoli rozstępowały się od niej, formując dolinę; szlak stopniowo wznosił się po jej zboczu i zaczął przebijać się na południowy zachód wzdłuż szczytów wzgórz. W oddali widać było Fort Lane, jego zabudowania z drewnianych bali przycupnęły w pełnym, jasnym słońcu, po północnej stronie rzeki.

— Zarobiłbyś swojego całusa, gdybym się nie wtrąciła — skomentowała Lucy.

— Tak — odparł Stuart, uprzejmie.

— Przepraszam, że przeze mnie nie udało ci się. — Obrzuciła go zawoalowanym spojrzeniem. — Ona ma dwadzieścia lat, ty dwadzieścia osiem.

— A co ja na to poradzę?

Ich spojrzenia spotkały się i dostrzegła jego uśmiech; nagle sama również zaczęła się śmiać.

— Och, Logan.

Szlak poprowadził ich wokół zbocza wzgórza i o zachodzie słońca dotarli do strumienia z otoczonego górniczymi barakami, namiotami z płótna i lichymi drewnianymi szopami. Przekroczyli strumień i pokonali sosnowo dębowy gaj, aż w końcu wyjechali na nieregularną drogę, która służyła za główną ulicę Jacksonville.

Była to osada składająca się z około sześćdziesięciu domów, zbudowanych z drewnianych kłód i krytych gontami z cedrowych desek, wszystkie rozrzucone były wzdłuż strumienia i na zboczach otaczających go wzgórz. Z blaszanych kominów unosił się dym przygotowywanych kolacji, a wybrudzoną przez żółtozieloną glinę wyrobisk ulicą, spacerowali ludzie. Pojawiało się coraz więcej jeźdźców, a w dół zbocza wzgórza, od zachodu, krętym szlakiem zjeżdżała juczna karawana.

Stuart i Lucy minęli parę saloonów i dużą szopę Howisona na siano; przejechali koło sklepu należącego do samego Stuarta i ruszyli w stronę dużej chaty z bali i desek na zboczu wzgórza. Jonas Overmire czekał na nich z dłońmi w przednich kieszeniach spodni. Jego wysoki cylinder mocno pochylił się do przodu, kiedy wyciągnął rękę, aby pomóc córce zsiąść z konia, i odgarnął brodę, zanim ją pocałował. Pani Overmire również wyszła z domu, obejmując córkę, a po chwili doleciał do nich okrzyk i zobaczyli, jak George Camrose wychodzi ze swojej chaty i szybko wspina się pod górę.

Stuart oparł ręce na łęku siodła, obserwując tę scenę. Lucy odwróciła się, aby spotkać się ze zbliżającym się Camrosem. Był wysokim i

przystojnym mężczyzną, o jasnej karnacji, starannie ubranym. W jego wyglądzie nie było ani śladu zgrzebności obozu górniczego, podobnie jak w zachowaniu żadnego nadmiernie rzucającego się w oczy wrażenia typowego dla górników. Był chłodny i trzymał się mocno w ryzach, tak że nawet teraz, zbliżając się do Lucy, zachowywał się z niedbałym opanowaniem, jakby widział ją ledwie godzinę wcześniej.

Lucy, jak zauważył Stuart, zdawała się pasować do tej atmosfery chłodnego temperamentu i opanowania. Była niewzruszona i pewna siebie. Uśmiechała się do Camrose'a i patrzyła mu prosto w oczy; jednak Stuart nie dostrzegł w żadnym z tej dwójki wielkiego ognia niecierpliwości, żadnych porywczych pragnień. Powiedział sobie w duchu: „Czy kobieta tak patrzy na mężczyznę, którego kocha?" Mocno wcisnął ręce pod siodło i zastanawiał się, co się dzieje w sercu dziewczyny. Mruknęła tylko:

— Cześć, George. Cieszysz się, że mnie widzisz?

Camrose objął ją ramionami, uśmiechając się.

— Zawsze miło cię widzieć — mruknął i nachylił twarz, żeby ją pocałować.

Ona jednak zrobiła coś dziwnego. Odwróciła głowę i spojrzała przez moment na Stuarta, z bardzo poważnym wyrazem na twarzy, on zaś w tej przelotnej chwili dostrzegł jakiś cień w jej oczach. To było coś, co szybko się wydarzyło i szybko przeminęło, więc nie był pewien, co dokładnie zobaczył. Popatrzyła z powrotem na Camrose'a, przyjęła jego pocałunek i odeszła.

Stuart rzucił:

— To najlepsze, na co cię stać, George?

Camrose obrzucił Stuarta spojrzeniem, z powściągliwym uśmiechem.

— A czy ty zrobiłbyś coś lepszego?

— Cholernie, dużo lepszego — odpowiedział Stuart i odjechał. Niespodziewanie poczuł napływ irytacji.

Przygotował sobie kolację w małym pokoju za sklepem; umył potem naczynia i przeszedł przez długie, główne pomieszczenie sklepu, mijając pudła, beczki i bele towarów ułożonych na podłodze, przechodząc obok zwisających z belek uprzęży i latarni. Rzucił okiem na dobrze zaopatrzone półki i zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć, jak jego główny subiekt, Henry Clenchfield, odważa złoto dla górnika. Przez sklep przeleciał powiew wiatru, wzbijając słodkie, stęchłe i ostre zapachy wszystkich zebranych tu towarów.

Zatrzymał się w drzwiach i zapalił cygaro. W delikatnym, ciepłym nocnym powietrzu łagodnie niosły się głosy ludzi, a lampy Jacksonville mrugały żółtymi ognikami w ciemności. Gdzieś gitara roztaczała swój żywy dźwięk, a ludzie nadchodzili z ciemnych zakamarków okolicznych wzgórz, by przerwać długi tydzień samotności w martwych lasach wokół miasteczka; ze swoich działek wzdłuż Rogue przybywały całe rodziny.

Wrócił do sklepu i usiadł na skrzynce.

— Gdzie jest John Trent?

— Pojutrze wraca z Crescent City — odparł Clenchfield. — Wysłałem w podróż czterdzieści mułów. Burl McGiven wyjechał dwa dni temu do Yreki. Dwadzieścia mułów. Jack Card wyjechał dziś rano w podróż do Applegate. Murrow i Vane Blazier jutro rano zabiorą karawanę do Scottsburga.

— Zapisz to sobie — powiedział Stuart. — Trzydzieści mułów ma być w Salem dwudziestego po ładunek Henry'ego McLane'a, z łodzi Canemah.

— Skąd weźmiesz muły? — spytał Clenchfield. — Masz teraz za dużo zleceń.

— Może czas dokupić parę dodatkowych.

Clenchfield był człowiekiem starej daty, usztywnionym przez lata pracy jako urzędnik. Był kanciasty, łysy i precyzyjny; i miał dobre poczucie starszego urzędnika, że ma porządną pracę. Okulary w stalowych oprawkach osadzone nisko na ostrym nosie, i wysoką indyczą szyję wystającą nad zdecydowanie za dużym kołnierzykiem.

— Czas wyciągnąć trochę pieniędzy z biznesu zamiast stale wkładać je z powrotem. Masz sprzętu za sto tysięcy dolarów.

— No cóż, Clenchfield, musimy się wzbogacić.

— Ta firma — stwierdził Clenchfield, — to zbyt duża łódź, na wody po których pływa. Gdyby był tu jakiś bank, w którym mógłbyś w razie czego pożyczyć pieniądze, nie miałoby to znaczenia. Ale ponieważ nie ma tu żadnego banku, sam dla siebie powinieneś być bankiem. Powinieneś mieć trzydzieści tysięcy złotych monet odłożonych na kłopoty. Nie masz ich.

— A na jakież to kłopoty? — spytał Stuart.

Clenchfield pokręcił głową.

— Na kłopoty, które zawsze się pojawiają. Ale jesteś młodym człowiekiem i kłopoty muszą walnąć cię w głowę, zanim zrozumiesz. Jak ja się tu znalazłem, sześć tysięcy mil od Liverpoolu?

— I jak się tu znalazłeś, Clenchfield?

— Kiedyś byłem młody i miałem biznes, równie dobry jak ten. Ale byłem taki jak ty i zbankrutowałem.

— Henry — zauważył Stuart, — jest pewna różnica. Liverpool był starym miastem, które przestało się rozwijać. To jest młode miasto w młodym kraju. Nigdy nie przestanie się rozwijać, jeszcze przez sto lat. Płyniemy na fali. To długa fala. Nie zatrzyma się, za moich czasów.

— Wszyscy Amerykanie tak myślą — burknął Clenchfield. — Myślą, że dla nich fala będzie płynęła wiecznie. Ale zapamiętaj sobie moje słowa: żyły złota wysychają, plony zawodzą, ludzie głodują, nadchodzą wojny, upadają interesy, miasta umierają, a nadzieje ludzi zawsze biegną zbyt szybko i zbyt daleko.

— Jeśli wszystko się zawali — stwierdził Stuart, — wszystko zacznie się od nowa.

— No cóż, a więc kupisz kolejne muły — odparł Clenchfield.

— I tak też zrobię. Zabawa polega na rozwoju. Nie na posiadaniu trzydziestu tysięcy w sejfie.

— Poczekaj, aż się zestarzejesz.

— Nigdy nie czekaj, Henry. Nigdy nie czekaj na nic.

Młody Vane Blazier, jeden z poganiaczy mułów Stuarta, powoli wszedł przez drzwi, ze swymi potężnymi nogami, grubą szyją i dzikimi czarnymi

włosami opadającymi wokół głowy. Popatrzył za plecy, w noc, z wyrazem zmartwienia. Sięgnął do kieszeni po tytoniowy korek; jego długie białe zęby błysnęły, gdy go ugryzł. Włożył korek z powrotem do kieszeni i oparł się o framugę, niezdecydowany.

— Pojadę z tobą do Scottsburga, Vane — powiedział Stuart. — Dobrze by było, gdybyśmy wyruszyli w drogę o szóstej.

— W porządku — odparł Blazier. Ciężkie myśli ściągnęły mu brwi i wyżłobiły głęboką zmarszczkę w czole. Nagle wydawało się, że rozwiązał swój problem, wyprostował ramiona i wrócił w noc, mijając Camrose'a i Lucy Overmire, wchodzących do sklepu.

Oboje się uśmiechnęli, gdy zobaczyli Stuarta, jakby widok jego, siedzącego bezczynnie, był czymś zabawnym. Lucy usiadła na pudle z suchym towarem, naprzeciwko niego.

— Miałeś zjeść z nami kolację.

— Przyszło mi do głowy, że ty i George wolelibyście zjeść beze mnie — odparł.

— Cóż za czuły sentyment — stwierdził Camrose łagodnym, lekko drwiącym głosem.

— George — spytał Stuart — kiedy ta kobieta wychodzi za ciebie?

— Wątpię, czy już się na to zdecydowała — odparł Camrose i zwrócił się do Lucy, patrząc na nią z na wpół-poważną, na wpół-uśmiechniętą niedbałością. To było coś w rodzaju maski, taka niedbałość, zakrywająca prawdziwe uczucia tego człowieka. Jakiekolwiek były jego prawdziwe uczucia, rzadko przebijały się przez zasłonę, którą wokół siebie rozstawił. — Kiedy mnie weźmiesz, Lucy?

— Czy lubisz poezję, George? — spytała.

— Czy muszę lubić poezję, żeby zostać twoim mężem?

— Pobierzemy się, kiedy opadną liście — powiedziała.

Stuart zauważył, że ci ludzie znów byli w tym samym nastroju — jej lekko nieokreślony sposób bycia, kontra jego uśmiechnięta obojętność.

— Powiesisz mnie sobie i pozwolisz mi się huśtać — mruknął George Camrose. — Liście klonu, które opadają wcześnie, czy igły sosnowe, które nigdy nie opadają?

Stuart wstał i wcisnął ręce do przednich kieszeni; wyraz jego twarzy wywołał chichot Camrose'a.

— Nasz przyjaciel nas nie akceptuje, Lucy.

— Znam was od dawna — burknął Stuart — ale teraz wprawiacie mnie w zmieszanie. Oboje zachowujecie się jak para ludzi na brzegu rzeki, bojących się ją przepłynąć.

— Do diabła z tobą — burknął Camrose, wciąż się uśmiechając, ale lekko urażony. — Jesteś trochę zbyt bezpośredni.

Lucy obserwowała Stuarta z największą uwagą, jakby w tej chwili zauważyła w nim coś nowego. Tymczasem Camrose był zawstydzony nieprzyjaznym napięciem całej sceny i zaśmiał się szybko, by przywrócić humor.

— Jeśli tak bardzo pochwalasz stan małżeński, dlaczego nie spróbujesz go sam?

— Przyszedł mi do głowy taki pomysł — powiedział Stuart i zaczął się uśmiechać.

— No, już — wtrąciła Lucy. — Chciałabym wiedzieć o tym wcześniej.

— Aby pomóc mi wybrać dziewczynę? George, powiedz tej kobiecie, że nie może nami rządzić.

— Ty nigdy nie byłeś w tym dobry — rzuciła Lucy. — Jesteś zbytnio podatny na wpływy. Skończyłoby się to poślubieniem przez ciebie wdowy z siedmiorgiem dzieci, z litości.

George Camrose uznał jej słowa za niezwykle zabawne. Zaczął się śmiać i śmiał się tak długo, że aż łzy napłynęły mu do oczu. Na ulicy rozległ się krzyk i ludzie zaczęli wybiegać z drzwi, zmierzając w stronę stodoły Howisona; a jeden z drobnych górników zatrzymał się przy drzwiach sklepu Stuarta, by powiedzieć:

— To Honey Bragg i Vane Blazier.

Logan Stuart podszedł do drzwi i spojrzał wzdłuż ulicy; następnie cofnął się, szybko kierując się do tylnego pokoju. Kiedy wrócił, miał za paskiem schowany rewolwer i tak uzbrojony opuścił sklep. Camrose natychmiast ruszył za nim; lecz Lucy Overmire powiedziała: „Zaczekaj”, złapała Camrose'a pod ramię i poszła razem z nim.

Rozdział III
Kilka spotkań

Gapie z Jacksonville utworzyli na ulicy krąg, przyciągnięci odgłosami kłopotów, albo samą nadzieją na kłopoty; latarnie uniesiono jak najwyżej, aby ta dramatyczna scena była dobrze widoczna dla głodnych pustej rozrywki oczu. Stuart usłyszał, jak ktoś ponagla cichym głosem:

— Dalej, na niego, Vane, wyzywa cię do walki, nie odmawiaj.

Naparł bokiem ramienia na pierścień ludzi i szorstko zaczął się przez nich przepychać, aż znalazł się wewnątrz kręgu. Pośrodku koła stał Vane Blazier, z czarnymi włosami opadającymi na pozbawioną kapelusza głowę, z opuszczonymi rękoma i nieruchomym ciałem, stojąc twarzą w twarz z Honeyem Braggiem. Honey Bragg już zadał cios, gdyż na szczęce chłopca pojawiła się pojedyncza stróżka krwi. W tej chwili Honey Bragg czekał, uśmiechając się.

— Chłopcze — powiedział, — nigdy więcej na mnie nie wpadaj.

— Nikt na ciebie nie wpadł — odparł Blazier.

— Wszedłeś mi w drogę — oznajmił Honey Bragg. — Chyba chciałeś się bić.

— Diabła tam, ja chciałem — stwierdził Blazier. — Przeszedłeś na drugą stronę ulicy i rzuciłeś się na mnie.

— No cóż — oznajmił Honey, jego słowa równo unosiły się i opadały — teraz nazwałeś mnie kłamcą. Porządnie cię stłukę, chłopcze. Zamierzam cię naprawdę solidnie poharatać. Zamierzam cię poranić. Wydłubię ci oczy i skopię cię po brzuchu, że aż będziesz chodził na paluszkach. Zamierzam powybijać ci zęby i połamać nos tak, że będziesz świstał przy każdym oddechu.

Kolejne latarnie rozjaśniały nocne ciemności, pochylając się i kołysząc w niecierpliwych dłoniach. Oczy Vane'a Blaziera były gorzko-czarne, a jego twarz zrobiła się szara i postarzała. Stał twardo, bo duma nie pozwalała mu się ruszyć, ale nogi mu drżały. Bał się, lecz nie śmiał okazać strachu.

Honey Bragg również to dostrzegł, dzięki swemu bystremu spojrzeniu. Uśmiechając się, zacisnął wargi na wielkich zębach; jego uśmiech wyglądał jak spłaszczony półksiężyc na oliwkowo-ciemnej skórze, lekko lśniącej od potu. Miał krótkie włosy kręcące się na okrągłej głowie i niezwykle krótką szyję połączoną z ogromnymi ramionami i rękoma. Był wyraźnie zadowolony z siebie, a jego nozdrza rozwarły się i odchylił głowę do tyłu, aby przyjrzeć się chłopcu w taki sposób, w jaki człowiek mógłby zmierzyć wzrokiem wołu w rzeźni; uczucie to buchało wręcz z niego, jego złośliwa przyjemność była całkiem oczywista.

— Idź już sobie — powiedział Vane Blazier, ledwo słyszalnie. — Zostaw mnie w spokoju. To nie ja wywołałem tę bójkę.

— Proszę, znowu nazywa mnie kłamcą — oznajmił Bragg. — Nie podoba mi się to, chłopcy. Znacie mnie. Wiecie, że nie zniosę tego, nawet od smarkacza, który jeszcze na niczym się nie zna. Zamierzam go trochę pogonić i poturbować, zanim go wypuszczę. Zróbcie mi miejsce, a pokażę wam trochę zabawy.

Rozemocjonowani górnicy tłoczyli się bliżej, popychani przez innych, którzy dopiero przybyli. Jasne światło lamp migotało i błyskało w tych wszystkich oczach, z taką uwagą wypatrujących obiecanego brutalnego widowiska, że Stuart dostrzegał w nich wyraźnie pragnienie przemocy, chęć obejrzenia brutalnego działania, cuchnące żądze dżungli. To byli dobrzy ludzie, wytrzymali, odważni i uprzejmi. Tacy byli indywidualnie, ale teraz znaleźli się w stadzie, i bił od nich zapach stada, a na ich obliczach widać było jednolity wyraz stada, sprawiający, że wszystkie te twarze wyglądały tak samo - puste w oczekiwaniu oczy, częściowo otwarte usta, napięte mięśnie policzków.

Honey Bragg trzymał tę zafascynowaną i wrogo nastawioną publiczność w dłoni. Nie miał tu przyjaciół, ponieważ był człowiekiem podejrzewanym o wiele rzeczy; w sercu każdego widza tkwiła nadzieja, że Vane Blazier mu dołoży - nadzieja, która nie miała podstaw, biorąc pod uwagę jego umiejętności. Honey Bragg rozumiał to wszystko, i sprawiało mu to przyjemność i bawiło go to, gdy tak stał gotowy do rzezi. Vane Blazier też o tym wiedział i rzucał wokół siebie pełne paniki spojrzenia, do chwili gdy Stuart ruszył przez otwartą przestrzeń, zajął miejsce obok Blaziera i stanął twarzą w twarz z Honeyem Braggiem.

Honey Bragg nie zauważył wcześniej obecności Stuarta. Ta szybka odmiana sytuacji odrzuciła go jak gdyby fizycznie do tyłu; przedtem był gotów do ataku, jego ciężkie nogi lekko się ugięły, okrągła głowa pochylona była do przodu, a łokcie zakrzywione. Jego pierwszą reakcją było uniesienie głowy i opuszczenie ramion; potem wyprostował się, a uśmiech zniknął mu z twarzy, kiedy zaczął obserwować Stuarta z najwyższą uwagą. Jeśli go to zaskoczyło, podobnie zaskoczyło to tłum. Szmery, rady i apatyczne odgłosy ruchu, ustały, w całym kręgu ludzi ucichły wszelkie dźwięki.

— Jakiś kłopocik, Vane? — spytał beztrosko Stuart. Położył dłoń na ramieniu Blaziera i popatrzył na Bragga z dosyć twardą miną.

— Witaj, Honey — powiedział.

Honey Bragg ocknął się z zaabsorbowanego milczenia. Powrócił mu uśmiech na twarzy.

— O, Logan… jak się masz, przyjacielu?

— Słyszałem, że gdzieś wyjechałeś.

Honey Bragg przeanalizował w myśli to pytanie, przez chwilę milczenia, którą pokrył swoją pogodą ducha. W końcu zaśmiał się krótko.

— Bywam tu i tam — powiedział. — Jestem niespokojnym duchem, zawsze w ruchu.

— Jak tam hodowla koni, Honey?

— Bez problemów. Teraz koni nie ma. Nie widziałam cię przez ostatnie kilka dni.

— Mnie też tu nie było, Honey — odparł Stuart.

— No cóż, jesteś niespokojnym duchem, tak jak ja - powiedział Honey, powtarzając swój krótki śmiech.

— Zauważyłam, że pewniej stąpasz na prawą nogę — powiedział Stuart.

— Koń mnie zrzucił.

Nic z tej rozmowy nie miało żadnego znaczenia dla tłumu, który, spragniony walki, przyglądał się jej z niechętną uwagą. Wszyscy ci kręcący się tu ludzie, słuchali ich słów z największym zainteresowaniem, ich spojrzenia wędrowały od Logana do Bragga i z powrotem do Logana. Czekali, aż Logan zacznie mówić albo Honey Bragg coś odpowie, ale kolejne chwile wlekły się, jedna za drugą, a Stuart stał, nic nie robiąc i nie odzywając się ani słowem. Wąskie oczy Bragga przewracały się z boku na bok, gdy rzucał badawcze spojrzenia na otaczający ich krąg. Przez chwilę wpatrywał się w Vane'a Blaziera, po czym ponownie skupił swą uwagę na Stuarcie.

„Dobrze się zamaskował”, pomyślał Stuart; tego człowieka przepełniał gniew, lecz z wyjątkiem przelotnych cieni, które przemykały po kącikach jego ust, utrzymywał maskę humoru na swoim miejscu. Kalkulował, czy nacisnąć go, czy nie, w głowie sprytnie planował walkę i wszystko, co mogła ona oznaczać. Tymczasem Stuart nic nie mówił; ciężar spoczywał na Honeyu Braggu.

W tłumie, który obecnie zdał już sobie sprawę z obrotu sprawy, zapanowało poruszenie; Honey Bragg omiótł ten krąg spojrzeniem, które szybko stłumiło niezadowolenie. Potem uśmiech z łatwością powrócił na twarz Honey Bragga. Powiedział:

— Spotkamy się jeszcze kiedyś, Stuart — wykonał obrót i gwałtownym ruchem ramion utorował sobie drogę przez krąg ludzi.

Dotarł do swego konia, wskoczył na siodło, poczekał chwilę, aż dołączy do niego dwóch ludzi i razem wyjechali galopem z miasta.

Wokół rozległy się stłumione i zirytowane narzekania. Ktoś stwierdził:

— Cóż, na Boga, to był kubeł zimnej wody na głowę.

Następnie, w obliczu niezadowalającego wyniku sceny, górnicy rozeszli się w stronę kopalni Jacksonville. Stuart powiedział coś bardzo cicho do Vane'a Blaziera, który ruszył dalej ulicą.

Sam stał jeszcze przez chwilę na ulicy, słuchając, jak trzy konie grupy Honeya Bragga pędzą na wschód w kierunku doliny, w stronę rancza, które Bragg prowadził jakieś pięć mil dalej, i myślał: „Bał się doprowadzić sprawę do końca. Nie jest jeszcze gotów.”

— No i jak, Logan — powiedział ktoś — przekonałeś się, prawda?

Odwrócił się i zobaczył Joe Harmsa i Jonasa Overmire'a - ojca Lucy – oglądających całe zajście z cienia przy szopie Howisona. Joe Harms siedział, jak to miał w zwyczaju, na ławce przed szopą, skrajnie mały człowieczek w podniszczonym garniturze, z rzadkimi siwymi włosami i białą kozią bródką na chudym podbródku. Ławka ta stanowiła ambonę Joe Harmsa, na której spędzał większość dnia i z której wygłaszał swoje

kwaśne komentarze na temat niesprawiedliwości bogatych i ignorancji biednych. Overmire był dziwnym partnerem dla niego, jako prawnik, człowiek o pewnym majątku i znacznym wykształceniu, a jednak obaj często bywali widywani razem. Ustawiczne dyskusje, spokojne lub ostre, tworzyły więź między nimi.

To Joe Harms się odezwał. Idąc w stronę chaty Howisona, Stuart spoglądał na małego człowieczka, siedzącego w swej ulubionej pozycji, lekko przygarbionego, z rękoma wspartymi na nogach, z głową odrzuconą do tyłu i rzucającego ostre, niezadowolone spojrzenie.

— O czym się przekonałem, Joe?

— Że się wycofa.

— Nie — odparł Stuart — nie o tym się przekonałem.

Joe Harms przekrzywił głowę i czekał przez chwile na wyjaśnienia, które jednak się nie pojawiły. Potem dodał:

— Wiesz coś o nim. Dlatego się wycofał. Co o nim wiesz?

Logan rzucił:

— Sam się domyśl, Joe — i poszedł w kierunku swojego sklepu.

Gdy znalazł się poza zasięgiem słuchu, Overmire mruknął:

— Przycisnął Honeya Bragga i Honey pękł.

— Nerwy Honeya są równie dobre, jak każdego innego człowieka. Tak samo dobre jak Stuarta. Ale zauważyłeś, że zatrzymał się i zaczął myśleć, kiedy spoglądał na Stuarta? Pododawał coś w myślach i wynik nie wyszedł mu dobrze. Więc się wycofał.

— Co to może być?

— Chciałbym wiedzieć — odparł Harms. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem dodał tonem, który brzmiał arbitralnie i był kompletnie pozbawiony najmniejszych wątpliwości: — Stuart musi z nim walczyć.

— Dlaczego?

— Ponieważ — powiedział Harms z niezmienną pewnością — miasto chce żeby tak było. Ludziom obiecano walkę i nie dostali jej. Stuart musi to zrobić.

Camrose i Lucy szli ulicą, i Stuart, idąc w ich stronę, pomyślał: „Ujawnił swoje karty, wycofując się. Warto o tym pamiętać”. Zatrzymał się przed parą przyjaciół i zauważył, że Lucy ma zmartwioną twarz.

— Zagrasz dziś małego pokerka? — spytał Camrose.

— Nie — odpowiedział mu Stuart. — Wcześnie rano wyjeżdżam do Scottsburga. Dobranoc.

Ruszył do sklepu, ale Lucy wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię, mówiąc:

— Przejdź się z nami na wzgórze.

— Wiesz — powiedział Camrose, gdy wspinali się łagodnie pod górę — sądzę, że miałeś ochotę na porywającą walkę z Braggiem.

— Przeżyłem rozczarowanie — przyznał Logan. — Ale nie z tego powodu.

— Ach — stwierdził Camrose. — A więc, miasto ma rację.

— Odnośnie czego?

— Słyszałem, jak chłopcy rozmawiali kiedy wracali. Uważali, że to wszystko było bardzo dziwne. Coś w tym musi tkwić.

— Chłopcy będą mieli temat do dyskusji w bezczynne wieczory.

— Założę się, że tak będzie. Nakłonią was do walki.

— Nie mów tak — powiedziała ostro Lucy.

Dotarli do domu Overmire'ów i Camrose odwrócił się do Lucy, aby powiedzieć jej dobranoc.

Stuart odsunął się na bok i zajął się wyłowieniem swojej fajki z kieszeni i napełnianiem jej tytoniem. Nie chciał spoglądać na zażyłość między nimi; to była ich sprawa, w której nie miał żadnego udziału. Ponownie jednak poczuł irytację, kiedy usłyszał, jak Camrose mówi do niej spokojnie:

— Zobaczymy się jutro. Stęskniłem się za tobą.

— To miło z twojej strony, George — odpowiedziała, a Stuart po raz kolejny wychwycił to wyważone i lekko formalne uczucie między nimi. To wyglądało jak ceremonia, której nauczyli się na pamięć. Oderwał uwagę od fajki i spoglądał, jak George nachyla się, aby pożegnać się z nią krótkim pocałunkiem. George uśmiechał się, a jego komentarz zabrzmiał odrobinę złośliwie.

— Logan tego nie pochwala. Widzę to po nim.

Logan oznajmił szorstko:

— Powinieneś całować ją na osobności, George. I powinieneś robić to lepiej.

— No cóż, Logan, zapytam jeszcze raz: Czy ty potrafiłbyś zrobić to lepiej?

Stuart wyjął fajkę z ust. Ogarnął go nagły impuls, który sprawił, że naszły go lekkomyślne pragnienia, a potem uśmiechnął się do Camrose'a i Lucy.

— George — mruknął, — popełniasz błąd.

Czekał na słowa Lucy, które położyłyby kres tym nonsensom i zakończyły je błyskawiczną reprymendą, odsyłającą ich obu do narożników. Spoglądał na nią, oczekując tego i widział, że nie pojawią się one. Nie poruszyła się nawet. Spoglądała na niego z uniesioną twarzą i nieruchomymi ustami. Widział, jak szybko unosi się i opada jej biust, widział, jak blask księżyca wybiela jej szyję, i podszedł do niej zdecydowanie, przyciągając ją do siebie jednym ostrym gestem. Nawet w tej chwili oczekiwał na jej protesty i był zdumiony, że nie nadchodziły; pochylił głowę i pocałował ją, gardząc w tej chwili George'em Camrosem. Jej usta były jędrne, gdy ich dotknął, lecz jędrność ta rozpłynęła się pod jego szorstkim naporem, a ciepły wiatr zawirował w nim i poczuł lekki dotyk jej dłoni za jego rękoma. Złapała równowagę i nie odsunęła się.

Jakby z oddali dobiegł go beznamiętny głos George'a Camrose'a:

— Widzisz, Lucy. Szorstki i niezdarny we wszystkim, co robi. Ten człowiek nie posiada żadnych umiejętności w tej dziedzinie.

Stuart cofnął się. W dłoni trzymał zaciśniętą fajkę i przyciskał ją do niej, a teraz zastanawiał się, czy nie zrobił jej nią krzywdy. Wpatrywała się w niego, nic nie mówiąc. Nagle George Camrose skręcił w dół wzgórza, a jego śmiech powrócił z pełnym echem, jakby był świadkiem wielkiego

żartu. Wciąż się śmiał, kiedy dotarł do głównej ulicy i skręcił nią na wschód.

— Logan — szepnęła Lucy — chyba cię nie lubię.

— Nie mogę cię za to winić. Dobranoc.

Wyciągnęła dłoń i złapała go za rękę. Pocił się, a jego dłoń była wilgotna i zawstydziło go, że to odkryła.

— Poczekaj — powiedziała. — Nie lubię cię, kiedy pomyślę sobie o tym, że całujesz inne kobiety tak samo jak mnie. Czy wiesz, do czego je doprowadzasz? Czy wiesz, czego będą od ciebie oczekiwały?

— Prawda jest taka — odparł, — że oboje jesteście w błędzie. Nigdy nie miałem żadnych romansów z kobietami.

Wydawało się, że ta informacja wstrząsnęła nią. Spoglądała na niego przenikliwie przez ciemność, położyła mu dłoń na płaszczu, a ostry nacisk jej palców wbił się w jego ramię.

— Logan — wyszeptała. — Och, Logan.

Potem odwróciła się prędko i weszła do domu.

Camrose w dość szybkim tempie poruszał się wśród cieni rozjaśnianych tylko plamami światła ulicznych latarni, mając ochotę zasiąść przy stole do pokera u Jacka Lestrade'e. Scena, która rozegrała się między Stuartem i Lucy, wypadła mu już z głowy, jako rzecz, która, choć chwilowo zabawna, nie miała żadnego znaczenia. Skinął mimochodem głową Overmire'owi i Joe Harmsowi, siedzącym pod stodołą Howisona, i zatrzymał się na chwilę przed biurem Bolden & Wilson Express Company, którego był miejscowym zarządcą, aby sprawdzić zamek w drzwiach i solidne drewniane okiennice, zasłaniające okna. Właśnie odchodził od drzwi, gdy zza należącego do Blackera stosu drewna, po drugiej stronie zakurzonej ulicy, wyszedł jeden z górników, zobaczył go i szybko podszedł.

— Szukałem pana — powiedział górnik. — Może pan otworzyć sejf i oddać mi złoty pył, który u pana przechowywałem?

Był to Johnny Steele, który prowadził poszukiwania wzdłuż strumienia Applegate i zostawił w biurze Ekspresu na przechowanie dobrze wypełniony woreczek, oznajmiając, że wybiera się w podróż na kilka miesięcy. Camrose pomyślał: „Co, do diabła, sprowadziło go tak szybko z powrotem?", a jego umysł błyskawicznie przebiegał od jednej wymówki do drugiej. Steele zauważył jego wahanie i dodał lekko przepraszającym tonem.

— Zdaję sobie sprawę, że to uciążliwe o tej porze. Ale mam dziś do rozegrania partię pokera.

Camrose urządził mu pokaz ugodowości.

— W porządku — powiedział i sięgnął po klucze. Gdy wszedł do ciemnego biura, zapalił lampę i odwrócił się do Steele'a. — Będę musiał pana poprosić, aby został pan na zewnątrz, kiedy będę tu wszystko otwierał. Rozumie pan, że taka jest zasada firmy?

— Pewnie, pewnie — odparł Steele i wycofał się z biura.

Camrose zamknął drzwi i podszedł do masywnego sejfu, zdobionego pozłacanymi orłami. Przykucnął i szybko pokręcił gałką, a jego twarz przybrała w tek chili bardziej skupiony wyraz. Kiedy otworzył drzwi, spojrzał na okiennice, aby upewnić się, że chronią go przed ciekawskimi spojrzeniami, i przekopał się przez ciężką warstwę pełnych złota woreczków z jeleniej skóry - każdy z imieniem właściciela i ilością złotego piasku, którą zawierał - aż znalazł ten, należący do Steele'a. Popatrzył na metkę i podniósł się, by położyć woreczek na wadze do odważania złota.

— Osiem uncji — powiedział do siebie bezgłośnym szeptem.

Ponownie zajrzał do sejfu, a jego umysł pracował z niezwykłą szybkością, na skutek lekkiego poczucia desperacji. Pomyślał: „Jackson, nie. Bellemyer, Stroud, McIver.” McIver. Być może. McIver był w Kerbytown i prawdopodobnie nie wróci przez miesiąc. Wziął woreczek Mclvera, otworzył go i ostrożnie wysypał na wagę tylko drobny złoty piasek. Przesypywał go z niej do woreczka Steele'a, aż uzyskał wymaganą wagę, bez dwóch uncji; następnie znalazł niewielką kopertę z nuggetami o szczególnych kształtach, które pierwotnie wyjął z woreczka Steele'a, ale zadbał o to, aby je odłożyć i zachować. Teraz umieścił je na wierzchu woreczka, zważył go ponownie, dosypał niewielką ilość dodatkowego złotego piasku, aby waga dokładnie zgadzała się z przywieszką, i zasznurował go.

Po odłożeniu woreczka McIvera do sejfu, podszedł, by wpuścić Steele'a.

— Proszę bardzo — powiedział i wskazał na woreczek górnika, wciąż leżący na wadze.

Steele rzucił okiem na wagę i przywieszkę.

— Dzięki za fatygę — oznajmił i rozwiązał sznurki, aby przyjrzeć się samorodkom; wybrał jeden z nich kciukiem i palcem wskazującym. — Widzi pan to? Pamiętam, gdzie go znalazłem. Cholerna sprawa. Był wewnątrz starej indiańskiej czaszki. No cóż, jestem zobowiązany. Jestem coś winien?

— Nie — odparł Camrose — cieszę się, że mogłem wyświadczyć panu przysługę — i patrzył, jak Steele wybiera inny samorodek.

Głowa Steele'a przez chwilę pochylała się nad woreczkiem, Steele wydawał się zamyślony, a na jego twarzy pojawił się cień leciutkiego zdziwienia. Potem zasznurował woreczek i wyszedł z biura.

Camrose zamknął i zaryglował sejf, po czym stał przez chwilę z rękami opartymi na blacie, z zarumienioną i zaabsorbowaną twarzą. Zastanawiał się: „Co on takiego zobaczył, co go zaniepokoiło? Co zrobiłem źle?” Powolnie przesuwający się strach, poruszył się gdzieś w jego żołądku, mały i odległy. W końcu zgasił światło i wyszedł z biura, zamykając za sobą drzwi, po czym ruszył w stronę chaty Lestrade'a.

Chata Lestrade'a położona była kilkaset metrów za osadą, zbudowana w płytkim kanionie i otoczona sosnowym lasem. Gdy Camrose dotarł na miejsce, zastał Neila Howisona, doktora Balance'a i Lestrade'a siedzących już przy partyjce pokera. Ponieważ wszyscy byli starymi znajomymi, którzy spotykali się tu prawie co noc, nie mieli sobie wiele do powiedzenia

na powitanie. Camrose po prostu usiadł na krześle, wziął żetony i karty i zaczęli grać.

— Gdzie jest Logan? — spytał Neil Howison.

— Pewnie śpi. Jutro wyjeżdża do Scottsburga.

— Zawsze w ruchu — skomentował Howison. — Chyba nie mam tyle energii, co on.

W palenisku kominka płonął niewielki ogień, a na żurawiu zawieszony był nad nim dzbanek z kawą. Pani Lestrade siedziała przy ogniu, a Camrose ze swojego miejsca przy stole obserwował, jak płomień zabarwia jej twarz i potęguje tajemniczość, którą zawsze w niej widział. Uważał, że była zbyt piękną i wytworną kobietą, jak na te surowe okolice; była stworzona do łagodniejszych miejsc i pochodziła z o wiele przyjemniejszego otoczenia. Wiernie towarzyszyła mężowi w jego poszukiwaniu zdrowia, w milczeniu znosząc jego dziwne nastroje.

— Energii — powtórzył Lestrade na wpół drwiącym głosem. — No cóż, zazdrościłbym każdemu mężczyźnie, który by jej tyle posiadał.

Usiadł z powrotem, a ciepło pomieszczenia lekko zarumieniło jego normalnie blade i bezbarwne policzki. Miał znużoną i rozczarowaną minę, jakby całkiem dobrze rozumiał świat i nie miał z tego większego pożytku. Jego twarz była delikatna, wąska i przystojna, a on sam nigdy nie zaniedbywał by nosić najlepsze ubrania. Najwyraźniej miał pieniądze i doskonałe kontakty. Jego zainteresowania życiowe zawężały się w zasadzie do poszukiwania zdrowia.

— Jak rozumiem — mówił dalej — Logan i Honey Bragg byli bliscy wdania się w walkę.

— Bragg się wycofał — powiedział Howison.

Lestrade wykazał odrobinę zainteresowania.

— Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby to zrobił.

— Nie rozumiem tej ingerencji Logana — stwierdził Howison. — Jest tu wystarczająco długo, by nie mieszać się do nie swoich kłótni.

Dr Balance, starszy od reszty, sięgnął po butelkę whisky i nalał sobie solidną porcję. W średnim wieku, zawsze zapracowany, przychodził tu, aby rozluźnić nieco kości, ukryć się na krótką chwilę przed nieustannymi wezwaniami; miał siwe włosy, solidnie zbudowaną sylwetkę i parę oczu, które miały sporą energię.

— Być może — stwierdził sucho — nie spodobał mu się pomysł, zatłuczenia młodego Blaziera. Reszta z was, zapatrzona w rzymskie tradycje gladiatorów, może nie wzięła pod uwagę tego punktu widzenia.

Howison przyznał szczerze.

— Nie znam tutaj nikogo, kto chciałby spotkać się z Braggiem. To byłaby ciężka sprawa.

— To wiele mówi o tym miasteczku — zauważył Balance — że Stuart może być jedynym.

Howison pokręcił głową.

— To było coś dziwnego. Nie przypominam sobie, żeby Logan rzucił jakieś wyzwanie. Zrobił to w bardzo zawoalowany sposób, jak Boga kocham. Potem wszystko zależało od Bragga. Odniosłem zdecydowane wrażenie, że tkwiło w tym coś więcej niż tylko to, co widzieliśmy.

Lestrade uniósł głowę, teraz już zdecydowanie zainteresowany.
— O co tu może chodzić?
— Nie wiem — odpowiedział Howison.
Grali w ten sposób dalej, czasem rozmawiając, czasem milcząc. Później Lestrade wrócił do tematu, zwracając się do Camrose'a.
— Lepiej powiedz Loganowi, żeby chodził na paluszkach z Honeyem Braggiem.
Camrose odparł:
— Niech Honey Bragg chodzi na paluszkach.
— Bragg jest tak jakby moim przyjacielem. Nie można walczyć w stylu białego człowieka z przeklętą bestią. Nie chciałbym, żeby Logan skończył jako kaleka.
— Masz jakichś dziwacznych przyjaciół — zasugerował dr Balance.
Lestrade odpowiedział przyjaźnie:
— Nie powiedziałem, że go lubię, że mu ufam, że będę go bronił. Powiedziałem tylko, że jest przyjacielem.
— Dobry Boże — stwierdził Camrose. — A jaka jest twoja definicja przyjaciela?
— Jak przypuszczam, każdy człowiek, którego charakter utwierdza mnie w przekonaniu, że rasa ludzka jest wielką pomyłką. — Ogarnął go napad kaszlu i pochylił się do przodu na krześle, a jego twarz zabarwiła się z wysiłku. Dr Balance przyglądał mu się z zawodowym zainteresowaniem, ale nic nie powiedział. Lestrade mruknął: — Zawsze jest zimno i wilgotno. Czy nigdzie na świecie nie jest ciepło?
— Powinieneś zamieszkać na południowym zachodzie — odparł Camrose.
Patrzył, jak Marta Lestrade wstaje z krzesła, krąży przez chwilę po pokoju i zatrzymuje się w kącie. Jej włosy były jedwabiście gładkie i czarne jak najczarniejsza rzecz w przyrodzie; jej rysy były wyraźne, spokojne i smutne. Smutek, jak zauważył, był u niej czymś stałym, zabarwiającym każdy inny wyraz jej twarzy. Jej oczy poruszyły go i pomyślał - tak jak myślał już wielokrotnie wcześniej - że pod jej wiernością płonie ogromny ogień.
— Po co biegać w te i we w te — powiedział Lestrade. — Dzień końca nadejdzie i tak szybko. Równie dobrze może nadejść tutaj, jak i gdzie indziej.
W mroku rozległ się stukot butów, czyjaś pięść uderzyła w drzwi, zaś te otworzyły się i ukazał się w nich górnik.
— Doktorze Balance — powiedział. — W Happy Camp doszło do zawału. Przywieźliśmy człowieka. Ma zmiażdżoną klatkę piersiową.
— Zaraz tam będę. Wróć tam i zdejmijcie mu koszulę.
Górnik wyszedł tym nie zwlekając, podczas gdy Balance wypłacał swoje żetony.
— Marto — powiedział, — mogę dostać trochę kawy?
— Spokojnie to przyjąłeś — zauważył Lestrade. — I zupełnie się nie śpieszysz.
Lekarz wstał i odebrał kawę. Skłonił się pani Lestrade i ostrożnie przełknął napój.

— Nie, nie śpieszę się. Pracuję już długo, ale trzymam tempo. Inaczej bym umarł. Co do tego człowieka, jeśli jego klatka piersiowa jest naprawdę zmiażdżona, nie ma potrzeby się śpieszyć. Niewiele mogę dla niego zrobić. I rzeczywiście jestem spokojny. Tylko głupiec wpadałby w emocje. — Odstawił filiżankę, z uśmiechem odrzucając reprymendę, którą zamierzał teraz udzielić Lestrade'owi. — Ale chociaż jestem spokojny, Jack, nie wpadam w cynizm. Gdybym był filozofem-amatorem i miał tyle wolnego czasu, co ty, mógłbym sobie pozwolić na taki luksus.

— Niech cię diabli — oznajmił Lestrade z dobrodusznym jadem. — Chcesz powiedzieć, że po całym swoim doświadczeniu ze spoconymi, brudnymi zwłokami ludzi, z ich głupimi, brutalnymi szaleństwami, z ich przesądami, ignorancją i skrzywionymi, tanimi namiętnościami, nadal traktujesz ich z jakąś dozą litości czy współczucia?

Język doktora potrafił być ostry, kiedy tego chciał; teraz też tak było.

— Ty nie jesteś realistą. Jesteś nieudacznikiem. W ciągu minuty dowiaduję się o ludziach więcej niż ty przez cały rok. Wiem, z czego są zbudowani i co mogą zrobić, gdy ich zasoby zostaną nadwyrężone. Nie tylko im współczuję. Szanuję ich. — Powiedziawszy to, spokojnie kontynuował dopijanie kawy.

— Ach — skomentował jego słowa Lestrade, machając niecierpliwie ręką.

Camrose powiedział:

— Śmierć przychodzi szybciej, jeśli człowiek się podda. Myślę, że już się poddałeś.

Lestrade wpatrywał się w niego.

— Jeśli chodzi o współczucie, to wcale nie jesteś lepszy ode mnie. Głównie chodzi ci o George'a Camrose'a. Nie marnujesz ani kropli energii w żadnym innym kierunku.

Camrose uśmiechnął się.

— Być może masz rację. Zakładam, że wszystkim nam chodzi o bogactwo. Pozostaje więc kwestia tego, jak najszybciej je osiągnąć.

Marta Lestrade obserwowała go, kiedy to mówił. Był świadomy siły jej ciemnych, nieufnych oczu. Lestrade również przyglądał mu się z wyraźnym wyrachowaniem.

— To szereg liczb ładnie ułożonych w twoich księgach. Życzę ci szczęścia. To brutalny świat. Świat stworzony do zmagań i walki o przetrwanie. Chrześcijańskie cnoty są dla cichych i łagodnych, aby pocieszyć ich w porażce.

— Są pewne fale — powiedział Camrose — i chodzi o to, by płynąć z prądem.

— Nie płyń z prądem zbyt długo — przestrzegł go Lestrade. — Pierwsze dwa lata w każdym obozie górniczym są zawsze najlepsze. Potem zaczyna się robić gorzej. — Niedbale oparł ręce na oparciu krzesła. — Jesteś całkowitym przeciwieństwem swojego przyjaciela Stuarta.

— On szuka innych rzeczy na tym świecie.

— Czego on szuka? — spytał Lestrade.

— Dobrej bójki, dobrego śmiechu, dobrej zabawy. Ma w sobie to coś. Większość ludzi pokocha go, nawet w miejscach, gdzie nie będą dbać o takich jak ty czy ja. Być może to chodzi o jego witalność.

— Niezłe kazanie — skomentował Lestrade i podniósł się z krzesła. — Wystarczająco dobre, aby posłać mnie do łóżka. Ale pamiętaj, fortun nie zbija się na sentymentach. Fortuny zdobywa się brutalnymi i twardymi metodami. Fortuny się zdobywa, a zanim położy się na nich ręce, trzeba koniecznie zniszczyć coś i kogoś.

— Zastanawiałem się nad tym trochę — mruknął Camrose, wciąż się uśmiechając.

Lestrade stanął w drzwiach drugiego pokoju w kajucie, wyglądając w świetle lampy na bardzo wątłego, ale żartobliwie gardząc tą kruchością.

— Najwyraźniej zastanawiałeś się nad wieloma rzeczami.

Howison wstał od stołu.

— Ta rozmowa zrobiła się nudna. Obaj zamartwiacie się tylko, jakby było o co.

— A tu muszę przyznać ci rację — potwierdził dr Balance i odstawił pustą filiżankę.

— Pójdę z tobą do obozu — powiedział Howison. — Jestem dziś w kiepskim humorze.

— Co się stało? — spytał Balance.

— Wysłałem dziś wieczorem Billa Browna do Yreka, z ekspresową przesyłką, zawierającą znaczną ilość złota. Poczuję się lepiej, kiedy dostanę wiadomość, że bezpiecznie dotarł na miejsce.

Balance stał przez chwilę, obserwując Lestrade'a i Camrose'a z drobiazgową uwagą; wyglądało to tak, jakby dostrzegł u tych ludzi jakieś symptomy i teraz poświęcił trochę czasu na znalezienie przyczyn. Szybko jednak jego usta zacisnęły się i rzucając skinienie głowy w stronę reszty pokoju, wyszedł z Howisonem.

Lestrade, stojący na progu sąsiedniego pokoju chaty, uśmiechnął się niewyraźnie do Camrose'a.

— Doktor dziś wieczorem był coś nie w sosie — zauważył. Wykonał elegancki gest dłonią w stronę żony i powiedział: — Zabaw naszego gościa, Marto — i zamknął za sobą drzwi.

Pani Lestrade odwróciła się plecami do ognia i schowała obie ręce za sobą, co spowodowało, że jej ciało wyprostowało się i wysmuklało w sukience. Popatrzyła na niego, a on pomyślał, że po raz kolejny dostrzegł w niej tłumiony bunt.

— Czy wierzysz w te wszystkie dziwne rzeczy, o których mówiłeś? — powiedziała.

— Jeśli chodzi o stosunki między mężczyznami, to wierzę — powiedział. Wstał i podszedł do niej, podekscytowany jej osobą. — Jeśli chodzi o mężczyznę i kobietę...

Nie był pewien siebie ani jej. Zatrzymał się, na granicy odwagi, na granicy przygody. Wydawało mu się, że ona czeka, aby kontynuował dalej; jej milczenie popychało go naprzód tak samo jak cokolwiek innego. Odwrócił się, wziął kapelusz i powiedział:

— Będę już szedł.

Potem znów stanął przed nią i zmagał się z myślą, żeby ją pochwycić i zacząć całować. Wydawało mu się, że ona musi widzieć w nim ten impuls, lecz jeśli go widziała, to nie próbowała go powstrzymać. Pochwycił się mocno w ryzy, jego głos przycichł.

— Kto wie, co się dzieje między mężczyzną a kobietą? Nie można tego wytłumaczyć. Dobranoc.

Odwrócił się i wyszedł z domu. Pani Lestrade krążyła po pokoju, zbierając naczynia ze stołu. Wewnętrzne drzwi otworzyły się i pojawił się tam Lestrade, patrząc na żonę dziwnie krytycznym spojrzeniem.

— Już poszedł?

— Czyżbyś spodziewał się, że zostanie?

Zmienił się w twardszego człowieka, po prostu wchodząc i wychodząc z drugiego pokoju. Obecnie miał w sobie jakąś ostrość, która zastąpiła jego dawne, znużone zachowanie inwalidy. Zdjął kapelusz z gwoździa w ścianie i ruszył do drzwi, a spojrzenie Marty podążało za nim. Powiedziała:

— Jedziesz do Bragga?

— Tak — powiedział. — Marto… bądź miła dla Camrose’a.

— Dlaczego? — spytała. — Żeby wciąż tu przychodził, aby stracić więcej pieniędzy?

Przyjrzał się jej twarzy i przeanalizował jej mroczną powściągliwą postawę. Bawiło go, kiedy powiedział:

— Gdy umrę, mógłby być dla ciebie doskonałym mężem.

— Przynajmniej — odpowiedziała, — byłoby to małżeństwo.

Balance i Howison szli w kompletnym milczeniu aż do środka miasta, gdzie doktor skierował się w stronę swojego biura. Howison zawołał za nim:

— Do zobaczenia jutro wieczorem, na kolejnej partyjce.

Balance zatrzymał się, odwrócił i pokręcił głową. Howisonowi przyszło do głowy, że doktora dręczy w głowie coś, o czym nie miał zamiaru mówić, i było jasne, że musiał pokonać pewne wątpliwości, aby powiedzieć to, co w końcu powiedział.

— Nie, Neil. Nie jutro wieczorem. Ani pojutrze - ani żadnej innej nocy.

— Rzucasz grę w pokera?

— W tamtym miejscu, tak. Radziłbym ci zrobić to samo.

— Dzisiejsza rozmowa też mnie znudziła, doktorze. Ale to była tylko chwilowa rzecz.

— Neil — oznajmił Balance, — chciałbym ci coś powiedzieć. Nasz przyjaciel nie ma gruźlicy.

— Na co więc jest chory? — spytał Howison.

— O to właśnie chodzi. On wcale nie jest kaleką.

Howison miał ogromną ochotę zadać lekarzowi kolejne pytania, ale zanim zdążył to zrobić, Balance machnął mu ręką i poszedł do swojego biura.

Rozdział IV
Druga kobieta

Najbardziej stałym nawykiem w życiu Logana Stuarta była godzina porannej pobudki, czyli czwarta trzydzieści. Dla człowieka, który nie wykazywał najmniejszej metodyczności w żadnym innym szczególe życia, ta ustalona zasada była czymś w rodzaju sposobu na udowodnienie sobie, że byłby w stanie przestrzegać dyscypliny, gdyby tylko chciał. Tylko jeszcze w jednej innej sprawie celowo testował swoją siłę woli: przez jeden miesiąc w roku, zawsze w lutym, nie palił.

Tego ranka, kiedy miasto jeszcze spało, ogolił się i przygotował sobie śniadanie, a potem przeszedł przez cuchnące ciemności sklepu, by otworzyć frontowe drzwi. Cienkie, schłodzone przez noc powietrze uderzyło w niego swoimi suchymi, słodkimi i winnymi zapachami, dzień wyłaniał się coraz szerszymi pasmami jasności ze wschodu, a pierwsze odgłosy budzącego się miasteczka uwydatniane były przez intensywną ciszę wczesnej godziny; głuche uderzenie siekiery o pieniek do rąbania drewna, trzask metalowych drzwiczek pieca, stłumiony kaszel jakiegoś człowieka. Dym z kominów unosił się prosto w niebo, na zblakłym srebrnym pyle ulicy widać było tysiące odcisków stóp, śladów intensywnego ruchu z minionej nocy, a w tym pyle jakiś człowiek spał bez żadnej ochrony, z wyjątkiem kudłatej sierści psa, który leżał przytulony do niego. Przyglądając mu się przez chwilę, Stuart rozpoznał w śpiącym Johna Steele'a.

Pod dachami domostw miasta ludzie częściowo jeszcze spali, dzieląc zwykłe sny, inni budzili się i wychodzili na zewnątrz, dzieląc zwykły głód i troski, i czuli, że te same zwykłe poranne nadzieje, kłębią się w nich i są wzbudzane przez jakiegoś rodzaju ambicje. Niektórzy z nich byli odważni, inni byli łajdakami, niektórzy byli mądrzy, a niektórzy głupcami, a wszyscy osiągnęli poziom życia w znacznej mierze przez siebie stworzony. Byli sobie równi tylko w tym, że pochodzili z tej samej gliny i rozpadali się w ten sam pył; jednakże o tej porze dnia czuł swoją bliskość z nimi, wiedząc, że jest tym samym, czym byli oni.

Wrócił do sklepu, usiadł przy biurku Henry'ego Clenchfielda, zapalił fajkę i rozpoczął żmudną rutynę przeglądania kwitów, rachunków oraz ksiąg swojej firmy przewozowej i handlowej, rozproszonej po całej południowej połowie Oregonu, należności i wydatków, pakunków porozrzucanych wzdłuż tego czy innego szlaku, towarów nadpodażowych i towarów potrzebnych, siana i owsa w stodole, rachunków za naprawy, złotego piasku otrzymanego do wysyłki i pobranych w związku z tym płatności. Przysiadł fałdów dłużej i przejrzał to wszystko. Miał bardzo

dobrą pamięć do szczegółów; znał charakterystykę każdego muła w swojej firmie i ładunek, jaki mógł on unieść, znał wszystkie okrężne szlaki, przeprawy przez rzeki i rodzaj dna każdego brodu; zawsze wiedział, gdzie trawa i woda są najlepsze dla rozłożenia obozu.

Firma Stuart & Company zaczynała od dwóch mułów przenoszących ładunki w górę Applegate; teraz, jak wspomniał Clenchfield, miała sto tysięcy dolarów w zapasach i sprzęcie. Było to jego osobiste dzieło, i wszystko w nim polegało na ryzyku, a bardzo niewiele na posiadaniu. Miasto było już w pełni rozbudzone, a słońce wstało na niebie. Na ulicy usłyszał, jak Vane Blazier klnąc zbierał razem stado mułów do Scottsburga. Wszedł Clenchfield, ogolony, schludny i w kwaśnym nastroju.

— Spodziewam się — powiedział Stuart — że *William Tell* dotrze do Scottsburga i wyokrętuje swój ładunek. Co możemy kupić?

— Żadnego sprzętu. Weź kraciastą bawełnę, mydło, wełniane tkaniny, jeśli mają. Kobiece rzeczy. Ale nie przesadzaj z zakupami. Zawsze kupujesz za dużo.

— Zawsze moglibyśmy sprzedać więcej.

— To się skończy, wcześniej czy później.

To był stary spór, który nigdy się nie kończył. Tego ranka zakończył go John Steele, który pozbierał się z ulicznego pyłu, w podartym i brudnym ubraniu. Steele był w wieku Stuarta, zwykle był wesołym i rozsądnym młodym człowiekiem, ale przyjechał do Jacksonville, mając za sobą miesiąc samotnych poszukiwań złota - i dobrze się zabawił. Stał przed Stuartem w kiepskim nastroju, z twarzą odrapaną od bójek i przekrwionymi oczami. Zdobył się na słaby, niewyraźny uśmiech.

— Musiałem się cholernie dobrze bawić. Ale nic z tego nie pamiętam. Czy człowiek nie powinien mieć choćby paru wspomnień, za tysiąc dolarów?

— Byłeś jak miodowa przynęta dla niedźwiedzi — skomentował Stuart. — Jestem trochę zaskoczony. Znasz te pułapki, Johnny.

— Jasne, że znam — zgodził się Johnny. — Mimo to, kiedy człowiek pracuje jak wół przez rok, a potem pewnego dnia zadaje sobie pytanie po co tak haruje i nie potrafi na to odpowiedzieć, jest to niepokojące. Pomyślałem więc, że się rozluźnię i może dowiem się na co pracuję.

— I dowiedziałeś się?

— Tak — odparł Johnny — dowiedziałem się. Ale żałuję, że to zrobiłem. Teraz zamierzam wykupić działkę Billy'ego Clayforda nad potokiem. Chciałbym na to pieniądze, Logan. Pięćset dolarów. Myślę, że spłacę je po trochu, każdego dnia.

— Henry — polecił Stuart — daj Johnny'emu Steele pięćset dolarów.

Clenchfield powiedział:

— Aha — i zdołał w tym słowie wyrazić swoje kompletne obrzydzenie, po czym wyszedł z budynku.

— Masz tu prawdziwego Szkota — stwierdził Steele. — Dzięki, Logan. — Zanurzył dłonie w kieszeniach spodni i nagle wyciągnął jedną rękę z małym samorodkiem. — Proszę — mruknął z lekkim zaskoczeniem, — nie spłukałem się do końca — i wpatrywał się w samorodek. Zdawał się przypominać mu o minionej nocy i stopniowo jego powieki zaczęły

zasłaniać oczy, aż do połowy. — Logan — powiedział — ile czasu zajmuje otwarcie sejfu?

— Pół minuty - przynajmniej mojego.

— Dziesięć minut to dosyć długo, co? — skomentował Steele i wyszedł z biura.

Po wyjściu Steele'a Stuart wziął swoją fajkę, w zamyśleniu wysypał z niej popiół, napełnił ją tytoniem i zapalił. Pomyślał: „Jakiego sejfu? Camrose'a?” i powoli pokręcił głową. Wstał, obszedł ladę i udał się do swojego mieszkania, aby zabrać torby i strzelbę; kiedy wrócił do dużego pokoju, zastał Clenchfielda.

— Pięćset dolarów — burknął z wyrzutem Henry. — Bez odsetków. Jeśli już musisz pożyczać, rób to z zyskiem.

— Henry — powiedział Stuart — zarabiamy sporo pieniędzy, prawda?

— To żaden argument. Jesteś za miękki.

— Zawsze pozwalaj drugiemu człowiekowi też zarobić trochę pieniędzy. Nigdy nie próbuj zgarnąć wszystkiego dla siebie. Wrócę za dziesięć dni.

Wyruszył w dobrym nastroju; dzień był dobry, a perspektywa jazdy w siodle bardzo go cieszyła. Vane Blazier i Zack Murrow prowadzili właśnie juczne muły przez miasto, a klacz z dzwonkiem szła mądrze na czele orszaku. Przeszedł do swojej stodoły i osiodłał rudego wałacha; był gotów go wyprowadzić, kiedy wszedł Neil Howison i rozejrzał się uważnie po stodole, najwyraźniej pragnąc samotności. Howison wyglądał na wyjątkowo przygnębionego.

— Logan — powiedział, — Bill Brown został napadnięty zeszłej nocy w pobliżu Mountain House.

— Ile jesteś do tyłu?

— Miał przy sobie dwa i pół tysiąca w złotym piasku.

— Chcesz pomocy, Neil?

— Nie, zdołam wytrzymać tę stratę. Ale posłuchaj. Albo przydrożni rabusie po prostu czekają na kogokolwiek, albo dowiedzieli się, co przewozi Bill i czekali właśnie na niego.

— Skąd mogliby wiedzieć? Mówiłeś o tym komukolwiek?

— Wspomniałem o tym wyłącznie w jednym miejscu - ostatniej nocy podczas gry w pokera. Były tam tylko cztery osoby. Balance, Lestrade i jego żona oraz Camrose. Jeśli im nie mogę zaufać, to komu miałbym?

Światło w stodole było dosyć przyćmione, a Logan Stuart opuścił głowę nad wałacha, aby po raz ostatni podciągnąć uprząż. Skończył tę czynność i odwrócił się, by spojrzeć Howisonowi w oczy. Howison chciał poznać jego opinię, a gdy on się nie odezwał, twarz Howisona lekko stwardniała.

— Komu mogę w takim razie zaufać?

— Nie wiem — odparł Stuart.

— Balance powiedział mi wczoraj wieczorem, że postanowił, aby w przyszłości nie grać w karty u Lestrade'a i zasugerował, bym poszedł w jego ślady. O co chodzi, Logan?

Stuart odświeżył ogień w swojej fajce i przez chwilę Howison widział wyraz jego twarzy; było to coś podobnego do miny, którą widział poprzedniej nocy u Honeya Bragga, czujny, ale zdecydowanie otwarty.

— Za dwa i pół tysiąca dolarów, Neil, masz chyba prawo podejrzewać kogokolwiek zechcesz.

— Balance powiedział również, że Lestrade nie cierpi na suchoty i raczej nie jest kaleką.

— I co z tego? — spytał Logan.

Widząc ten brak zaskoczenia, Howison nagle mruknął:

— Czy tylko ja jestem tutaj ślepy? — Widząc, że nie wyciągnie ze Stuarta żadnych dodatkowych informacji, dodał: — Proponuję ponownie wysłać Billa Browna na przynętę, bez większej ilości złota. Proponuję za każdym razem powiedzieć o tym jednej osobie mniej z tej grupy, dopóki nie zawężę sprawy do jednego człowieka.

— Dobry pomysł.

— A jeśli okaże się, że to niewłaściwy człowiek?

Stuart wyprowadził wałacha ze stajni i wspiął się na siodło. Opuścił rondo kapelusza, chroniąc się przed ostrym słońcem padającym nisko ze wschodu i zaczął wpatrywać się w odległą krawędź gór.

— Nawet jeśli znajdziesz niewłaściwego człowieka, Neil, to i tak będzie on złodziejem.

— Nieprzyjemna sprawa.

— Tak — przyznał Stuart. — Dla twojej wiadomości, już w zeszłym tygodniu zrezygnowałem z pokera u Lestrade'a.

Skierował się za juczną karawaną, która po przejściu przez płaską część miasta, wspinała się teraz wzdłuż grzbietu wzgórza i stopniowo zawijała wokół niego ku północnemu wschodowi.

Wychodząc z Jacksonville, szlak przecinał przedgórze graniczące z pociętą dolinami równiną. Nad tym płaskim terenem wznosiła się Table Rock ze swoim spektakularnym, płaskim szczytem, a na pierwszym planie można było podziwiać prostokąt Fortu Lane. Od fortu dolina rozdzielała się na mniejsze doliny, podobne do palców, które w końcu wchłaniane były przez ciężkie masywy Gór Kaskadowych. Tu i ówdzie, w zasięgu widoczności widać było samotne i małe domki osadników.

Przepłynęli promem przez Rogue i podążali dalej szlakiem między wierzbami, sosnami i dębami. Chociaż wszystko szło gładko, podróż była trudna, a przez całą drogę wszyscy trzej - Stuart, Blazier i Murrow - musieli się bardzo uważnie rozglądać, ponieważ znajdowali się w rezerwacie, zamieszkiwanym, choć wydawał się pusty, przez kapryśnych Rogue, których humory nigdy nie były pewne. W środkowych godzinach popołudnia, prowadząca muły grupa zatrzymała się u Dance'a, gdzie Caroline nalała im maślanki ze starego dzbanka z porcelany Wedgwooda i spoglądała na pijącego Stuarta, z pełnym zamyślenia uśmiechem.

— Scottsburg? — rzuciła. — Dużo podróżujesz, Logan.

— Caroline — spytał — kiedy skończysz dwadzieścia lat?

Popatrzyła na niego, próbując odczytać powód jego pytania. Za maską chłodnego zachowania dziewczyny nagle pojawiło się ożywienie, a jej usta odzwierciedlały tę zmianę.

— Już skończyłam dwadzieścia lat — powiedziała.

Odpowiedział:

— Strasznie stara — i podszedł do konia, podczas gdy Blazier i Murrow ustawiali muły w rzędzie.

Przyzwyczaiła się do jego łagodnego przekomarzania; zwykle reagowała na nie stałym uśmiechem, a czasem zdystansowaną wesołością, aby dopasować się do jego sposobu zachowania. Ale zasadniczo była trzeźwo myślącą dziewczyną i był to dla niej poważny temat.

— Przecież to prawda — stwierdziła, — jestem stara już od prawie trzech lat. Szkoda. Będę opóźniona w założeniu własnej rodziny.

Złożył dłonie na łęku siodła.

— Przecież, Caroline, masz duży wybór w dolinie. Tak od ręki przychodzi mi do głowy ze dwunastu mężczyzn.

— Mnie też — zgodziła się, — ale to nie jest rzecz, przy której można by ich odliczać jeden-dwa-trzy, prawda? — Jej oczy były mgliście szare; spoglądała na niego z uwagą, by sprawdzić, czy się z niej śmieje, i po raz kolejny jakaś wewnętrzna ekscytacja ujawniła się w nich swoim gwałtownym błyskiem. — Jedź już sobie, Logan — mruknęła. — Dzień się kończy, a ja muszę ubić masło.

Stała przed domem z dłońmi na fartuchu i patrzyła, jak odjeżdża; a kiedy skręcał, tuż przed wjazdem w pas ciemnego lasu, który wyznaczał początek mozolnej drogi szlaku przez Góry Umpqua, odwrócił się i pomachał do niej. Jej ręka także uniosła się w odpowiedzi - nie gwałtownie, ale z pewnym wahaniem, jakby nie była pewna, czy powinna to zrobić. Jej ojciec dostrzegł to z innej części podwórka i podszedł do niej.

— Caroline — spytał, — lubisz go?

— Chyba tak — odpowiedziała bardzo spokojnym tonem.

Dance potarł dłonią policzki i przyjrzał się córce, pragnąc udzielić jej właściwej rady; trudno było to robić z dziewczyną, która zbyt szybko wyrosła na kobietę, która była tak dojrzała jak jego własna żona.

— No cóż — oznajmił, — jeśli chcesz złapać mężczyznę, musisz na to zapracować.

Wciąż obserwowała drzewa, za którymi zniknęła karawana mułów, i z których dolatywał melodyjny i coraz bardziej cichnący dźwięk dzwonka prowadzącej klaczy.

— Nie chciałabym żadnego mężczyzny, którego musiałabym łapać — powiedziała.

— Ależ oczywiście — zgodził się. — Ty złapiesz jego, a on złapie ciebie. Ale musisz wykonać swoją część pracy. Mężczyzna zawsze myśli, że to on łapie, ale prawda jest taka, że to kobieta prowadzi go na sznurku, a on nie do końca zdaje sobie z tego sprawę.

Popatrzyła na niego z poważnym zainteresowaniem.

— Czy w ten sposób zdobyłeś Mamę?

— Walczyłem o twoją matkę — odpowiedział natychmiast. Potem dostrzegł sprzeczność w swoich słowach i roześmiał się wesoło. — Ale twoja matka dała mi wystarczająco wiele znaków, bym walczył dalej. Mężczyźnie trzeba dawać znaki.

— Może i tak — odparła. Za jej opanowanym wyrazem twarzy krył się mgliście widoczny zapał małej dziewczynki.

Cztery i pół dnia drogi od Jacksonville karawana Stuarta dotarła do ujścia Umpqua, celu podróży. Rzeka, zmierzając ku morzu, przecinała tu stromą doliną pasmo Gór Nadbrzeżnych, pozostawiając jedynie wąski pas ziemi między górami a wodą. Na tym ciasnym płaskim terenie znajdował się Scottsburg, skupisko domów które rozwinęło się na rosnącym znaczeniu handlu karawanami jucznych mułów. Statek *William Tell* stał przy nabrzeżu z trapem przerzuconym do tylnego wejścia do sklepu firmy Poole & Hutchinson.

Stuart dokonał zakupów z towarów przywiezionych przez statek, załadował nimi swoje juczne muły i ruszył w drogę powrotną. Przez całą drogę z Jacksonville rozmyślał o uwadze Johnny'ego Steele'a dotyczącej sejfu Camrose’a, a teraz, w drodze powrotnej, musiał zmierzyć się z kwestią, której długo nie dopuszczał do siebie.

W tym kraju większość ludzi była szorstka, prostolinijna i bezpośrednia, ponieważ nie potrafili zachowywać się inaczej. George, jako jedyny ze jego przyjaciół, zachował polor, lekki cynizm i złożoność charakteru. George zawsze chodził ulicami Jacksonville z miną wykwintnego człowieka, spacerującego po miejskim parku w przyjemne niedzielne popołudnie. Wydawało mu się konieczne, zachowanie odrobiny wesołości, odrobiny sardoniczności, lecz nigdy nie ujawniał w pełni swoich emocji; i tak prawdę mówiąc nigdy przed nikim do końca się nie odsłonił. Jednak pod tym wszystkim krył się urok człowieka, który nakładał więzy przyjaźni na tych, których postanowił polubić.

Przyjaźń musiała być na sto procent, w przeciwnym razie była niczym; dlatego Stuart czuł się nieswojo, patrząc na George'a Camrose'a tak krytycznie, jak robił to teraz. Co kryło się za tym urokiem - siła czy słabość? Czy wesołość tego człowieka była ludzkim i wspaniałomyślnym uczuciem, czy też płytkim echem umysłu pozbawionego silnej wiary? I czym była ta obojętność, która zawsze pętała słowa oraz zachowanie George'a Camrose'a, nawet w takich chwilach, jak z Lucy, kiedy widok jej i wszystkiego co dla niego znaczyła, powinien był odepchnąć na bok konwencjonalny styl jego zachowania? Jeśli nie można go było go rozbudzić w takich sytuacjach, to czy można było go rozbudzić w ogóle?

Takie pytania zadawał sobie, gdy karawana z ładunkiem wytrwale podążała szlakiem, rozbiła obóz i ruszyła w dalszą drogę. W milczeniu tkwiąc w siodle, analizował historie, które docierały do niego na temat Camrose'a; podejrzenia wzbudzone przez Johnny'ego Steele'a, przegrane w pokera, o których wiedział, że Camrose je poniósł, jego przyjaźń z Lestradem, który, jak powiedział Balance, nie był tak aż chorym człowiekiem, za jakiego się podawał. Nocą, pochylając się nad ogniskiem, pykał z fajki i analizował Camrose'a pod kątem swoich pytań; owinięty kocem obserwował blask gwiazd i powoli dochodził do konkluzji. Nie można było w pełni osądzić człowieka, nigdy nie było pewne, co kryje się

w najdalszym zakątku ludzkiego serca; jeśli chodzi o George'a Camrose'a, tkwiła w nim pewna słabość, ale skoro Lucy go kochała, musiał mieć w sobie również i wartość, której inne oczy nie były w stanie w pełni dostrzec. W każdym razie, Lucy go sobie wybrała i to był koniec całej historii.

Zapadał coraz głębiej w zadumę, aż w końcu ledwie usłyszał kilka słów, które Vane Blazier wypowiedział do niego w ciągu tego dnia. Jeśli mężczyzna miał w swej głowie obraz jakiejś kobiety, słyszał przez wszystkie godziny dnia jej głos, i czuł jej zapach w najbardziej dziwnych chwilach i miejscach, dlaczego nie chciałby o nią walczyć? Czym była ta obojętność George'a Camrose'a, wobec jego własnego, nigdy nie słabnącego pożądania Lucy? Przypomniał sobie beztroskie rozbawienie Camrose'a, gdy on, Stuart, pocałował ją i wycofał się, nienawidząc George'a za ten głupi żart, i teraz zastanawiał się, jak mogła wyglądać dusza Camrose'a, skoro pozostała niewzruszona na taki widok.

Przez całą drogę do Canyonville pozostawał w takim stanie. Nagle, kiedy ruszyli przez góry, skończył ze wszystkimi spekulacjami i wiedział już, jaka jest jego rola; była dokładnie taka sama, jak wcześniej. Od tej chwili zaczął rozmawiać i wpadł w wesoły nastrój. Zack Murrow i Vane Blazier spoglądali na niego ze zdziwieniem.

— Co cię gryzie? — spytał Blazier.

— Następne czterdzieści lat — odpowiedział mu Stuart.

— A dlaczego — stwierdził Blazier, — człowiek nie może wyglądać tak daleko w przyszłość.

— Wcale nie tak daleko, jak ci się wydaje.

Droga przez kanion była spokojna, a nad Wolf Creek obozował znudzony młody porucznik Bristow i jego dwudziestu dragonów.

— Kompletny spokój — powiedział. — Wiesz coś może o tych ludziach? Wyczuwam ich gdzieś w lesie, obserwują. To niespokojna rasa.

Czwartej doby, o zmierzchu, karawana zatrzymała się u Dance'a, a Stuart, Blazier i Murrow zasiedli do kolacji. Trzej chłopcy Dance'a, dzicy i nieśmiali, zjedli bez słowa, po czym wstali i bezszelestnie zniknęli w mroku nocy. Dance usiadł i delektował się swoją fajką. Pani Dance i Caroline zajmowały się zmywaniem.

— Porucznik — powiedział Stuart — nie wie, co myśleć o tym zaklęciu spokoju.

— Po prostu jeździ tam i z powrotem, poszerzając szlak — odparł Dance. — Łotry słyszą go z odległości wielu mil. Przypuszczam, że jest to jakiś sposób na zabicie czasu, ale jeśli zaczną się kłopoty, on pierwszy zostanie zaatakowany. Nie zna indiańskiego stylu walki.

— Dlaczego mu nie powiesz?

— Ma taką małą brązową książeczkę. Jeśli coś nie pochodzi z tej książki, to nie jest prawdą.

Murrow wstał i odszedł do swoich koców przed domem. Van Blazier, podążając za nim, zatrzymał się w drzwiach i popatrzył w kierunku Caroline. Zainteresowanie zatrzymało go tam, mimo że nieśmiałość kazała

mu milczeć. Obserwował ją, jak chodziła po pokoju, a gdy zdała sobie sprawę z jego zainteresowania i spojrzała na niego, zarumienił się i wyszedł na zewnątrz. Dance, obserwując to, uśmiechnął się chytrze do córki, która wróciła do swoich obowiązków.

— Ben — powiedział Stuart, — jesteś dziesięć mil od najbliższego sąsiada i na samym celowniku kłopotów, jeśli się pojawią.

— Przecież — odparł Dance — mam solidny dom, gdyby zaatakowali, i mam trzech synów, którzy do rana będą wiedzieć, czy jakiś Indianin nie znalazł się w promieniu dwóch mil od tego miejsca. Nie ufam traktatowi pokojowemu z nimi. To była ich ziemia i oni o tym nie zapominają. Kiedy tu przychodzą i mówią spokojnie, wiem, co kryje się za ich oczami - to zwykła nienawiść. Ale my mamy siłę i nie pokonają nas, jeśli nie zrobią tego z zaskoczenia. Wiedzą o tym i zachowują spokój - chyba że podburzy ich jakiś szaman albo jakiś biały popełni morderstwo, które ich rozjuszy.

— Jedno i drugie jest możliwe.

— Siedzimy na beczce prochu — zgodził się z nim Dance i nie znajdował w tym złowieszczym stwierdzeniu niczego, co mogłoby zakłócić jego spokój. — Gdyby uderzyli szybko, mogliby zmieść z powierzchni ziemi każdego osadnika między Evans Creek a Anslemem.

— Będziesz wiedział o tym wcześniej — zauważył Stuart. — Zaczną się przemieszczać. Będą coraz śmielsi, kiedy będą prosić o jedzenie. Staną się bezczelni. To będzie chwila, byś wyniósł się do fortu.

Pani Dance, po skończonej pracy, po cichu przeszła do sypialni. Kiedy zasunęła zasłony, te zatrzeszczały gwałtownie, zwracając uwagę Dance'a. Powiedział:

— To jest mój fort i niech mnie diabli, jeśli się stąd gdzieś ruszę — po czym siedział przez chwilę nieruchomo, szarpiąc palcami brodę. Po chwili podniósł się z potężnym ziewnięciem, przeszedł w mokasynach po nierównej podłodze, uśmiechnął się ukradkiem do córki i zniknął za zasłonami. W tym człowieku zawsze było trochę diabolicznego humoru i to sprawiło, że teraz powiedział głośno do swojej żony: — Anno, nawet kury nie poszły jeszcze na grzędę.

Spokojny głos jego żony zabrzmiał w całkiem niezłej ripoście.

— Ufam, że ty masz więcej rozumu niż kury.

Caroline zamiotła podłogę i stała przez chwilę na środku pokoju, zastanawiając się nad tym, co zostało zrobione i nad tym, co powinno jeszcze zostać zrobione. Zaplanowała w myślach następny dzień tak, aby kiedy nadejdzie, wstać wcześnie i zabrać się do pracy bez konieczności planowania. W końcu zdjęła fartuch, a na jej policzkach zagościł lżejszy nastrój. Wzięła z półki okrągły trzcinowy koszyk, w którym znajdowały się podarte pończochy oraz nici do cerowania, i usiadła w bujaku. Kiedy uporała się z tym obowiązkiem, zatrzymała się na chwilę i uniosła głowę, by spojrzeć na Stuarta wzrokiem, którego nie był w stanie zrozumieć.

Wiedział, że jest najspokojniejszą z dziewcząt, zawsze skłonną do praktycznego spojrzenia na sprawy; wiedział, że ma własną wolę i dużo pewności siebie. Poza tym, niczego nie był pewien. Była dojrzała pod wieloma względami, ale od czasu do czasu, gdy widział, jak z jej twarzy znika powaga, a w oczach pojawia się błysk podekscytowania małej

dziewczynki, zastanawiał się, gdzie kończy się młodość, a zaczyna dojrzałość. Czasami wydawało mu się, że jej spokój zawiera w sobie najostrzejszy rodzaj mądrości, lecz innym razem myślał, że ten spokój może skrywać sporo zdziwienia i wiele miękkich, ciepłych marzeń. Była dla niego czystą sprzecznością.

— Logan — spytała, — naprawdę myślisz, że Indianie powstaną?

— To zawsze możliwe. Jak dotąd, co roku sprawiali kłopoty.

— Byłoby miło, gdybyśmy pewnego dnia nie musieli się już o to martwić.

— Pewnego dnia cała dolina będzie zajęta przez miasto.

— To by mi się na pewno nie spodobało — powiedziała. — Tak jest najlepiej.

Zwykle lubiła, kiedy wszystko było po staremu. To odzywała się jej silna, konserwatywna natura. Podejrzewała zmiany i czuła się przez nie zagrożona. Pozwolił, by cisza trwała, podczas gdy on zaciągał się dymem z fajki i rozmyślał o niej. Gdyby za niego wyszła, podążałaby za nim, bo to leżało w jej naturze, ale czy spodobałoby jej się życie, jakie by jej zapewnił? Czy kiedykolwiek odkryje, że choć może dać jej wiele, jednej rzeczy będzie jej brakować?

W międzyczasie kontynuowała cerowanie, a ciepło pokoju zabarwiło jej policzki. Pomyślał, że jest ładniejsza niż przedtem; była słodsza, a jej rysy zrobiły się cieplejsze i bardziej wyraziste. Nagle przerwała swoją robótkę i spojrzała na niego, a on po raz kolejny dostrzegł na jej twarzy ślad ulotnego podniecenia.

— Nie, nie spodobałoby mi się to. To ładne miejsce. Mój ojciec je zbudował i chcę w nim mieszkać. Chciałabym, żeby wszystkie moje dzieci tu dorastały. Kiedy będą wystarczająco dorosłe, chcę, by - jeśli będą chłopcami - zajęły ziemię w pobliżu. Jeśli będą dziewczynkami, chcę, aby wyszły za mąż za sąsiadów i nie wyprowadzały się gdzieś daleko. Nie jest dobrze, gdy ludzie ciągle się przeprowadzają i są rozdarci. Lubię wstawać wcześnie i patrzeć, jak słońce zachodzi nad górami. Lubię patrzeć, jak mgła kładzie się nocą na łące. Lubię słyszeć ludzi z dala - ich głosy dobiegające przed nimi, gdy wokół panuje cisza. Kiedy umrę, chciałbym wiedzieć, że moje dzieci będą stały tam, gdzie ja i widziały to samo co ja.

— Mężczyzna, którego wybierzesz — powiedział, — może nie chcieć tu zostać.

Opuściła głowę i zajęła się ponownie cerowaniem.

— Wiem — mruknęła. — Ale przynajmniej jest o czym myśleć, nawet jeśli nigdy nie będzie to nic więcej niż tylko myślenie.

— Kiedy stąd gdzieś wyjeżdżasz, czyni cię to nieszczęśliwą?

Przez krótką chwilę migała igłą, zastanawiając się nad tym. Potem powiedziała cicho:

— Nie, nie jestem nieszczęśliwa. Moja babcia się przeprowadziła i moja matka się przeprowadziła. Mogę stworzyć nowy dom równie dobrze jak one. Tylko, że nie chciałabym za dużo się przeprowadzać. Ciężko byłoby ciągle naprawiać nową chatę albo zakładać nowy ogród.

Od razu pomyślała o tych rzeczach, solidnych, trwałych i użytecznych. Wtedy wydawało mu się, że dowiedział o niej już tyle, ile nie myślał, że w

ogóle kiedykolwiek się dowie, lecz w następnej chwili wiedział już znacznie mniej, bo powiedziała coś, co go zaintrygowało.

— Tęsknię za babcią. Była taką uśmiechniętą kobietą. Zawsze lubiłam patrzeć, jak siedzi i odpoczywa. Miała piękne dłonie i gładką twarz. Miała dwanaścioro dzieci, wszystkie dorosły i odeszły, a teraz została sama w Kentucky. Tak mi jej żal, że jest sama. Ludzie powinni być blisko siebie. Rodziny powinny trzymać się razem. Byłoby wspaniale usiąść do świątecznego obiadu ze wszystkimi. Pamiętam, jak mama mówiła, że rodzina Boydów ze Wschodu, miała kiedyś osiemdziesiąt trzy osoby na Święcie Dziękczynienia. To musiało sprawić, że wszyscy poczuli się dobrze.

Pomyślał, że małe rzeczy były jej bardzo bliskie; małe rzeczy były dla niej czymś wielkim i uczyniła z nich swój świat. Wstał, wsypał popiół z fajki do pieca, napełnił ją tytoniem i usiadł ponownie. Przestała pracować. Siedziała nieruchomo, obserwując go, a on pomyślał, że chce mu coś powiedzieć. W jej oczach malowało się jasne pragnienie, które sprawiało, że cała jej twarz była pełna nadziei. Taka była Caroline, tyle z niej można było wyczytać, ile chciała, by ktoś zobaczył.

— Co, Caroline?

Powiedziała:

— Czy lubisz Jacksonville?

Zdał sobie sprawę, że nie to miała na myśli.

— To miejsce, w którym można robić interesy — odparł.

Wróciła do swojej robótki i znów się odezwała.

— Nie jesteś religijnym człowiekiem.

— Nie chodzę zbyt często do kościoła, może powinienem.

— Kiedy tylko kościół jest w pobliżu — powiedziała, — powinieneś. Nie żebym lubiła jakichś wyjątkowo religijnych mężczyzn. Wszyscy oni wyglądają na zasuszonych i głodnych.

Odchylił się na krześle i cicho się zaśmiał. Popatrzyła na niego, zadowolona, że jest w dobrym humorze. Później, wciąż beztroskim tonem, mówiła dalej:

— Jesteś oszczędny? Ludzie mówią, że zarabiasz pieniądze, ale nie trzymają się ciebie.

— Nie zwracam na to zbytniej uwagi — stwierdził.

— Mężczyźni nie mają takiego nawyku — powiedziała, jakby chciała go usprawiedliwić. — Ale nie jesteś spokojny. Wszyscy tak mówią.

— Tak — przyznał, — chyba tak jest.

— Przypuszczam, że łatwo być taką osobą, jeśli nie ma się nic do roboty w domu poza kawalerskim życiem. — Teraz, wciąż z opuszczoną głową, dorzuciła pozornie nieistotne pytanie. — Kiedy Lucy ma wyjść za George'a Camrose'a?

— Nie wiem.

— Ja chyba bym go nie chciała — oznajmiła i popatrzyła na niego, dość szybko obracając głową.

W tej chwili poczuł, że ponownie ogarnia go niepewność. Uśmiechnął się do niej, mówiąc:

— Każdy ma swój gust — i jednocześnie zastanawiał się, co kryje się za jej pozornie prostymi pytaniami.

Stawką było czterdzieści kolejnych lat życia. Skąd człowiek miał wiedzieć, co jest mądre, dobre lub uczciwe? Pewne było tylko jedno - że te czterdzieści lat nie będzie czekać.

Wstał, wiedząc, że stoi przed decyzją i nie może jej opóźniać. Więc powiedział:

— Rozumiem, że jutro wieczorem wszyscy pójdą do Applegate, żeby postawić dom i zobaczyć ślub Graya Bartletta i Lizy Stone.

— Tak.

Ponownie podszedł do pieca i wytrząsnął popiół. Powiedział:

— Będę tam — i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

Siedziała z rękami wciąż na kolanach, spoglądając przez pokój na ścianę. Jej twarz była w tym momencie tak wyraźnie ekspresyjna, jak nigdy wcześniej - ani nigdy później nie widział jej tak obrazowo okazującej światło i cień jej uczuć - przyjemność, jaką przyniosły jej jego słowa, zachwyt i serdeczność, jaka nastąpiła po niej, i dziwne, leciutkie drgnięcie smutku, które nastąpiło potem. Uniosła ramiona i spojrzała na niego, uśmiechając się do niego i uśmiechając się dla niego.

— Tak — obiecała. — Ja też tam będę.

— Dobranoc — powiedział i wyszedł z domu w kierunku swoich koców.

Usłyszał miękkie, dźwięczne echo jej głosu, które za nim podążyło.

— Dobranoc, Logan.

Rozdział V
Rodzą się wątpliwości

Latem, po tym, jak słońce schowało się za wzgórzami na zachód od miasta, nastawała długa i piękna godzina, w której zarówno cień, jak i światło zdawały się zamierać w bezruchu. Schodząc łagodnie opadającą ścieżką do domu Overmire'ów, George Camrose co jakiś czas rozglądał się, by podziwiać płonące wzdłuż potoku ogniska, na których przygotowywano kolację, i dym unoszący się w perłowym powietrzu. O tej porze ulice miasta były puste i panował na nich nastrój rozluźnienia, jakby wszyscy ludzie, oderwani od poważnych prac, czekali na wieczór i wieczorne rozrywki. „Rezygnacja z sumienności i rzucenie się w ramiona zabawy”, pomyślał z typowym dla siebie sardonicznym humorem. Jakby wszyscy mieli dwa oblicza: w dzień byli zajęci, niecierpliwi i mocno zatopieni w pracy, a nocą robili się lekkomyślni i frywolni. Często o tym myślał i dochodził do wniosku, że ludzie, którzy tak długo pracowali na swoje bogactwo i tak szybko je wydawali, są głupcami, którym nie należy współczuć.

Lucy stanęła w drzwiach, by powitać go ze zwykłą spokojną uprzejmością. Zjadł kolację z jej rodziną i przez krótki czas siedział z nimi w pokoju, podczas gdy rozpalano lampy, a rozmowa swobodnie przeskakiwała z jednego tematu na drugi. Po chwili Lucy wstała i spojrzała na niego, po czym oboje wyszli w wieczorny mrok i spacerowali wzdłuż obrzeży miasta, czując wokół siebie mocne zapachy gorącego dnia.

— No tak — stwierdził, — to był kolejny nudny dzień. Nikt nie zginął, nikt nie został okradziony, żadnych dziesięciofuntowych samorodków.

— Zawsze żyjemy na fali nadziei, czekając na wielkie rzeczy, które mają się wydarzyć.

— Typowe uczucie dla obozu górniczego. Zawsze oczekujemy wielkiego jutra, które nigdy nie nadchodzi.

— A jednak, ja kocham ten kraj. Jestem tu w pełni szczęśliwa.

— Ach, Lucy — powiedział, — tak wiele tego świata nam umyka. To tylko jeden niewielki, samotny zakątek. Jesteśmy trzy tysiące mil od głównego nurtu cywilizacji.

— Zabrzmiało to, jakbyś był zmęczony — stwierdziła z namysłem.

— Jestem wielbicielem rezydencji z pluszowymi meblami i Bóg jeden wie, co bym dał, żeby pójść do restauracji i posłuchać muzyki do kolacji. Nie mogę się doczekać kolejnego ruchu.

— A na czym będzie on polegał?

— Albo na przeniesieniu do biura firmy w San Francisco - i jestem pewien, że ci się tam spodoba - albo podjęcie innego rodzaju pracy. Znam

się na górnictwie i górniczych miastach i myślę, że pewnego dnia mógłbym wyjechać na wschód i zatrudnić się w jednej z tych dużych firm, które zajmują się interesami górniczymi. — Potem dodał coś jeszcze, nie zmieniając tonu swojego głosu. — Kiedy się pobierzemy?

Szli przed siebie w milczeniu, ramię w ramię. Brak natychmiastowej odpowiedzi sprawił, że spoglądał na nią, ona zaś powiedziała dopiero po chwili:

— Nie wiedziałam, że tak bardzo się niecierpliwisz.

Zachował lekkość tonu i delikatny cień rozbawienia.

— Nie jestem tak obcesowy i przytłaczający, jak Logan.

Szybko odparła:

— Nie popadajmy w zbyt poważny ton.

— Próbuję ci coś powiedzieć, Lucy. Nie jestem typem człowieka, podobnego do Logana. On nie odpowiada za swój charakter, a ja nie odpowiadam za mój. Tak się składa, że jesteśmy tym, kim jesteśmy, ni mniej, ni więcej.

— Czy kiedykolwiek to kwestionowałam?

— Czasami odnoszę wrażenie, że nas porównujesz, co stawia mnie w niekorzystnej sytuacji. Ale, Lucy, bardzo cię kocham.

— Ależ, George.

Widział, że udało mu się ją głęboko poruszyć, więc przyciągnął ją do siebie i pocałował. Był to delikatny pocałunek, szybko zakończony; zaraz potem odsunął się, by obserwować jej twarz w tych aksamitnych mrokach nocy.

— Czy powinienem zacząć zachowywać się obcesowo i gwałtownie? Myślę, że tego oczekiwałaś. Czy to musi być furia i pioruny, byś uznała uczucie za prawdziwe?

W jej głosie zabrzmiała nagła energia.

— Dlaczego zawsze dzielisz włos na czworo?

— To chyba jakaś moja słabość. Albo strach, że nie jestem wystarczająco twardy i obcesowy.

— Próbujesz mi powiedzieć, że masz mi za złe sposób, w jaki Logan mnie pocałował? W końcu sam do tego doprowadziłeś. Dlaczego to zrobiłeś?

Wzruszył ramionami i powiedział tylko:

— Logana irytowało, że to zrobiłem.

— Nie okazałeś tego.

— Nigdy nie okazuję swojego prawdziwego ja. — Zaśmiał się lekko i objął ją ramieniem, po czym oboje ruszyli w stronę domu Overmire'ów. — Jesteście bardzo do siebie podobni — powiedział. Lecz był już raczej w radosnym nastroju, jego niewielki wybuch emocji minął, a przy drzwiach domu zdjął z głowy kapelusz. — Nie czekajmy zbyt długo. Czuję się bardzo samotny.

— George — oznajmiła tak poważnie, jak jeszcze nigdy tego u niej nie widział — nie komplikuj spraw między nami. Nie bądź taki przepełniony zdziwieniem i wątpliwościami. Niech wszystko będzie proste i klarowne.

— Moje myśli rzadko podróżują po linii prostej — odparł.

— Czy twoje uczucia również nie podróżują po linii prostej?

— Nie — powiedział. — Nie. Wierzę, że tak nie jest.

— Więc niech będzie prosta. Nie wolno ci mnie zwodzić.

Skłonił się jej z pozorną wesołością; przez chwilę uważnie przyglądał się jej twarzy, szukając jakiegoś ulotnego wyrazu, który mógłby zdradzić inne emocje, jakie mogła przed nim ukrywać. Potem zszedł na dół ze wzgórza, skręcił przy sklepie Stuarta i zniknął jej z oczu, by w końcu znów pojawić się na ścieżce prowadzącej do Lestrade'ów.

Wiedziała, dokąd idzie, i pomyślała: „Woli grać w pokera niż zostać tutaj". Powinno to wzbudzić w niej zarówno urazę, jak i zazdrość, ale tak się nie stało. Złożyła ręce na piersiach, przypominając sobie, że dziś wieczorem po raz pierwszy od wielu dni bardzo ją poruszył. Wróciła myślami do początków ich znajomości, kiedy była tak pewna jego i siebie, kiedy wszystko między nimi było cudowne, kiedy czekała na małżeństwo ze straszliwą niecierpliwością.

Była wstrząśnięta realizmem swych obecnych myśli. Czuła do niego gniew, za to, że odebrał jej tę jasną rzecz, jaka była między nimi i zamącił ją swoimi pytaniami, obojętnością, dziwnymi gierkami. Przypomniała sobie ostrożne uwagi ludzi na temat jego zwyczaju gry w pokera - wypowiadane żartobliwie i szybko urywane, lecz zdecydowanie mające stanowić ostrzeżenie. Przed oczyma stanęła jej twarz George'a, jej czarująca uroda i radosna zmienność - a potem dostrzegła pewne niewielkie szczegóły, których wcześniej nie zauważała, wąskość tej twarzy i jej ostre krawędzie. Natychmiast przywołała się do porządku. „Muszę z tym skończyć." Jeśli był taką osobą, za jaką uważała go rok wcześniej, to teraz przecież był tym samym człowiekiem. I właśnie to najbardziej ją niepokoiło - to zwątpienie we własne osądy; we własnym umyśle stała się zmienna, kapryśna i słaba.

Bolało ją, gdy pomyślała, jak wielkie i silne wrażenie wywarł na niej pocałunek Logana Stuarta - jak żywe i trwałe, a teraz nawet niepokojące. „Powinnam się tego wstydzić", pomyślała. „Powinnam się wstydzić, że inny mężczyzna mógł wywołać we mnie takie uczucia". Czasami była dla siebie obcą osobą, zdumiona była rzeczami, o których istnieniu nie miała wcześniej pojęcia, a gdy przyszło jej zmierzyć się z nocą, czuła realny strach przed przyszłością. Działo się z nią coś niedobrego. Nienawidziła tego i opierała się temu, ale nie mogła tego powstrzymać.

Idąc ulicą, Camrose minął po drodze Joego Harmsa, który jak zwykle siedział na ławce przed stodołą Howisona. Nie przywitał się z nim, a Harms nie odezwał się do niego; prawda była taka, że Camrose nigdy nie ufał temu małemu, wątłemu człowieczkowi, który czaił się jak pająk w półmroku i szpiegował miasto. W biurze firmy, gdy wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i zapalił lampę. Następnie, rzucając okiem na okiennice, by upewnić się, że są szczelnie zamknięte, chwycił za pokrętło sejfu i otworzył ciężkie drzwi.

Złoty piasek zakupiony przez firmę, spoczywał na górnej półce, czekając na dogodną chwilę do wysyłki, zaś obok leżały starannie ułożone złote monety, używane w codziennych interesach; na dolnej półce stały

grube woreczki górników, przechowywane dla nich, aby zapewnić bezpieczeństwo, i zwracane im na żądanie. Woreczek McIvera był tym, z którego ostatnio pożyczał, i teraz wziął go oraz położył na wadze, aby odświeżyć sobie pamięć co do ilości, którą już z niego pożyczył.

Na jego twarzy pojawił się lekki grymas, gdy obserwował, jak waga opada coraz niżej; stał w zamyśleniu, opierając łokcie na ladzie. Przypuszczał, że McIver wyruszył na poszukiwanie złota, gdzieś w dole Rogue i dlatego nie wróci przez jakiś czas. Załóżmy jednak, że pojawiłby się nagle, tak jak to zrobił Steele. Prawda była taka, że gra stawała się coraz bardziej ryzykowna; nie można było w nieskończoność żonglować złotym piaskiem i wiecznie mieć nadzieję, że dobra nocna partyjka pokera wyrówna rachunki.

Odłożył woreczek McIvera do sejfu i stanął, debatując sam ze sobą. Dobra nocna wygrana mogłaby to wszystko zmienić, a prędzej czy później musiała nadejść. Istniała też inna możliwość, a mianowicie, że któryś z górników, którzy zostawili tu złoto na przechowanie, zginąłby w jakimś nagłym wypadku lub bójce, pozostawiając złoto bez właściciela. Myślał o tym bez przerwy przez ostatnie dwa tygodnie, obracając nieustannie w głowie tę perspektywę. Na przykład śmierć McIvera byłaby dla niego prawdziwym uśmiechem szczęścia. Wzruszył ramionami i bijąc się z lekkimi skrupułami, wsunął do kieszeni sto dolarów w złotych monetach firmy, po czym zamknął sejf. Gdy zamknął za sobą biuro, ruszył w stronę chaty Lestrade'a.

Kilka chwil później Joe Harms wyszedł z wąskiej przestrzeni między biurem pocztowym a stodołą Howisona; przez parę ostatnich minut zaczaił się w kucki pod ścianą biura pocztowego, z okiem przyciśniętym do dziury w chropowatej ścianie budynku; była to bardzo mała dziura, ale dawała mu doskonały widok na to co robił Camrose.

Lestrade'owie i Howison siedzieli wygodnie przy ogniu, gdy przybył Camrose, a pani Lestrade wstała, aby nalać mu gorącego ponczu z whisky.

— Naprawdę — oznajmił Lestrade — mamy za mało chętnych do gry. Logan wyjechał z miasta, a Balance jest gdzieś na swych miłosiernych posługach. Napij się ponczu, George, i zakończmy ten dzień.

Nigdy nie należał do ludzi uprzejmych i gościnnych, a tego wieczoru wydawał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie niż zwykle, wręcz do punktu niechęci. Siedział blisko ognia, jakby nie mógł wystarczająco mocno rozgrzać kości, a twarz miał zmęczoną. Pani Lestrade, jak zdawało się Camrose’owi, była zdecydowanie zmartwiona nastrojem męża; siedziała bardzo cicha i poważna. Howison, zdając się również wyczuwać ten brak atmosfery, nagle skończył swój poncz i wstał, by odejść.

— Jutro jest nowy dzień.

— Te nowe dni wkrótce się skończą — burknął Lestrade.

— Bardzo wesoła myśl — zauważył sucho Howison. — Jesteś mistrzem w użalaniu się nad sobą.

Lestrade uniósł głowę, by obrzucić Howisona pełnym goryczy spojrzeniem, a Camrose po raz pierwszy zauważył, że oczy Lestrade'a są mocno przekrwione, jakby mężczyzna sporo wypił.

— Chwila, chwila — wtrącił Camrose. — To nie jest dobry sposób na rozpoczęcie, czy też zakończenie wieczoru.

— Zakończ go jak sobie chcesz — odparł Lestrade i zakaszlał.

Howison ruszył do drzwi. Idąc za nim, Camrose zauważył, że Marta Lestrade dosyć uważnie i niemal bez wyrazu przygląda się swojemu mężowi. Uniosła wzrok, podchwyciła spojrzenie Camrose'a i odpowiadała mu na nie przez dłuższą chwilę. Po wyjściu z domu, dołączywszy do Howisona, próbował zrozumieć to spojrzenie i ogarnęło go lekkie podniecenie, gdy bawił się myślą, że ona milcząco coś do niego mówi.

Howison szedł ścieżką z ponurą miną, wciąż wyraźnie nie w sosie. Camrose powiedział:

— Musimy być wyrozumiali dla chorego człowieka, Neil. On umiera.

— Czyżby? — odparł krótko Howison i ruszył w stronę swojej chaty.

Camrose zawołał za nim.

— Jutro wieczorem, Neil?

— Nie, raczej nie.

Camrose przechadzał się dalej samotnie, a jego wieczór dobiegł końca. Poszedł do Lestrade'a mając ochotę na pokera i wyszedł z niezaspokojonym pragnieniem gry. Była to chęć, nad którą nie mógł zapanować i nagle skręcił w ślepy zaułek do Hobarta, gdzie zastał toczącą się gorącą grę i zajął miejsce przy stole. Tej nocy, pomyślał, będzie lepiej; tej nocy jego szczęście się odmieni.

Lestrade podniósł się z krzesła, wyglądając zupełnie inaczej, i sięgnął po kapelusz. Uśmiechnął się do żony.

— Myślisz, że dobrze gram rolę krnąbrnego kaleki, Marto?

— Za dobrze. Wyszli stąd źli na ciebie.

— Nie przychodzą tutaj z sympatii do mnie — zauważył. — Balance przyjeżdża, by uciec od bólów i dolegliwości swoich pacjentów, Howison przyjeżdża, bo jest kawalerem i nie ma lepszego zajęcia, a Camrose'a przyciąga nadzieja, że uda mu się zarobić na kartach. A może — i spojrzał na żonę chłodno — aby obserwować ciebie, w poszukiwaniu oznak aprobaty. Czy dajesz mu znaki aprobaty, Marto?

— Jesteś dzisiaj wredny.

— Jestem realistą, a wszyscy realiści są wredni, gdy rozbijają romantyczne mity, którymi ludzie lubią się otaczać, by skrywać swoje brzydkie grzeszki.

— Czy twoje grzechy są mniej wstrętne, Jack?

— Jestem co do nich szczery. Nie udaję.

— Ty zawsze udajesz. Myślisz, że przyznając się do swoich grzechów, jesteś bardzo silną osobą.

Był już przy drzwiach. Zatrzymał się tam, by spojrzeć za siebie ostrym i pełnym niezgody spojrzeniem.

— Mówisz dziś nie owijając w bawełnę.

— Myślałam, że podziwiasz uczciwość.

Okazał lekki gniew i zmieszanie, co było dla niego rzadkością.

— Istnieje coś takiego jak wierność.

— Zdaje się — powiedziała — że właśnie idziesz do Bragga, aby przekazać mu, co Howison powiedział ci dziś wieczorem o Billu Brownie.

Wyszedł za drzwi i zatrzasnął je za sobą, a wkrótce usłyszała, jak odjeżdża na północny wschód. Stała przed ogniem, którego płomień rzucał światło na chłodny spokój jej twarzy, ale w miarę upływu czasu ciepło zdawało się roztapiać ten wyraz, aż jej usta i oczy rozluźniły się z rozpaczy. Odwróciwszy się, wyszła z domu i poszła dalej przez rzadki las; ledwie była świadoma kierunku, a kiedy dotarła do potoku, zagradzającego jej drogę, zatrzymała się, coś w niej pękło i zaczęła płakać.

Johnny Steele, spacerujący nocą poza domem, usłyszał odgłos płaczu i podszedł do niej, aż znalazł się na tyle blisko, że zdołał ją rozpoznać. Spytał:

— Czy mogę coś dla pani zrobić, pani Lestrade?

Wydawała się nieświadoma jego obecności; stała wyprostowana, przykładając obie dłonie do twarzy, wstrząsana coraz gwałtowniejszym szlochem. Zaczęła płakać i nie mogła przestać; spazmy stawały się coraz silniejsze, a jej pierś unosiła się i opadała w coraz szybszych, ostrzejszych oddechach. Johnny Steele był tym przerażony. Kobiece łzy były dla niego czymś obcym, a kobiecy smutek wręcz straszliwą rzeczą. Doszedł do punktu, w którym nie potrafił już dłużej być chłodnym widzem, więc zrobił krok do przodu i objął ją ramionami.

Wtedy pojął, jak źle się czuła. Był obcy, dotykał jej, a łzy tak zalewały jej oczy i miała tak bardzo złamane serce, że nie zdawała sobie z tego sprawy. Odwróciła się w jego ramionach, położyła czoło na jego piersi i nadal szlochała; próbował trzymać ją wystarczająco mocno, aby powstrzymać drżenie jej ciała, ale nie mógł, i to było coś, co do niego dotarło i wstrząsnęło jego nerwami. Pomyślał sobie: „Niech szlag trafi tego, kto to zrobił”, i przeszyła go niezwykła litość, zmieniając go w płomiennego obrońcę tej kobiety.

Nie miał pojęcia, jak długo stali w taki sposób. Czas płynął nieubłaganie i w końcu zauważył, że drżenie jej ciała słabnie. Pomyślał, że to było podobne do gwałtowności południowo-zachodniego wichru, a potem jej ciało spoczęło na nim ciężej, jakby czuła się wyczerpana. W końcu odsunęła się od niego i zdała sobie sprawę z jego obecności.

Był zakłopotany tym, co mogła o nim pomyśleć. Powiedział:

— Jestem Johnny Steele — i pożałował, że musiał sprawiać takie prostackie wrażenie. — Usłyszałem panią i podszedłem. Mogę coś dla pani zrobić?

Pokręciła przecząco głową. Oczywiście często widywał ją w obozie i często podziwiał jej urodę, ale w tej chwili było to dla niego coś więcej niż uroda i czuł się w jakiś sposób zobowiązany wobec niej i z nią związany. W międzyczasie poświęciła chwilę czasu na przyjrzenie się mu i doszła do jakiegoś wniosku na jego temat. Odwróciła się, ale za chwilę popatrzyła na niego ponownie.

— To był dobry uczynek z pana strony. Nikomu pan o tym nie powie?

— Nikomu nie powiem. Ale jeśli to jakiś kłopot, może zdołam go naprawić...

— Nie — odpowiedziała miękkim i przygnębionym głosem i zniknęła wśród drzew.

Odwrócił się w stronę ulicy, ciągle mając w pamięci, jak trzymał ją w ramionach. Zatrzymał się przed knajpą Corsona, po czym odszedł od niej nie mając ochoty na drinka. „Pewnie ten jej przeklęty mąż”, pomyślał i mocno się na niego rozgniewał. Dotarł do swojej małej chatki po zachodniej stronie miasta i wszedł do środka, zapalając lampę; jego pierwszym ruchem było spojrzenie na siebie w lustrze. Co ona widziała? Jeszcze jedną spaloną słońcem i kanciastą twarz górnika, naznaczoną sporadycznymi bliznami? Pomyślał: „Jakim ja byłem głupcem. Jak, do cholery, można być dumnym z przepicia w ciągu jednej nocy tysiąca dolarów? Czas się ustatkować”. Potem pomyślał: „Powinienem golić się codziennie rano”.

Chata Honeya Bragga stała nad krętym, na wpół wyschniętym potokiem, cztery mile od Jacksonville, mocno skryta w gąszczu wierzb i dębowych zarośli. Przedzierając się przez ten gęstwę, Lestrade dostrzegł blask lampy Bragga i zadbał o to, by przekazać do przodu wiadomość o swoim zbliżaniu. Z mroku wybiegło stado psów, ujadając, zaś Lestrade, zsiadając z konia, zaczął na nie kląć; wtedy z jeszcze głębszej ciemności doleciał głos Bragga, odwołujący psy. Lestrade wszedł do domu, a Bragg podążył za nim.

Lestrade warknął z irytacją:

— Jeśli te diabelstwa kiedykolwiek zadrasną mnie choćby jednym kłem, Honey, wyrżnę całą tę przeklętą sforę.

W małej chacie, o podłodze z ubitej ziemi, znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn. Lestrade rzucił im szybkie spojrzenie i skinął głową, po czym odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z Braggiem, na którego mięsistych ustach i w jasno błyszczących oczach gościł lekki uśmieszek. Honey kiedy chciał, potrafił być uprzejmy. Był intrygantem, który mógł przywitać człowieka, okazując dowolny nastrój, a teraz postanowił być miły.

— Są po to, by żaden obcy nie prześlizgnął się tu potajemnie, aby mnie zaatakować. — Dał trzem mężczyznom znak ręką, po którym wyszli oni z chaty. Gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Bragg spytał: — O co chodzi?

— Howison ponownie wysyła Billa jako posłańca. Tą samą drogą.

Bragg natychmiast odwrócił się do drzwi i zawołał:

— Chłopcy, przygotujcie konie.

Lestrade zapytał:

— Co jest między tobą a Stuartem?

Honey Bragg zrobił kółko po pokoju, uśmiechnięty, ale czujny.

— Kompletnie nic.

— Tamtej nocy o coś mu chodziło, kiedy stanął przeciw tobie.

— Wkroczył, żeby chronić dzieciaka. Nie chciał, by Blazier dostał łomot, bo Blazier dla niego pracuje.

— Wycofałeś się z walki. To nie w twoim stylu.

Bragg przestał się uśmiechać, a jego temperament, zawsze go zdradzający, zrobił się niestabilny.

— Nie zadawaj pytań.

— A więc — oznajmił chłodno Lestrade — on coś na ciebie ma. Byłeś gotów do bójki, a kiedy jesteś gotów do bójki, trudno cię od niej oderwać. Ale kiedy on się pojawił, natychmiast z niej zrezygnowałeś.

Nozdrza Bragga rozszerzyły się, a jego twarz, w kształtach i zalegających na niej cieniach, zaczęła przekształcać się w okrutną maskę.

— Nieważne — oświadczył krótko.

— Jeśli przepędzi cię z okolicy, to zepsuje wszystko, co tutaj mamy. Lepiej zostawić go w spokoju.

— Jeśli będę z nim walczył, to ja go przepędzę — warknął Bragg.

Lestrade pokręcił przecząco głową.

— Nigdzie go nie przepędzisz. Może i jesteś w stanie go pobić, ale nie dasz rady go przepędzić. Podczas bójki mógłbyś go zabić. Gdyby tak się stało, nie mógłbyś tu zostać ani minuty dłużej. Cały obóz by cię ścigał. Może dlatego zrezygnowałeś walki.

Bragg okazał irytację.

— Nieźle to rozegrał. Cały obóz uważa go za największego zawadiakę w okolicy. — Stanął przez chwilę nieruchomo, niespokojny i kipiąc chęcią zemsty, analizując całe tamto wydarzenie. Było ono dla niego cierniem w boku, który bolał i ropiał. — Powinienem był to zrobić. Kiedyś będę musiał to zrobić.

— Dlaczego? — naciskał Lestrade.

— Dlatego. To dla ciebie wystarczająca odpowiedź. — Bragg wskazał palcem na Lestrade'a. — Dowiedz się, kiedy Stuart zamierza wysłać złoto.

— Powiedziałem ci o wyprawie do Portland. Nie miałeś szczęścia. Nigdy nie masz szczęścia, kiedy chodzi o Stuarta.

Bragg wpatrywał się w Lestrade'a tak intensywnie, że ten wzruszył ramionami i wyszedł z chaty. Zawsze cieszył się, że ma te spotkania już za sobą.

Po godzinie przy stole, Camrose był zdecydowanie do przodu w grze w pokera. Pomimo, że wcześniej postanowił sobie grać tylko do chwili odzyskania strat, a następnie powstrzymać się od dalszego hazardu, teraz zapomniał o swoich obawach i autorefleksjach i po raz kolejny planował wykorzystać szczęście do końca. Wokół niego toczyły się niekończące się rozmowy, a ludzie wchodzili, pili, i wychodzili. Wybuchła jakaś kłótnia, lecz została zażegnana. Dym robił się coraz gęstszy, a temperatura rosła, aż pot lśnił na wszystkich twarzach, tłusty jak olej. Można było usłyszeć dyskusje o złotych kieszeniach, żyłach i sztolniach, o bogactwie Sterling w porównaniu z Coyote Creek, o małym bezimiennym wąwozie na zachód od Applegate, gdzie ktoś odkrył i stracił złoty piasek tak bogaty, że w świetle słonecznym miał żółty odcień. Rozmawiano o kobietach, pamiętnych

pijackich szaleństwach, jedzeniu, Indianach, walkach i wojownikach. Wkrótce rozgorzała dyskusja na temat umiejętności Stuarta w porównaniu z brutalną siłą Honeya Bragga.

Od Camrose'a po raz kolejny odwróciło się szczęście i był rozdrażniony grą; mimo to przysłuchiwał się tej rozmowie.

— Wycofał się z bójki, prawda? Bał się Stuarta.

— Widziałeś kiedyś jego ręce, jak nie miał na sobie płaszcza? Widziałem go raz, jak zacisnął dłoń w pięść i złamał kawałek drewna o grubości sześciu cali. Widziałem, jak złamał cztery żebra George'owi Dyerowi. On się nie boi. Nie musi się niczego bać.

— Więc dlaczego nie podjął walki?

Zaczęło się od niewielkiego sporu, ale szybko zmienił się on w przedmiot ogólnej dyskusji, podczas której analizowano i snuto domysły, która rozszerzała się i robiła coraz gorętsza na skutek najdzikszych podejrzeń. Przytaczano walki Bragga i opisywano jego siłę. Przeanalizowano wzrost i wagę Logana Stuarta oraz przypuszczenia co do jego szybkości.

— Żaden człowiek z tak długą szyją nie pokona mężczyzny swoich rozmiarów z krótką szyją. Stuart urwałoby mu głowę.

— Widziałem kiedyś, jak Stuart chodził wokół wierzgającego konia — powiedział inny. — Jest szybki. Bragg popędziłby prosto na niego, ale Stuarta już by tam nie było. Robiłby uniki i wykręcał się.

Jeszcze inny z mężczyzn dołożył swoją cegiełkę.

— Wszyscy mówicie, że to Bragg się bał. Może to Stuart się bał. Nie zaproponował walki.

Odpowiedziało mu na to kilka głosów naraz. Ludziom w saloonie nie podobało się kwestionowanie odwagi Stuarta.

— Na Boga, jak myślicie, po co on podszedł do Bragga? Otworzył drzwi do walki na oścież i zostawił je otwarte. To Bragg nie chciał przez nie przejść. Jesteś przyjacielem Bragga?

— Nigdy tak nie powiedziałem. Zadałem tylko pytanie.

— To było cholernie głupie pytanie.

— To bez różnicy. On nie mógłby załatwić Bragga. Nikt by nie mógł.

— Tak myślisz? Ile pieniędzy chcesz na to postawić?

— No, bracie, jeśli jesteś taki dumny ze swoich pieniędzy, to podaj kwotę.

— Sto mi wystarczy.

— W porządku.

Obaj adwersarze podeszli do baru razem z całym tłumem i zawołali Hobarta do zapisania stawek. Hobart powiedział:

— No dobrze. Podsumujmy to. Johnny Ball zakłada się z Irą Mullinsem o sto, że Stuart nie pokona Bragga. Jakiś limit czasowy?

— Zostawmy to. Walka już niedługo.

— A przypuśćmy, że będzie remis?

— Remis? — zawołał zwolennik Bragga. — Nie ma szans. Jeśli Stuart będzie na nogach, gdy Bragg skończy walkę, uznam, że przegrałem.

Nawet w tym tłumie, tak bardzo trzymającym stronę Stuarta, rozległy się pomruki potwierdzające to przekonanie; brutalny rejestr dokonań

Bragga robił wrażenie na wszystkich. Camrose, teraz stale przegrywający, wstał od stołu w złym humorze i podszedł do tłumu.

— Co sprawia, że panowie są tak cholernie pewni walki? — zaczął się dopytywać.

Właściciel saloonu, Hobart, odpowiedział za cały tłum.

— George, wszyscy wiedzą, że musi dojść do tej bitki.

— A skąd to wiesz?

— No cóż, dobry Boże — stwierdził Hobart, — jeden z nich będzie najlepszy, a drugi zajmie drugie miejsce - i trzeba to rozstrzygnąć, prawda?

— Czy komuś z was przyszło do głowy, że narażacie Stuarta na niezłe bicie tylko po to, by zaspokoić swoją ciekawość?

— W takim razie nie powinien w ogóle stawać przed Braggiem — odparł Hobart.

— Skoro wy, chłopcy, tak bardzo chcecie się bić, to może któryś z was weźmie się za Bragga? Założę się, że w tym saloonie nie ma człowieka, który byłby w stanie pokonać Bragga. Stawiam pięćset dolarów. Sprawdźmy waszą sportową żyłkę.

Nie było chętnych, a i Hobart odrzucił ofertę machnięciem ręki.

— Marudzisz, George. Stuart poradzi sobie sam.

— Łatwo ci mówić, skoro to nie o twoją skórę chodzi. Chcesz się założyć o pięć stów, że Stuart pokona Bragga?

Hobart wyglądał na zamyślonego.

— Nie — zdecydował — nie posunąłbym się tak daleko. Ale i tak nie postawiłbyś przeciwko swojemu przyjacielowi, George.

Camrose rozejrzał się po tłumie, nienawidząc wszystkich w tym pomieszczeniu. Oznajmił z premedytacją, aby ich wystraszyć:

— Myślę, że Bragg powinien wiedzieć, kto robi te wszystkie zakłady i za dużo gada. To mogłoby go zainteresować.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak groźne wrażenie robi nazwisko Bragga. Dwaj obstawiający natychmiast się rozeszli, a reszta grupy od razu straciła zainteresowanie tematem. Rzucili mu kilka ostrych spojrzeń, a Hobart powiedział:

— Jeśli nie podoba ci się ten obóz, dlaczego tutaj siedzisz?

Camrose wrócił do gry, ale nie poszło mu lepiej. O północy złożył weksel na pięćset dolarów w ręce Gordona Thackeraya i opuścił saloon. Wiatr owiewający jego spoconą twarz sprawiał ostre wrażenie chłodu, szedł samotnie w kierunku swojego biura w najczarniejszym nastroju. „Powinienem był zrezygnować, kiedy byłem na plusie”, powiedział sobie.

Rozdział VI
Nowa chata nad rzeką Rogue

Stuart dotarł z karawaną do Jacksonville około południa w sobotę; o drugiej znów jechał szlakiem, tym razem w kierunku chaty nad Rogue. Wraz z nim jechali Lucy i Camrose, oboje w nie najlepszych humorach, a także Vane Blazier i pani Lestrade.

— Gdzie jest Jack? — spytał Stuart.

— Nie czuł się najlepiej — odpowiedziała pani Lestrade.

— Przykro mi to słyszeć — skomentował Stuart.

Pani Lestrade popatrzyła na niego z zainteresowaniem. Miała na sobie bardzo atrakcyjną suknię, której kolor rozjaśniał i podkreślał urok jej twarzy. Miała łagodne kobiece maniery, mowę i gesty; na swój sposób jej uroda była równie uderzająca jak Lucy Overmire, lecz pod każdym względem te wewnętrzne cechy, które odzwierciedlały się w rysach, były u niej bardziej uległe niż u drugiej z dziewczyn. Brakowało jej wyrazistości ekspresji, wrażenia silnych emocji nad którymi by panowała, poczucia silnej woli. Wyglądało to trochę tak, jakby kochając ciepło, była odrętwiała z zimna.

Było późne popołudnie, kiedy dotarli do stosu surowych bali, które wyznaczały miejsce przyszłego domu młodego Graya Bartletta i Lizy Stone. Bartlett wybrał długą, wąską łąkę, leżącą naprzeciw rzeki i jej wierzb; będąc praktycznym człowiekiem, ulokował się również przy szlaku kalifornijskim, aby połączyć uprawę ziemi ze sporadycznymi zyskami z przyjmowania podróżnych.

Osadnicy - a była ich setka - przybyli z odległości nawet trzydziestu mil, przyciągnięci nie tyle faktem samego małżeństwa, co potrzebą okazjonalnego wesołego spotkania. Osiodłane konie i wozy stały bezczynnie na łące, a mężczyźni już nacinali i ustawiali ściany chaty z bali, podczas gdy inni, z piłami, klinami i szczypcami, rozszczepiali cedrowe gonty, które miały być wykorzystane na dachu. Między dwoma mężczyznami toczyła się ożywiona dyskusja na temat celowości nachylenia ram okiennych dla zapewnienia lepszej ochrony przed atakiem Indian. Inna ekipa zabrała się za wznoszenie paleniska, który to proces ze względu na swoją delikatność został powierzony człowiekowi, który wydawał się wiedzieć najwięcej o głębokości i szerokości niezbędnej do zapewnienia odpowiedniego „cugu”.

— Nie ma cugu — oświadczył — nie ma chaty. Szkoda, że nie mam trochę zwierzęcej krwi aby zmieszać ją z tą gliną.

Nieco dalej na łące, oddzielna grupa budowała tymczasową szopę, która miała służyć za stodołę.

Był to w istocie odświętny popis sąsiadów, nad którym młody Bartlett nie miał żadnej kontroli. Zgłosił prośbę, aby chata miała tylko jedne drzwi, ale została ona odrzucona przez starsze głowy. „Potrzebujesz dwojga drzwi, na wypadek kłopotów”. Młody Bartlett odparł: „W porządku” i nie zaproponował niczego więcej. Podobnie było z Lizą Stone, która siedziała grzecznie na brązowej trawie na łące, podczas gdy panie sąsiadki, przechadzając się po wnętrzu domku, ku irytacji budowniczych, snuły plany dotyczące rozmieszczenia mebli. Liza z uśmiechem przystawała na wszystkie ich propozycje, a sobie samej powiedziała: „Przestawię to tak, jak chcę, kiedy tylko one sobie pojadą”.

Na łące wesoło płonął piękny ogień, podczas gdy kobiety krzątały się przy przygotowywaniu wspólnej kolacji, i wszystkie panie wyciągały swoje własne specjały - wekowane brzoskwinie, ciasto z jagodami, ciasto z jeżynami, cydr, świeże masło uformowane w ładne wzory, domowy ser, letnią kiełbasę, indiańskie przysmaki, ogórki w śmietanie i occie, galaretki, dżemy i masła owocowe, wszystko to sporządzone ze starych przepisów przywiezionych z Vermont i Nowego Jorku, z Missouri i Kentucky.

Krótko przed zachodem słońca dom był już ukończony, a spoceni mężczyźni weszli do środka z ciężkimi zakończeniami bali, którymi ubili podłogę z ziemi, na którą nalegała matka Lizy Stone, zamiast desek, „ponieważ ziemia jest zdrowsza”. Do środka zaczęły wjeżdżać prezenty ślubne: czterosłupkowe łóżko z wiśniowego drewna, które przebyło dwa tysiące mil lądem, domowe krzesła i stół, naczynia i przybory kuchenne, materac z pierza i poduszki oraz patchworkowa narzuta, beczka cukru i beczka mąki, pęta wędlin; oraz wszystkie bibeloty i drobne przedmioty domowego użytku. Panie wykonały ostatnie prace.

Rozpalono ogień - nadzorca budowy kominka uważnie obserwował dym unoszący się z komina - i zaścielono łóżko. Położono dywan i postawiono lampę na stole obok Biblii otwartej na Psalmach. Naczynia włożono do szafki, a miotłę oparto o ścianę. Podjechał człowiek z wozem i zaprzęgiem; na wozie był pług i brona. Zsiadł i przywiązał zaprzęg do drzwi domu.

— A teraz — oznajmił ojciec Lizy Stone, — czas na ślub.

Pastor stanął na łące, z gołą głową, dwójka młodych stanęła przed nim, a tłum zatoczył wokół nich krąg. Słońce chyliło się ku zachodowi i godzina czystego jak woda światła spłynęła na ziemię, a jej zapach i bezruch były tak pełne, że głos pastora rozbrzmiewał po całej łące. Udzielił im ślubu i ogłosił błogosławieństwo, a następnie włożył Biblię do tylnej kieszeni spodni i odsunął się, podczas gdy młody Bartlett, znacznie rozluźniony przez publiczność, przywitał żonę energicznym pocałunkiem. Nowa pani Bartlett była uśmiechnięta i opanowana; pochyliła się do przodu i ucałowała pastora.

— Kolacja — zawołał ojciec Lizy Stone. — Mój Boże, jedzenia mamy naprawdę pod dostatkiem.

Stuart wziął posiłek i podszedł do miejsca, gdzie na trawie zebrali się tancerze. Vane Blazier dołączył już wcześniej do tej grupy i zajął miejsce obok Caroline. Rozmawiał z nią, ale teraz zamilkł i wydawał nie czuć się swobodnie. Wkrótce przybyli Lucy, Camrose i pani Lestrade. Johnny Steele

przeszedł obok grupy, rzucił mu „Cześć, Logan” i szybko poszedł dalej. Był ogolony, miał na sobie białą koszulę i dobry czarny garnitur - i wyglądał całkiem poważnie.

— Nie bawiłam się tak dobrze od nie wiem kiedy — powiedziała pani Dance. — Ludzie czują się strasznie samotni.

— Przyszło mi do głowy — powiedział Camrose — że młodzi Bartlettowie są całkiem sami. Żadnego sąsiada bliżej niż trzy mile, a rezerwat po drugiej stronie rzeki.

— W ciągu roku będzie aż nazbyt wielu sąsiadów — stwierdził Dance.

Jesienny dzień był ciepły. Teraz, gdy nadeszły cienie zmierzchu, od rzeki zaczął ciągnąć chłód; dołożono drew do dużego ogniska, a płomienie żółciły się na tle gęstniejącego mroku. Kiedy kolacja została zjedzona, ludzie siedzieli leniwie na łące, rozmawiając i śmiejąc się, a dzieci biegały między wierzbami, nawołując do siebie.

— Muszę zdobyć przepis na chow-chow od pani Bartlett — powiedziała rozmarzonym głosem pani Dance.

Stuart wyciągnął się na trawie, tak odwrócony, że widział twarz Caroline, jej młodość zmieszaną z dojrzałością. Wyczuła jego spojrzenie i odpowiedziała mu swoim; przyciągnęła jego uwagę w tak zdecydowany sposób, jakiego jeszcze nigdy u niej nie jeszcze widział. Wyglądało to, jakby przepełniały ją jakieś głębokie uczucia i pragnęła, aby on również je poczuł; mówiła do niego w ten sposób, wypowiadając słowa, których nigdy nie zmusiłaby się aby wygłosić otwarcie.

Camrose odezwał się w swoim leniwym, oderwanym stylu.

— Otacza nas iluzja pokoju.

To nie były słowa, które ci ludzie by rozumieli, ani on nie był człowiekiem, którego by rozumieli. Jego sposób mówienia nie był dostatecznie szczery i prosty dla tych nieskomplikowanych osadników. Tylko pani Lestrade zdawała się być poruszona jego uwagą, jej ciemne oczy skierowały się na niego i spoczęły przez chwilę na jego twarzy.

Jedyną odpowiedzią Lucy dla Camrose'a był półuśmiech; potem jej uwaga przeniosła się na Caroline i zamyśliła się głęboko. Nagle Dance wydał z siebie ostry okrzyk i podniósł się z ziemi, wołając:

— Buck, gdzie twoje skrzypce? Gdzie jest Simon, żeby nas poprowadzić? Szybciej! Musimy trochę spalić tych zjedzonych zapasów w tańcu, zanim wrócimy do domu!

Gwiazdy jasno błyszczały na intensywnie czarnym niebie. Dance, wciąż pokrzykując, zniknął gdzieś nad rzeką rzeki; nie było go przez chwilę, a potem wrócił ze śmiechem do ogniska z beczułką pod pachą. Wziął wiaderko, wlał do niego zawartość beczułki i poszedł do domu po czerpak do nalewania. Wrócił z drugim wiadrem i zrobił obchód z obydwoma wiadrami oraz czerpakiem.

— Whisky czy woda? Nie można tańczyć nie pocąc się. Whisky czy woda?

Skrzypek znalazł sobie miejsce na stojącym niedaleko domu wozie i zaczął stroić swój instrument; wodzirej zajął swoje stanowisko i ostro klasnął obiema dłońmi.

— Partnerzy ustawiać się w korowód! Mamy miejsca dla dwóch korowodów naraz.

— Caroline — powiedział Stuart i wstał. Chwycił ją za ręce i podniósł. — Nadszedł czas, na odrobinę głupstw.

Przyjrzała się badawczo jego twarzy i zastanowiła nad jego słowami; jej wysłany w odpowiedzi uśmiech był niepewny i delikatnie poruszony podekscytowaniem.

— To chyba nie jest takie głupie, co?

Cała grupa przyglądała się temu, pani Dance z milczącym napiętym zainteresowaniem, Vane Blazier z mroczną niechęcią, pani Lestrade z ustami uśmiechającymi się na widok tego, co widziała, Camrose z nagłym, rozumiejącym uśmiechem i Lucy Overmire. Lucy skupiła swoją uwagę na tej dwójce, a wyraz twarzy jej wydawał się być na wpół zaskoczony tym, co zobaczyła. Camrose zwrócił się do niej:

— Dołączmy do nich — i wstał.

Pary ruszyły w stronę ogniska, gdy wodzirej wyskandował:

— Forma i równowaga, wszyscy! Jedziemy, Jed!

Skrzypek przesunął swój smyczek po strunach skrzypiec i zaczął przytupywać stopą. Koło ognia uformowały się dwa korowody – po cztery pary na każdy. Głos wodzireja poprowadził ich dookoła; stąpali po letniej, śliskiej trawie, na zewnątrz i z powrotem.

— Chwyćcie w pasie swoje dziewczyny, swoje śliczne młode dziewczyny — zasugerował wodzirej, podczas gdy przyglądający się widzowie, zaczęli klaskać w dłonie, aby wybijać rytm muzyki. — Wirginia to wspaniały, stary stan. Dalej chłopcy, nie spóźniajcie się.

Ktoś dorzucił świeżego drewna do ognia i na tle nocy rozbłysły białym blaskiem iskry; korowody obracały się i kręciły, a miarowe klaskanie w dłonie sprawiało, że cała noc mocno pulsowała. Skrzypek na siedzeniu wozu przeciągnął smyczek przy ostatniej nucie, buchnęła salwa śmiechu, a nowe pary wbiegły w blask ognia, by zająć swoje miejsce. Skrzypek zawołał:

— Gdzie to wiadro, Dance?

Nagle ktoś wypowiedział jedno ostre słowo, które zatrzymało ich wszystkich i obróciło ich ciała w jedną stronę. Zobaczyli sześciu wojowników Rogue stojących za ogniskiem, ich nagie górne części ciała lśniły jak matowa miedź.

Ktoś inny podszedł do wozów, najwyraźniej z zamiarem sięgnięcia po broń. Dance szorstko zawołał do niego.

— Nie, Pete. Nie.

Dance odstawił wiadra i stanął twarzą do Indian, wołając do nich w ich własnym, ostrym języku; ruchem ręki przyciągnął ich naprzód, aż znaleźli się w kręgu światła, wszyscy byli chudzi, z żebrami układającymi się w faliste wzory na skórze, wszyscy mieli sztywne włosy zwisające im wokół głów jako rama dla ich szorstkich i niesymetrycznych twarzy. Światło dotykało ich oczu, niewyraźnie błyskając na wilgotnych powierzchniach, a ich usta tworzyły ostre łuki skierowane w dół. Jeden z nich wskazał na wiadro whisky.

— Nie — odparł Dance.

Ten sam wskazał na nowy dom i powiedział coś szybko, z goryczą. Kiedy Indianin skończył mówić, Dance stanął nieruchomo i zapadła napięta cisza, a osadnicy spojrzeli na sześciu Rogue, wspominając dawne katastrofy i zdrady, rodziny wyrżnięte w odległych chatach, nagły huk broni z zasadzki i dziki wrzask ataku. Były to wspomnienia niezmiernie żywe; sześciu stojących tu dzikusów uosabiało niepewność i nigdy niewygasły strach, który nad nimi wisiał.

Dance zaczął mówić, używając rąk do wykonywania płynnych ruchów w powietrzu; był spokojny i sprawny w tym, niemalże uśmiechnięty, ale ta pozytywność szła w parze z jego słowami. W międzyczasie Logan Stuart wziął muślinowy worek z czyjegoś kosza na kolację i obszedł trawę, napełniając go resztkami jedzenia. Podał worek Dance'owi i obserwował, jak nieufne twarze Rogue kierują się na niego i nie spuszczają go z oczu. Dance wypowiedział ostatnie słowo i rzucił worek rzecznikowi Indian, który, rzucając ostatnie nietolerancyjne spojrzenie na tłum, odszedł ze swoimi ludźmi.

Skrzypek zawołał:

— No, dalej… no, dalej.

— Byliśmy nieostrożni — stwierdził Dance. — Gdzie moi chłopcy?

Jego najstarszy syn wyłonił się z ciemności niczym chudy pies.

— Obserwowaliśmy ich od pół godziny — uspokoił go chłopiec. — Wszystko jest w porządku. Nie mają broni. Nie ma ich więcej w pobliżu. Obserwujemy ich.

— Tak lepiej — oznajmił Dance i z zadowoleniem patrzył, jak jego syn odchodzi. Dance podniósł wiadro i uderzył w nie łyżką. — Woda się skończyła, ale whisky jest równie dobra do pocenia się!

Skrzypek zagrał melodię.

Podczas tej sceny Caroline Dance stała samotnie obserwując wszystko z niezmąconym zainteresowaniem. Wracając do niej, Logan ponownie dostrzegł na jej twarzy odbicie wewnętrznego hartu ducha, silniejszego niż jakakolwiek inna cecha, jaką posiadała. Pojawienie się Rogue wprawiło ją w poważny nastrój, ale nie znała strachu. Popatrzyła na niego, a jej uśmiech pojawił się w odpowiedzi na jego uśmiech; nagle wziął ją za rękę i odszedł z nią w cień.

— Caroline — powiedział — o czym myślałaś?

— Liza i Gray mają taki ładny dom. Gdyby to był mój dom, dobudowałabym spiżarnię. Kuchnia powinna być duża.

To właśnie takie praktyczne rzeczy zaprzątały jej umysł; jej myśli były bezpośrednie i proste. Ogień płonął jasnym stożkiem w czerni, a muzyka dochodziła do nich energicznie i donośnie, z miarowymi okrzykami osadników i wyklaskiwanym rytmem ich dłoni, uderzających o siebie w ciemności. Wokół nich wisiał gęsty zapach jesieni, unoszący się z bujnej ziemi, ze wzgórz o ciemnych grzbietach, z rzeki - wszystko to wprawiało Stuarta w zdumienie. Otaczała go ponadczasowość wszechświata - te dzikie zapachy, które były tutaj od zarania dziejów, ten lekki wiatr i te czarno zarysowane wzgórza w tle; i łuk nieba nad głowami. Tkwiła w tym jakaś myśl, którą człowiek powinien zrozumieć; były to wyraźne wskazówki do niej prowadzące, a od czasu do czasu pojawiało się uczucie,

które go popychało i ożywiało mu umysł. Coś gdzieś na niego czekało, lecz co to było, nigdy nie mógł tego pochwycić; bo kiedy jego myśli zbliżały się do tej tajemnicy, tajemnica cofała się i pozostawiała w oszołomieniu. Czy człowiek jest od chodzenia i jeżdżenia, czy od myślenia? Czy miał hołubić nadzieje na to, czego nie mógł mieć, czy też miał spokojnie przeżywać swoje dni?

— Logan — powiedziała Caroline — zazwyczaj nie jesteś taki milczący.

Wtedy dotarło do niego, że niewiele o niej wie, a ona niewiele wie o nim. Czy zraniłby ją z tego powodu, że nie dawałby jej więcej niż mógł, czy też ona by to zrozumiała? Nie było to pytanie, na które dałoby się kiedykolwiek odpowiedzieć.

— W tej chwili właśnie — powiedział, — zastanawiam się, czy lubisz mnie wystarczająco mocno, by wyszło z tego małżeństwo.

Odpowiedź od dawna już była gotowa w jej umyśle, przygotowana dla niego, gdyby kiedykolwiek ją o nią poprosił. Teraz dotarła do niego natychmiast, wygłoszona dosyć cichym, a jednocześnie chłodnym i pewnym głosem.

— Tak.

Pocałował ją mocno i gorąco, czując jak jej ramiona zamykają się na jego plecach. Potem ściągnęła głowę w dół, aż jej policzek znalazł się na jego piersi; pozostała tak przez dłuższą chwilę, nie odzywając się. Ucisk jej ramion trwał, aż do chwili gdy zaciekawiony jej milczeniem odsunął się. Uniosła twarz ku niemu, z tą swoją ogromną powagą widoczną dla niego nawet teraz, w ciemności.

— Chciałabym — oznajmiła — żeby nic się nigdy nie zmieniało, żeby zawsze pozostawało takie samo - żadnych nowych ludzi, domów czy rzeczy. Wszystko tak jak teraz.

— Dlaczego?

— Teraz wszystko jest dobrze. Nigdy nie może być już lepiej.

— Czy nie chciałabyś mieć dobrej drogi przez góry, ładnego miasta w pobliżu…

Popatrzyła na niego, uśmiechając się nad swymi przed chwilą wygłoszonymi opiniami.

— Wiem, że wszystko się zmieni — powiedziała. — Ale przecież mam prawo chcieć, żeby tak się nie stało, nieprawdaż?

Muzyka znów zaczęła grać, a sylwetki tancerzy poruszały się na tle matowej czerwieni dogasającego ogniska. Caroline i Stuart powoli wrócili do małej grupki ludzi, wylegujących się na trawie.

Pani Dance powiedziała:

— Caroline, najwyższy czas się zbierać i wracać do domu.

Ale tak naprawdę, wcale o tym nie myślał, ponieważ z niecierpliwością próbował wyczytać coś z twarzy swojej córki. Caroline zrozumiała niewypowiedziane pytanie. Odpowiedziała:

— Tak — i cicho się roześmiała.

Pani Dance wstała podekscytowanym ruchem i impulsywnie pocałowała Stuarta.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Stuart. Masz dobrą dziewczynę.

Camrose, na wpół przysypiający na trawie, przetoczył się wokół siebie i wstał. Spytał z zaciekawieniem:

— Co się dzieje? — Potem zobaczył, co się dzieje, wstał i chwycił Stuarta za rękę. — Cholernie miło mi to słyszeć.

Pani Lestrade wstała, jej twarz była rozradowana i poruszona. Ludzie zaczęli podchodzić, czując woń nowin. Dance, rozradowany dzięki swojemu wiaderku i czerpakowi, wysłał w czarne niebo długi okrzyk radości.

Stuart przyglądał się, jak ludzie podchodzą do Caroline, patrzył, jak Caroline rozmawia z nimi, z opanowaniem. Myślała już o domu i o tym, co powinno się w nim znaleźć; spokojnie i pewnie układała swoje plany oraz rozmieszczała wokół siebie małe drobiazgi, które zawsze tak bardzo ceniła. Nie spojrzał w stronę Lucy. Odwracał od niej wzrok. Lecz dostrzegł ją wkrótce, stojącą przed Caroline i wypowiadającą słowa życzeń z troską, z tym wdziękiem, który zawsze posiadała.

— Caroline — mówiła, — jestem taka szczęśliwa z twojego powodu.

Widział, jak twarz Caroline robi się twardsza, dostrzegł na niej cień mądrości. Caroline była w tym momencie kobietą, uważnie wpatrującą się w inną kobietę, a w słowach Caroline czuło się wyraźną rezerwę.

— To miłe — odparła. Lucy odwróciła się, nie patrząc na niego.

Ludzie dookoła zaczęli się przemieszczać, zbierając swoje rzeczy, i ruszyli powoli z łąki. Stuart podał Caroline rękę, pomagając jej wsiąść na siedzenie wozu jej ojca, a potem stał ze zdjętym kapeluszem, podczas gdy wóz potoczył się w noc. Następnie podszedł do swojego konia i dołączył do czekającej na niego grupy z Jacksonville. Niewielka grupa krewnych młodej pary pozostała przed nową chatą, a głosy odjeżdżających osadników wracały przez noc, gdy wykrzykiwali oni swoje ostatnie pożegnania.

Stuart dołączył do pani Lestrade, Lucy i Camrose i odkrył, że Johnny Steele wraca razem z nimi. Cała piątka ruszyła na południe, nie rozmawiając, dopóki Stuart nie przypomniał sobie o Blazierze.

— Gdzie się podział ten młodzieniec?

— Poszedł sam — powiedział Camrose. — Nie wiesz dlaczego? — Głos Camrose'a był spokojny i pełen skrytego śmiechu. — Lucy, wytłumacz naszemu przyjacielowi, dlaczego.

Lucy jechała obok Camrose'a, ze Stuartem podążającym za nimi. Widział twarz Lucy zwróconą w stronę Camrose'a i widział jej sylwetkę. Nie dostrzegał niczego więcej i nie mógł zrozumieć jej tonu, który brzmiał pusto i bezbarwnie.

— Nie bądź nieuprzejmy, George.

— A co w tym jest nieuprzejmego? — spytał jowialnie Camrose. — Złamałeś serce Blaziera, Logan. Myślał, że Caroline była jego dziewczyną.

Głos Lucy zabrzmiał ostrzej:

— Niech tak i będzie — a kiedy Camrose, wciąż ciesząc się własnym sprytem, zaczął mówić ponownie, przerwała mu w jeszcze bardziej gwałtowny sposób. — Niech tak i będzie.

— Co ja takiego powiedziałem? — spytał Camrose z pewnym zaskoczeniem. Wtedy pani Lestrade, wyczuwając to, czego Camrose nie dostrzegł, skierowała spokojnie rozmowę na inne sprawy.

Stuart jechał w milczeniu, pozostając sam na sam ze sobą. Cienki łuk księżyca chylił się ku zachodowi, a powierzchnia leżącej w pobliżu rzeki tworzyła matowo-srebrną wstęgę, usianą cieniami wierzb. Na wzgórzach odezwał się kojot i przez okolicę przeleciał cichy wiatr. Stuart rozmyślał o wielu niezwiązanych ze sobą rzeczach, bez większego zainteresowania, bez nacisku.

Lucy nie odezwała się już więcej podczas podróży. Pytała samą siebie - w sposób tak natarczywy, że obawiała się nawet, iż Camrose wychwyci nurt jej myśli: „Dlaczego?". Ta noc zdziałała to, czego nie zdołał spowodować nawet pocałunek Stuarta; ujawniła w niej coś, co podejrzewała, lecz czego nie chciała przyjąć do wiadomości. Ale na odpowiedź było już za późno. Jej własny, początkowy błąd można było jeszcze naprawić, gdyby była pewna, że był to błąd; teraz nie było to już możliwe, bo błąd który należałoby naprawić, nie był już jej błędem. I znów zadała sobie pytanie: „Dlaczego on to zrobił? Dlaczego miałby to zrobić? Nie jest tak, jak mu się wydaje. Oboje jesteśmy głupcami i oboje się mylimy".

Rozdział VII
Żądza krwi

Skończywszy poranną inspekcję ksiąg rachunkowych, Stuart zaczął rozmyślać o nadchodzącej zimie, wiośnie i kolejnych latach. Każdy nowy domek - taki jak domek młodego Graya Bartletta - był kropką wypełniającą dawną pustkę tych ziem. Wszędzie tam gdzie te kropki zaczynały się gromadzić, nabierała kształtu osada; niektóre z tych osad rosły, inne umierały i nigdy nie było jasne, które z nich przetrwają. Bogate małe doliny leżały nietknięte, dopóki nie wprowadziła się do nich jakaś odważna rodzina, ryzykując sąsiedztwo Rogue. Potem inny, równie odważny człowiek budował młyn i rodziła się społeczność. To była gra w zgadywanie i na tym polegała cała zabawa - na zgadywaniu, planowaniu i działaniu; potem pojawiali się Clenchfieldowie, których zadaniem było liczenie towarów na półkach i podliczanie rachunków. Clenchfield jednak w jednym miał całkowitą rację. Firma Stuart & Company rozwijała się tak szybko, że nie miała już ani odrobiny tłuszczu na kościach; jeśli miała się dalej rozwijać, potrzebowała jakiegoś rodzaju pieniędzy, aby z nich w razie potrzeby skorzystać, oprócz tych, które miała w kasie.

Clenchfield nieustannie argumentował przeciwko podejmowaniu ryzyka; wszystkie jego słowa zabarwione były przekonaniem, że człowiek, który odważy się na zbyt wiele, nieuchronnie spotyka się z katastrofą. Ale Clenchfield pochodził ze Starego Świata, a Stary Świat nauczył swoje dzieci, by nie ośmielały się wychodzić poza swoje miejsce w szeregu. Clenchfield nie rozumiał, że Ameryka to ruch i zmiany, że tutaj porażka nigdy nie jest czymś trwałym, chyba że człowiek celowo tak zdecyduje; że katastrofa jest czymś, na co można natrafić, trzeba o niej zapomnieć i ruszyć dalej swoją drogą. Ameryka nie miała żadnych ograniczeń poza tymi, które człowiek sam sobie narzucał. Dawnych czasów, które tak kochał Clenchfield, tutaj w ogóle nie było. Dzisiejsze czasy, które Clenchfield z takim trudem starał się utrzymać w równowadze i dokładnych ryzach, wkrótce miały stać się martwą przeszłością. Kiedy człowiek przywiązywał się do jakiegoś kawałka czasu, ten kawałek czasu, nieuchronnie cofając się w mgły przeszłości, zabierał go ze sobą, i zarówno człowiek, jak i ten kawałek czasu, stawali się martwi i zapomniani.

Clenchfield jednak miał rację, mówiąc, że Stuart & Company potrzebuje więcej pieniędzy. Rozwój firmy nieustannie ją głodził; potrzebowała znacznej linii kredytowej z dobrego domu bankowego, a żadna z tego rodzaju instytucji nie znajdowała się bliżej, niż w San Francisco. Stuart pomyślał, że nadszedł czas, aby udać się na południe i

zabezpieczyć się jakimś porozumieniem z instytucją finansową, taką jak Crawford & Company.

Neil Howison, wchodząc do sklepu, zastał go pogrążonego w rozmyślaniach, z zimną fajką zaciśniętą między ciężko zagryzionymi zębami.

— Co się dzieje? — spytał Howison.

Stuart odchylił się do tyłu i zapalił fajkę.

— Tylko rozmyślam.

— Zawsze coś kombinujesz. Udało ci się kiedyś coś załatwić na dobre?

— Nigdy nie próbowałem.

— Logan, dokonałem nieprzyjemnego odkrycia. Zastawiłem pułapkę i coś w nią wpadło. Bill Brown znów został napadnięty w górach.

— Udało ci się kogoś przyszpilić? Nie ma możliwości pomyłki?

— Tylko jeden człowiek o tym wiedział — oznajmił Howison. — Z niechęcią myślę o nim jako o oszuście. Grałem przy jego stole w pokera. Wypiłem dużo jego alkoholu. Na kim można polegać? Czy przyjaźń już nic nie znaczy? Czy wszystko na tym świecie jest zepsute?

— Dokonałeś bolesnego odkrycia — stwierdził Stuart. — Dokonasz ich jeszcze więcej.

— Zwykły przydrożny zbójca. Złodziej. Nocny jeździec. Uśmiecha się do mnie i nic za tym nie stoi. Rzygać mi się chce.

— Dżentelmen nie brudzi sobie rąk brudną robotą — zauważył Stuart. — Bragg też w tym siedzi po uszy.

— Skoro wiedziałeś to wszystko, dlaczego grałeś w pokera w domu Lestrade'a?

— Żebym mógł sam wyciągnąć wnioski na jego temat.

Howisona raczej denerwowała myśl, że znalazł się w tej sytuacji, nie będąc jej świadomym.

— Ile wiesz? Co wiesz o Braggu?

— Wszyscy wiemy o Braggu.

— Nie na tyle dużo, aby wycofał się z walki ze mną, tak jak to było z tobą — zauważył Howison. — Wiesz coś jeszcze, coś co go trapi. — Czekał, aż Stuart rzuci odrobinę światła na tę kwestię. Kiedy to nie nastąpiło, odezwał się ponownie. — Bragg nie będzie zadowolony z tego, że biegasz po okolicy z informacjami, które mogą przysporzyć mu kłopotów.

— Może zauważyłeś — powiedział Stuart — że kiedy go spotykam, zwykle mam broń pod ręką.

— Jeśli wystarczająco mocno będzie chciał cię zabić, zawsze znajdzie sposób, aby to zrobić. Jesteś w kiepskiej sytuacji.

— Nikomu o tym nie mów — polecił mu Stuart.

— Lepiej powiedzmy Camrose'owi, żeby przestał grać w karty u Lestrade'a.

— Niech sam się przekona. Nam by nie uwierzył.

Stuart zaczął mówić więcej, lecz ugryzł się w język. Howison zauważył to i jego myśli szybko zaczęły krążyć wokół relacji między różnymi członkami ich grupy. Potem pomyślał o Marcie Lestrade i przypomniał sobie, jak George Camrose czasami ją obserwował. Było jeszcze coś, co w

swojej niewinności przeoczył. Już miał o tym wspomnieć, ale powstrzymał się z wyraźnym uczuciem zażenowania. Grunt pod nim stawał się coraz bardziej grząski, gdy przypominał sobie przyjaźń Stuarta i Camrose'a oraz zaręczyny Camrose'a z Lucy - i tu zaczęła się wyłaniać kolejna możliwość - przyjaźń Stuarta z Lucy. Oczy Stuarta uważnie go obserwowały, więc Howison miał wrażenie, że Stuart nadąża za jego tokiem rozumowania. Twarz wielkiego mężczyzny była pusta, co samo w sobie stanowiło ostrzeżenie. Howison pomyślał: „Muszę się z tego wycofać, zanim wejdziemy na gorszy grunt". Potem na głos powiedział:

— Lepiej powiedz George'owi, żeby w ogóle przestał grać w pokera. Stracił mnóstwo pieniędzy poprzedniej nocy u Hobarta. Thackeray ma jego weksel na pięćset dolarów.

— Nie wiedziałem o tym — zafrasował się Stuart.

— Jak na człowieka, który zawodowo zajmuje się pieniędzmi, jest zbyt nieostrożny.

Wszedł Henry Clenchfield i Stuart podsunął mu wysoki stołek.

— Dzisiejszego ranka, jak dotąd, nie było jeszcze żadnych pożyczek dla górników — rzucił w jego stronę Stuart i skierował się do drzwi.

Światło słoneczne płynęło przez miasto, świeże i delikatne, obijając się o szyby okien, rzucając na kurz ulicy długie, ostre cienie i rozjaśniając aksamitno-szary dywan ziemi. Stuart przekrzywił kapelusz w ochronie przed słońcem, powiódł spojrzeniem wzdłuż ulicy i wrócił do sklepu. Wyjął z trzymanej na kołku przy drzwiach kabury rewolwer, wsunął go za pas pod płaszczem i wyszedł.

Scena ta zwróciła uwagę zarówno Clenchfielda, jak i Howisona. Ten ostatni natychmiast wyszedł przed drzwi, by się temu przyjrzeć.

— Co się dzieje? — spytał Clenchfield.

— Bragg — odpowiedział Howison i stał, obserwując ulicę.

Stuart ruszył ulicą na wschód, mijając Linga Corsona, który właśnie zamiatał swój salon; wylatujący stamtąd na zewnątrz knajpiany odór tworzył chmurę wiszącą w świeżym powietrzu dnia. Bragg znajdował się blisko początku ulicy i szedł teraz do przodu chwiejnym krokiem, a całe jego ciało wyglądało groteskowo potężnie z powodu wielkiej szerokości ramion.

Kołnierzyk koszuli miał rozpięty, odsłaniając gęste włosy, które porastały mu klatkę piersiową. Nie spuszczał wzroku ze Stuarta i rozciągnął wargi w czymś w rodzaju uśmiechu. Zatrzymał się w odległości dziesięciu stóp. Powiedział:

— Witaj — a jego spojrzenie przesuwało się w górę i w dół po sylwetce Stuarta, z widoczną uwagą. — Wcześnie wstałeś.

— Co ci tam chodzi po głowie, Honey?

Honey Bragg zaśmiał się krótko, na skroniach pojawiły się mu zmarszczki, a oczy zwęziły się. Był przebiegły i nieprzewidywalny, zaś jego impulsywne działanie mogło poprowadzić go w dowolnym kierunku. Widać było, że za fasadą fałszywej wesołości, obecnie właśnie te impulsy go napędzały. Stuart dostrzegał, jak przemykają się one po twarzy mężczyzny i wywołują delikatne drgania jego mięsistych warg. Po chwili Bragg spuścił krótko obciętą głowę i przez chwilę wpatrywał się w ziemię.

Wiatr owiewał mocno jego ciało, wywołując drżenie mięśni ramion pod cienką koszulą. Stuart widział czarne kępki włosków wyrastające nad kostkami nadgarstków mężczyzny. Po chwili głowa Bragga uniosła się szybko, pokazując przepływające przez jego twarz emocje, przynaglające go i sprawiające, że robił się niespokojny. W tym człowieku pulsowała brutalna siła - i to również było widać na jego twarzy. Stuart domyślał się, że prawie każdy, najdrobniejszy nawet powód, kazałby mu rzucić się do bójki.

— Napijmy się — zaproponował Bragg.

— Jeszcze za wcześnie — odparł Stuart.

— Cóż — oznajmił Bragg — chce mi się pić, wcześnie czy nie. — Nie ruszył się jednak z miejsca, na wpół zdecydowany na walkę, na wpół pragnąc jednak zachować ostrożność. Stuart sięgnął do kieszeni i wyjął fajkę oraz tytoń. Napełnił fajkę i zapalił ją, po czym poczuł miarowe, mocne bicie serca, które rozbrzmiewało mu w uszach i dudniło we wnętrzu brzucha. Spojrzenie Honeya Bragga było utkwione w niego, jego wesołość słabła, a presja rosła. Tylko cieniutka nić ostrożności powstrzymywała tego człowieka. Obecnie wręcz tłamsił Stuarta wzrokiem, wypatrując jakiejkolwiek słabości, która pchnęłaby go do działania.

Logan pociągnął długo z fajki i opróżnił ją. Wystukał resztki popiołu, po czym schował fajkę do kieszeni. Nigdy nie lubił presji ze strony innych ludzi; pchnięcie ręką, wypowiedziane złe słowo, spojrzenie wrogich oczu - te rzeczy natychmiast go denerwowały. Zacisnął mocno zęby i pozwolił Braggowi by zobaczył, jak się sprawy mają. Dotarło jednak do niego, że zachowuje się ostrożniej niż kiedyś. Kiedy był młodszy, od razu by się odezwał. Zapytał sam siebie w myśli: „Starzeję się, czy boję się tego człowieka?”.

Bragg roześmiał się krótko. Powiedział:

— No cóż, drink to drink — i obszedł Stuarta.

Stuart podszedł dalej, do początku ulicy, zauważając, że z domów w mieście powychodzili ludzie, aby obserwować tę scenę. Kłopoty wydzielały zapach, który przenikał przez każdego rodzaju mur i wstrząsał ludźmi do żywego, przyciągając zarówno wykształconych, jak i ignorantów - wszyscy ludzie wielbili siłę, nawet łagodny pastor, który uważał sprawiedliwość za miecz do zabijania zła.

Doszedł do długiej szopy, która służyła mu za stajnię dla mułów i magazyn, gdzie zastał Vane'a Blaziera naprawiającego uprząż. Chłopak usłyszał go, ale opuścił głowę na swoją pracę.

— Vane — przekazał mu Stuart — rano wyruszysz do Salem z trzydziestoma wozami. Henry McLane czeka tam na nas z przesyłką.

— Dobrze — powiedział Blazier.

Stuart przeszedł przez szopę, oceniając piętrzące się stosy towarów; część z nich może tu leżeć nawet w przypadku deszczu i śniegu, ale resztę należało umieścić w sklepie, dla ochrony. Powiedział:

— Zaprzęgnij wóz — i pomyślał sobie: „Będę musiał mieć dziś Vane'a na oku. Bragg może spróbować go dopaść.”

Niebawem Blazier cofnął wozem do szopy i obaj zabrali się do pracy, ładując i przewożąc towary do sklepu, a następnie je rozładowując. Miasto

ożyło, chmury kurzu drżały w promieniach pełnego słońca. W czasie drugiej wizyty w szopie Stuart zdjął płaszcz i odłożył rewolwer na bok, przyciągając pierwsze spojrzenie Blaziera. Blazier spytał:

— Bragg jest w mieście?

— Tak — odpowiedział Stuart.

— Nie rób sobie kłopotów z mojego powodu — oznajmił Blazier. Wypowiedział to stwierdzenie głosem, który zawierał w sobie cień urażonej dumy. Stuart wyprostował się.

— To sprawa, która rozpoczęła się, zanim ty w ogóle się w nią zaangażowałeś.

— Potrafię sam toczyć własne bitwy — upierał się Blazier. Był młodym mężczyzną wytrącanym z równowagi przez romantyczne idee, które nie dawały mu spokoju.

— Vane — stwierdził Stuart — jeśli masz coś do powiedzenia, daj temu upust. Przez cały ranek wygłaszałeś przemowy w myślach, sam do siebie.

Blazier rzucił Stuartowi twarde spojrzenie.

— Mogę ci powiedzieć tylko jedno. Ona nie lubi miast. Nie lubi dużych rzeczy. Nie lubi przeprowadzek i zmian. Będziesz ją ciągał z miejsca na miejsce. Nie podoba mi się to.

— To był jej wybór — zauważył łagodnie Stuart.

— To nie w porządku — kontynuował Blazier. — Nie jesteś mężczyzną dla niej. Sprawisz, że będzie nieszczęśliwa. Nie patrzysz na nią tak, jak ja.

Urwał nagle i wyszedł z szopy.

Stuart siedział w milczeniu na pudle z towarami. „Ten chłopak", pomyślał, „ją kocha. Ale to nie jest odpowiedź, bo gdyby ona czuła to samo do niego, wzięłaby jego, a nie mnie". To była dziwna sprawa - ta pełna zagubienia wędrówka ludzi ku rzeczom, których pragnęli, a których nie mogli mieć, ta strata nadziei, ta cicha rezygnacja, zgoda na mniej niż chcieli. Nikt tak do końca nie znał żadnego innego człowieka. Był to świat, w którym ludzie chodzili pełni skrytych w duszy pragnień, które rzadko osiągali. Ale wszystko to odbywało się w milczeniu, w skrytości; ludzie chodzili poważnie obok innych ludzi, skrywając samych siebie; lub śmiali się razem, skrywając swe prawdziwe myśli.

Vane Blazier wrócił do szopy i krótko przeprosił.

— Nie miałem prawa mieszać się w twoje osobiste sprawy.

Stuart powiedział:

— Przykro mi, że tak się to dla ciebie skończyło.

Wstał i położył dłoń na ramieniu chłopca.

— Będę musiał przełknąć swoje lekarstwo, czyniąc mniejsze zamieszanie wokół tego — powiedział Blazier.

— No cóż, załadujmy skrzynie.

Joe Harms przykucnął na piętach pod ścianą sklepu Stuarta, na wpół śpiąc w słońcu, gdy Stuart podjechał z kolejnym ładunkiem. Z tej nieruchomej pozycji delikatnie doleciało jego ostrzeżenie:

— Bragg jest w spelunce Stutchella.

Miasto zaczęło się zapełniać ludźmi, wieści się rozchodziły. Podróżując tam i z powrotem, Stuart obserwował, jak publiczność rośnie i dyskretnie gromadzi się przy drzwiach, w knajpach i wzdłuż zacienionych ścian

budynków. Joe Harms, ani na chwilę nie zmieniając miejsca obserwacji, składał raporty, za każdym razem kiedy Stuart przechodził koło niego.

— Poszedł w stronę potoku, za Howisonem.

Stuart przyrządził swój południowy posiłek, a następnie położył się na rzędzie pudeł do pakowania, w głównym pomieszczeniu sklepu, z cygarem w dłoni, mając zamiar wykorzystać większą część godziny. Clenchfield przekazał mu:

— Chłopaki się zakładają.

— Jak wyglądają szanse?

— Przeciwko tobie — odparł Clenchfield. — Nie pozwól żeby cię pobił. Jeśli zdoła, wydłubie ci oczy. Pamiętasz Paula Gerritse'a, któremu w oczodołach nie pozostało nic poza łzami? Zabij go i zakończmy tę sprawę.

Clenchfield był stary i zasadniczo łagodny, lecz w tym momencie odezwały się w nim pierwotne instynkty. Stuart przyglądał się swojemu urzędnikowi i podziwiał to odmłodzenie starego safanduły. Niektóre rzeczy tkwiły w ludziach głębiej niż wykształcenie, niektóre potrafiły przełamać słabe więzy cywilizowanego zachowania. To właśnie była jedna z tego rodzaju spraw, kolejną zaś była miłość do kobiety. Czego to dowodziło? Człowiek był tajemniczą istotą, znającą siebie nie lepiej niż znała innych; uciekinierem, cieniem, istotą, która znała wielkość, ale uczyniła się małą ze strachu; człowiek był wypieszczonym przez słońce i deszcz ziarnem. Człowiek był tym wszystkim, czym chciał być. Nocne wiatry szeptały mu o jego przeznaczeniu, wzywało go niebo, a wszystko w naturze zawzięło się, aby uczynić go wielkim, ale on nie chciał być wielki. Stuart leżał spokojnie, smak i zapach cygara były dla niego czymś wspaniałym.

Do sklepu wpadł w pośpiechu George Camrose, zmartwiony, z cienką strużką potu na jasnej twarzy.

— Gdyby Bragg wypił kielicha i wrócił na swoje ranczo, wszystko byłoby w porządku. Ale on wie, że tłum go obserwuje. Wie, że za drugim razem nie może się wycofać.

— Henry — powiedział Stuart — idź poszukać Blaziera. Chcę żeby się trzymał z dala od Bragga.

Camrose mówił dalej:

— Będziesz musiał powstrzymać go bronią. Nie dorównasz mu w walce na pięści.

— On też o tym wie — zauważył Stuart. — Nie mogę użyć broni, jeśli on jej nie ma. A on jej nie będzie miał.

— To miasto wywiera presję na niego. Na Boga, wstyd mi za ludzkość!

— Tu chodzi o coś więcej — powiedział Stuart, starannie dobierając słowa. — Zbyt długo oglądali, jak Bragg wygrywa wszystkie swoje walki. Przez to zwątpili, że jest coś takiego jak sprawiedliwość. Muszą wiedzieć, czy coś takiego w ogóle istnieje.

— A więc gotowi są oglądać, jak on przerabia się cię na makaron. Czy to jest sprawiedliwość?

— Wolą, żebym został pokrojony na kosteczki, niż żeby ta idea zginęła — odparł Stuart. Wstał i przyglądał się, jak Clenchfield wychodzi przez drzwi na ulicę. — George — powiedział — jakim cudem możesz sobie pozwolić na stratę pięciuset dolarów?

Camrose przez chwilę wpatrywał się w niego z zakłopotaniem. Potem rozwiało się ono, pozostawiając go w stanie najwyższej czujności.

— Gdybym nie mógł sobie pozwolić na przegraną, to bym nie grał, prawda?

— Nie stać cię na to, skoro wystawiasz weksle.

Na twarzy Camrose’a pojawił się błysk rozdrażnienia.

— Wolałbym, żeby to miasto nie wtrącało się w moje sprawy. To przeklęta wylęgarnia plotek.

— Dokładnie tak — potwierdził Stuart. — Wiele plotek może się pożywić pięciuset dolarami. Jacksonville zastanawia się nad tym, że człowiek o twojej pozycji przegrywa w pokera. Musisz uważać na siebie.

— Kto z tobą o tym rozmawiał? — spytał Camrose, najwyraźniej dotknięty w czułe miejsce.

Stuart, obserwujący Camrose'a, zauważył, że ten uniósł gardę; dostrzegł w nim lekki cień niepokoju. George, pomyślał sobie, musiał dużo myśleć o tej sprawie, bo dodał:

— Mam prawo wiedzieć.

— Zbyt wielu ludzi uważa, że to dziwne — oznajmił Stuart prosto z mostu.

— I ty też tak uważasz?

— Tak — odpowiedział Stuart.

Widział, że Camrose balansuje między gniewem a uczuciem zranienia; potem dostrzegł, jak stary przyjaciel kurczy się w sobie i w tym momencie Stuart wiedział już więcej, niż chciałby wiedzieć.

— Czy nie przyszło ci do głowy — rzucił Camrose — że grałem dużo w pokera i mogłem zgromadzić jakąś kwotę?

— Twoje szczęście w tym obozie — zauważył Stuart — było kiepskie. Wszyscy o tym wiedzą.

W ostrych rysach Camrose'a pojawiło się zwiotczenie, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

— Czy mówi się, że pożyczam pieniądze z sejfu?

Stuart oznajmił z zamierzoną surowością:

— Nie miałeś innego miejsca aby je zdobyć. Ile jesteś do tyłu w swoich rachunkach?

— Jeśli tak o mnie myślisz...

Do sklepu weszła Lucy Overmire. Rzuciła lekkim tonem:

— Panowie… — i uśmiechnęła się do nich. Szybko zauważyła zaabsorbowanie na twarzy Camrose'a. — Czy w czymś przeszkadzam? — spytała.

— Nie — odpowiedział Stuart.

— To przecież nie jest sobota, nieprawdaż? Miasto wydaje się pełne ludzi.

— Chyba wszyscy jednocześnie zrobili sobie wolne.

Johnny Steele wszedł do sklepu. Powiedział:

— Logan, on jest...

Potem, widząc Lucy, urwał w pół słowa. Dziewczyna była teraz już zdecydowanie świadoma niezwykłej atmosfery; przestała się uśmiechać.

— Czy to chodzi o Honeya Bragga?

— Gdzie on teraz jest, Johnny? — spytał Camrose.

— Stoi na końcu ulicy, oparty o róg twojego domu. — Johnny Steele popatrzył pytająco na Stuarta. — Wszyscy się tam ciebie spodziewają. — Odczekał chwilę i dodał ostrzejszym głosem: — Pójdziesz tam, prawda?

— Założyłeś się o to, Johnny? — spytał Stuart.

— No cóż, tak, troszeczkę.

— W którą stronę?

— Niech cię szlag, Logan, jak myślisz, w którą stronę się założyłem?

— W takim razie lepiej pójdę wygrać dla ciebie — powiedział Stuart.

Camrose mruknął coś pod nosem i wyszedł z pomieszczenia, a Johnny Steele podążył za nim. Stuart podniósł się z pudła do pakowania. Jego cygaro zmieniło się już w niedopałek i teraz rzucił na nie pełne żalu spojrzenie, po czym upuścił je na podłogę; postawił na nim but i popatrzył na Lucy. Uśmiechnął się do niej lekko.

— Dlaczego nie mogą dać ci spokoju? — zaczęła się dopytywać. — To okrutne.

— Chwilowe okrucieństwo. To minie. To lepsze niż rzeczy, które utrwalają się na stałe i nigdy nie przestają boleć.

— Próbujesz mi coś powiedzieć?

— To były tylko słowa — odparł.

— To nie były tylko słowa. — Po raz pierwszy od nocy, kiedy zbudowano chatę, spoglądała na niego z dawnym, znajomym zainteresowaniem. Ta noc pozbawiła wyrazu jej oczy i ciepła głos, zgodnie z jego zamiarem. Mimo to, obecna chwila przywróciła mu część tych uczuć i ożywiła w nim ten sam nagły fizyczny wstrząs. Nigdy przedtem się tego nie wstydził; teraz, kiedy był zaręczony z inną kobietą, już tak.

— Chciałabym, żebyś mi powiedział, o czym myślisz — powiedziała.

Przy drzwiach zobaczył Johnny'ego Steele'a, który z niepokojem zaglądał do środka. Johnny czegoś od niego oczekiwał - jak i całe to miasto - a powolność jego postępowania zaniepokoiła Johnny'ego i całe miasto.

— Lucy — oznajmił, — zostań tutaj w środku — i podszedł do drzwi.

Johnny Steele przekazał mu:

— Wrócił do Stutchella.

Słońce było po zachodniej stronie, rzucając cień idącego w kierunku początku ulicy Stuarta, tuż przed nim; ciepło rozgrzewało mu kark, a silny zapach kurzu kręcił mu w nozdrzach. Minął Joego Harmsa, mały, suchy człowieczek wpatrywał się w niego, poruszając wargami i mówiąc coś zbyt cicho, by można było go usłyszeć. Za Stuartem, w pewnej odległości, w zalegającej dokoła głuchej ciszy dało się słyszeć słowa jakiegoś mężczyzny.

— Idzie do Stutchella.

Dochodząc do celu, Stuart pomyślał, że miasto będzie rozczarowane, jeśli ta walka zakończy się w miejscu, gdzie nie będzie jej widać.

Knajpa była jednopiętrowym budynkiem z drewnianych bali, długim na trzydzieści stóp i szerokim na piętnaście – najbardziej prymitywnym miejscem, jakie było możliwe, umeblowanym krzesłami wzdłuż ścian, stołem pośrodku pomieszczenia i barem po jednej stronie. Stutchell stał za

barem, a Honey Bragg opierał się o niego. Stał na wpół odwrócony i dlatego od razu zobaczył Stuarta; jego wydatne usta poruszyły się lekko, a skurcz mięśni zafalował wzdłuż całego ciała, zawieszając w powietrzu rękę. Przed Honeyem Braggiem stała butelka i kieliszek, ale Stuartowi nie wydawało się, że mężczyzna wypił bardzo wiele, w czasie sześciu godzin spędzonych w mieście.

Stuart zwrócił się do Stutchella.

— Daj mi butelkę, Harry - pełną. — Oddech Stutchella zrobił się krótki i szybki, a strach sprawił, że zbladł, gdy stawiał butelkę na barze. Stuartowi zrobiło się żal tego człowieka i powiedział: — Chcesz tu zostać i na to popatrzeć, Harry? — Stutchell nic nie odpowiedział.

Przez ten krótki czas, Bragg trzymał swą okrągłą główkę na wpół opuszczoną i spoglądał na Stuarta. Uśmiechał się półgębkiem, rozsuwając wargi, pokazując masywne, pożółkłe zęby; Stuartowi zdawało się, że w tym uśmiechu widoczne jest lekkie rozbawienie. Ale było w nim też coś innego - ponura przyjemność, cień dzikiego oczekiwania. Odezwał się krótko do Stuarta.

— Nie mam broni. Odłóż ją.

— Wolę by została tam, gdzie jest.

Honey Bragg podniósł rękę z baru i wykonał leciuteńki obrót. Dziwny, uśmiech tańczący mu na ustach był wyraźnie zasłoną skrywającą tkwiące w nim bezlitosne zło.

— Niech to będzie uczciwa walka. Nie mam nic przeciwko tobie. To chłopcy chcą się zabawić. Dajmy im dobrą walkę, bez urazy.

— Po jakiego diabła kłamiesz, Honey?

— Co masz przeciwko mnie? — zapytał Honey Bragg, gładko i dociekliwie. — Ja tylko spuszczam parę. Dobrze potrafię używać pięści. Ale co ty masz przeciwko mnie?

— Chciałabyś się upewnić, ile dokładnie wiem, co? Od dawna chodzi ci to po głowie. Poczułabyś się o wiele lepiej, gdybyś zdołał to w końcu ustalić.

W pomieszczeniu rozległ się krótki śmiech Honeya Bragga.

— Ech, mówisz do mnie zagadkami, Logan. — Potem opuścił głowę, aż jego oczy w połowie przesłoniły brwi, a cała dobroduszność uleciała z niego. — Co ci siedzi w głowie?

— Obraz drzewa, na którym się huśtasz.

To zdawało się być wystarczające do weryfikacji podejrzeń tego człowieka. Zaczerpnął powietrze i pozwolił by pierś mu opadła; stanął przed Stuartem mroczny i bezwzględny.

— Popełniłeś błąd, zatrzymując przy sobie broń. Zakładam więc, że zamierzasz jej użyć. Wobec tego chyba muszę skręcić ci kark, zanim będziesz miał ku temu okazję. Stutchell, pamiętaj, że go ostrzegałem. Słyszysz, Stutchell?

Stutchell burknął kompletnie przerażonym głosem:

— Słyszę.

— Spójrz na Stutchella — powiedział Honey Bragg. — Spójrz na niego, Logan.

Ręce Stuarta spoczywały bezczynnie na barze, blisko butelki, którą zamówił. Odwrócił głowę na wpół w stronę Stutchella, a potem cofnął ją na czas, by zobaczyć, jak Honey Bragg spina swoje grube ciało i rzuca się do przodu. Było to jednak coś, czego Stuart się spodziewał i po to właśnie zamówił butelkę. Jego ręka chwyciła butelkę za szyjkę. Cofnął się, by uniknąć wyciągniętych ramion Honeya Bragga; wymierzył butelką w okrągłą głowę Bragga i uderzył, unosząc się na palcach, by nadać ciosowi większą siłę. Lecący w pełnym ataku Bragg nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko lekko odchylić głowę na bok. Butelka uderzyła go ukośnie nad uchem i pękła, a jej poszarpane resztki przejechały mu po twarzy, pozostawiając głęboki, czerwony ślad.

Z Bragga opadła cała siła. Obrócił się i chwycił się baru, aby się przytrzymać; jego usta otworzyły się w szoku i uczepił się baru, twarz mu stępiała, a ręka opadła. Stuart zobaczył, że ucho mężczyzny zostało w połowie oderwane i zwisało luźno w dół. Nagle Stutchell zaczął krzyczeć na cały głos:

— Masz go - masz go! Zabij go teraz!

Mieszkańcy Jacksonville stłoczyli się przy drzwiach, wpatrując się przez nie do środka, a dookoła knajpy wszędzie stukały buty, gdy ludzie starali zająć miejsca w oknach, aby mieć dobry widok.

Stuart obrócił się i chwycił za krzesło. Uniósł je nad głową, obserwując Honeya Bragga, który powinien leżeć nieprzytomny na podłodze, ale tak nie było. Ten człowiek był krzepkim osiłkiem o kościach jak u niedźwiedzia grizzly i witalności wołu. Wszystkie jego zwycięstwa wynikały z posiadanej przez niego grubej osłony kości i mięśni, tej niewrażliwości na wszelkie obrażenia. Bragg zaklął, obracając się wokół siebie; żwawo i niebezpiecznie przestawiając nogi. Zobaczył, że krzesło zbliża się do niego ponownie i podniósł ręce. Nogi krzesła uderzyły w jego ciało jako pierwsze i oderwały się; cofnął się, zakołysał oraz przyłożył ręce do głowy. Stuart trzymał ciągle w rękach resztki krzesła - oparcie i siedzenie - i zamachnął się jeszcze raz, uderzając Bragga w głowę krawędzią siedzenia. Odgłos tego uderzenia rozniósł się po spelunce na tyle wyraźnie, że ludzie zaczęli krzyczeć.

— Masz go! — wrzeszczał Stutchell. — Wyrwij mu mózg! Wydłub mu oczy!

Bragg oznajmił warczącym głosem:

— Diabła tam, że ze mną koniec. Stutchell, zabiję cię.

Odwrócił się celowo plecami do Stuarta i ściągnął głowę w dół, robiąc z pleców tarczę; oparł się rękoma o bar i zrobił unik w bok, do rogu, jednocześnie odwracając się, z twardym chrząknięciem, podpierając się ściany i czekając, aż nogi będą w stanie go podtrzymać. Krew obficie spływała mu po policzkach, a jego kręcone włosy były całe od niej mokre; otrząsał miarowo głowę, aby oczyścić mózg z mgiełki, i przez tę mgiełkę spoglądał cierpliwie i ponuro na Stuarta. Mruczał coś chrapliwym głosem, głosem strasznym przez bijącą z niego niezachwianą pewność siebie i nieustępliwe zamiary.

— No dobra, Logan. Dobra. Zaraz po ciebie przyjdę. Złapię cię w uścisk rąk i złamię ci kręgosłup. Dobra.

Stuart ponownie uderzył go siedziskiem krzesła. Bragg przyjął cios na uniesioną rękę, ale siła uderzenia powaliła go na podłogę. Krzesło rozpadło się w rękach Stuarta, który cofnął się kilka kroków, złapał za drugie krzesło i wrócił, obserwując, jak Bragg odwraca się, chwyta rękoma za krawędź baru i wyprostowuje się. Nagle Bragg zawirował i z impetem rzucił się na Stuarta. Stuart zrobił szybki kroczek w bok i wbił jedną nogę krzesła w usta Bragga, miażdżąc mu wargi i odrzucając go z powrotem na bar. Żywotność Bragga była przerażająca; bardzo ucierpiał, otrzymał potężne ciosy, które zabiłyby słabszego człowieka, a mimo to stał wyprostowany, w dużej mierze pozbawiony już świadomych myśli, lecz podtrzymywany przez czysto zwierzęcą siłę. Utrzymał swój dziwny, zgrzytliwy ton głosu:

— Wszystko nadal w porządku, Logan. Zaraz cię dorwę. Powalę cię na podłogę, stanę na twoich bebechach i je zmiażdżę. Wszystko w porządku, Logan.

Wydawał się walczyć z sennością. Logan podniósł krzesło i zmierzył Bragga z niesamowicie chłodną uwagą; wykonał zwód krzesłem i zobaczył, jak ramię Bragga zamachnęło się w obronie, a następnie uderzył trzymanym meblem w to ramię. Usłyszał trzask łamanych kości i zobaczył, jak krzesło również się łamie; odrzucił bezużyteczny mebel na bok.

— Teraz możemy skrócić dystans, Honey.

Bragg wpatrywał się w swoje okaleczone ramię. Poruszył ręką w barku i łokciu; uniósł ją i zobaczył, jak zgina się poniżej łokcia. Opuścił ją ponownie i przyglądał się jej, jakby był jakimś odległym widzem czegoś, co go zaskoczyło. Powoli przesunął zdrową ręką po pokiereszowanej twarzy.

— Myślisz, że tego nie zrobię, Logan? — zapytał i odepchnął się od baru, unosząc zdrową rękę.

Ten człowiek był jak byk, prymitywny i niezmienny; jego mózg nie był niczym innym, jak tylko gąbczastym jądrem otaczającym jedno pragnienie - atakować, niszczyć. Nie było w nim strachu przed bólem, a jeśli nawet były jakieś jego ślady, to żądza niszczenia była tak wielka, że niwelowała ból. Uderzył zdrową ręką, dziwne dźwięki wyrywały mu się z gardła. Stuart odpowiedział na jego atak, parując cios i robiąc kroczek naprzód aby wyprowadzić mocne uderzenie na brzuch Bragga.

Jakkolwiek Bragg był tępy, miał w sobie chytrość walki; nie włożył przedtem całego ciężaru w atak, i teraz obrócił się oraz uderzył ponownie, trafiając Stuarta pięścią w usta.

To była czysta katastrofa spływająca w dół kręgosłupa Stuarta. Wydawało mu się, że coś trzasnęło mu w karku i wywołało ryk w jego głowie. Jego oczy straciły ostrość, tak że przez chwilę nie mógł dostrzec Bragga, więc powoli się odsunął, czując silny zapach krwi w nozdrzach. Bragg wyczuł swoją szansę i rzucił się do przodu, uderzając ponownie. Spudłował bezpośredni cios, uderzył jednak mocno w Stuarta ciałem i wbił mu kolano w brzuch. Z tak niewielkiej odległości Stuart zamachnął się w górę, waląc w potężną brodę Bragga; uniósł się, aby dodać wagi uderzeniu i poczuł, jak szok przeszywa nerwy w jego ręce. Głowa Bragga poleciała do tyłu; zaczął się odsuwać, chwiejąc się w trakcie tego ruchu na

wszystkie strony, machając przed sobą ciężkim ramieniem jak cepem. Stuart ruszył na niego, uderzając ręką na dolne partie. Uderzył Bragga w bok tułowia, uderzył muskularnego osiłka pod serce, uderzył mocno w dołek żołądka i zobaczył, jak twarz jego przeciwnika zaczyna się rozluźniać. Bragg, wycofując się, w końcu oparł się plecami o bar i raz jeszcze jego przebiegłość przyszła mu z pomocą. Zsuwając się na bok wzdłuż baru, podniósł stopę i wbił ją w dolną część brzucha Stuarta.

To wytrąciło Stuarta z równowagi i poleciał do tyłu. Uderzył w mały stolik na środku pomieszczenia i upadł, a stolik spadł na niego. Ponownie się przetoczył, wiedząc, że jest w wielkim niebezpieczeństwie, i zobaczył, jak Bragg rzuca się do najbliższej ściany i swoją jedyną zdrową ręką chwyta za krzesło. Bragg krzyknął:

— Na Boga, mam cię!

Bragg zatoczył się do przodu i próbował odkopnąć przeszkadzający mu stolik. Nie udało mu się to i, krzycząc coś ponownie, rzucił krzesłem z całej siły, jaka mu została.

Stuart odkręcił się, słysząc, jak krzesło rozbija się tuż koło niego. Przez chwilę toczył się dalej i wyskoczył do góry, odkręcając się w piruecie, gdy Bragg rzucił na niego w ślepej szarży. Bragg uderzył w ścianę na końcu saloonu i powoli się odwrócił. Stuart czekał na niego na środku.

— Czas zgasić światło, Honey — oznajmił i podniósł kolejne krzesło.

Stutchell stał blady i odrętwiały w kącie, wciskając się plecami w kłody ścian. Honey Bragg nagle zdał sobie sprawę z jego obecności, odwrócił się i jednym ciosem powalił go na podłogę. Bragg kopnął go i wywołał tym krzyk Stutchella; w tej samej chwili Stuart opuścił krzesło na głowę i ramiona Bragga, ogłuszając go. Z krzesłem zaklinowanym na głowie Bragg upadł i powoli próbował się podnieść. Jego oddech zrobił się chrapliwy i ciężki, przez cały czas mruczał coś do siebie podczas swojej pracy. W końcu zepchnął z siebie krzesło i usiadł na podłodze, wpatrując się zalanymi krwią oczyma; próbował oczyścić je dłonią. Jego wzrok pozostał jednak kiepski, i po chwili zaczął coś jęczeć i mówić do siebie, po czym odwrócił się do ściany i wstał. Stał twarzą do ściany, ledwo to wiedząc; zacisnął pięść i uderzył w ścianę.

— Nie tam — pokierował go Logan.

— Podejdź do mnie — oznajmił Bragg, odwracając się. — Podejdź i wyrównamy warunki. No dalej.

Stuart przeszedł przez pomieszczenie, obserwując, jak ręka Bragga cofa się. Zmylił Bragga i przyjął jego ostatni cios; następnie podszedł małym kroczkiem i walnął Bragga w bok w twarzy, wprawiając ten krwawy, niezniszczalny wrak człowieka w powolny obrót. Bragg ponownie oparł się o ścianę i pochylił głowę, całkowicie wyczerpany i kompletnie bezradny.

— No dalej, Honey — powiedział Stuart. — Jeszcze nawet nie zacząłem pracować nad twoimi oczami.

Bragg zataczając się dotarł do drzwi i zobaczył, że są zablokowane przez ludzi z Jacksonville. Warknął ciężkim głosem:

— Zejdźcie mi z drogi. — Tłum odsunął się, aby zrobić Braggowi tyle miejsca, ile chciał. — Cholerne psy — oznajmił. — Cholerne tchórzliwe

psy. — Pochylił głowę i zobaczył leżącego Stutchella. Ponownie kopnął barmana i wytoczył się z knajpy.

Stuart podążył za nim wąskim przejściem między górnikami, gdy jego przeciwnik szedł zataczającym się, powolnym krokiem w stronę swojego konia, czekającego koło stodoły z sianem Howisona.

W pewnej chwili Bragg się odwrócił, przez moment wydawało się, że zamierza ponownie stanąć do walki, lecz pokręcił głową i odskoczył, gdy Stuart zaczął się do niego zbliżać; podszedł do swojego konia. Odwiązał wodze i włożył nogę w strzemię; chwycił łęk siodła zdrową ręką i wykonał dwie nieudane próby, zanim wspiął się na konia; i przez chwilę siedział, zlany własną krwią, z uchem trzepoczącym o policzek i rozwartymi na całą szerokość ustami, wciągając łapczywie ciepłe popołudniowe powietrze. Popatrzył na Stuarta, którego obrażenia zaczynały być na nim widoczne, jednocześnie z rodzącym się bólem; mimo to pierwotna przebiegłość wciąż pulsowała w jego umyśle, a zdrada była w nim ciągle żywa. Stuart wyciągnął rewolwer i wycelował go w Bragga.

— Nie próbuj stratować mnie koniem.

Bragg puścił na wpół podniesione wodze.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, co zamierzam zrobić?

— Wiem, co spróbujesz zrobić, kiedy tylko będziesz w stanie.

— Zamknę ci gębę na dobre — oznajmił Bragg martwym, cichym głosem. — Dopadnę cię. Jest tysiąc miejsc, w których mogę cię dorwać. Dopadnę cię.

— Przy zakolu rzeki, Honey?

Bragg odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

— To może być dobre miejsce — stwierdził i zawrócił konia, wyprowadzając go powoli z miasta, a jego złamana ręka kołysała się wzdłuż boku.

Zmęczenie otępiało Stuarta, gdy szedł pod górę ulicą. Nerwy w ramionach zaczęły go gwałtownie boleć, a rozbite usta rwały. Część tłumu podążała za nim w stronę sklepu, a zewsząd dolatywały do niego przesiąknięte serdeczną aprobatą głosy. Jakiś człowiek poklepał go po plecach, i uniósł głowę, by zobaczyć Johnny'ego Steele'a mówiącego coś do niego.

— To było dobre, to było dobre — entuzjazmował się Johnny. — Nigdy jeszcze czegoś takiego nie było i nigdy nie będzie.

— To świetnie, Johnny — odparł Stuart. — Teraz możesz odebrać swój zakład.

Steele go zrozumiał; odebrał znaczenie tej uwagi i kawałek drogi przeszedł w milczeniu, myśląc o tym. W końcu uniósł głowę i wygłosił swoją obronę, która w pewnym sensie była również obroną reszty ludzi z obozu.

— Może to dla ciebie trudne — powiedział Steele — ale ujrzeliśmy dzień, w którym Bragg został pokonany. Nie była to rzecz, której spodziewaliśmy się kiedykolwiek doczekać. To jest coś, prawda?

— Chyba to faktycznie coś, Johnny — zgodził się Stuart i wszedł do sklepu.

Lucy stała w drzwiach, spoglądała sztywno; jej twarz wyglądała na surową, a surowość ta powoli ustępowała, kiedy na niego spoglądała. Przeszedł obok niej do pokoju na tyłach; usiadł na skraju łóżka i sięgnął po fajkę. Napełnił ją i zapalił, zaciągnął się dymem i odsunął go z nagłym niesmakiem. Dym palił go w rany na wargach. Pochylił się, oparł głowę na rękach i wpatrywał się w podłogę, odpierając fale bólu, które nadchodziły coraz silniejszym stałym przypływem. Zauważył, że w chwilach, gdy napływały, napina się, po czym na moment się rozluźnia, gdy odpływały. Otrzymał więcej ciosów, niż myślał – i wszystkie były ciężkie; byłby masą zbitej miazgi, gdyby nie okaleczył Bragga już na początku. Czuł się przygnębiony i zniechęcony; czuł wstręt do samego siebie, czuł się brudny. „Jestem już na tyle stary, żeby nie tarzać się w kurzu jak jakiś szczeniak" — pomyślał.

Lucy weszła cicho do pokoju. Podłożyła dłoń pod jego brodę i uniosła ją, aż uzyskała pełny widok na jego twarz, i zobaczył, jak jej spojrzenie ostrożnie przesuwa się po jego obrażeniach. Nadal miała ten zamrożony, opanowany wyraz twarzy.

— Będziesz musiał pójść do doktora Balance'a. — Nagle usiadła obok niego na łóżku i objęła go ręką, przyciągając jego głowę do swojego ramienia. — Logan — powiedziała. — Och, Logan!

— Nie przejmuj się — odparł. — To przejdzie.

— On znowu cię zaatakuje. Dlaczego go nie zabiłeś? — przez całą długość sklepu krzyknął Camrose i szybko ruszył naprzód. Zatrzymał się w drzwiach pokoju i obserwował scenę. Szybko spytał:

— Jak źle jest?

— Nie na tyle źle, bym miał od tego umrzeć — odparł Stuart.

— Ale dosyć źle — stwierdziła Lucy i przytrzymała rękę. Spojrzała na Camrose'a. — Czy miasto jest zadowolone? Czy wy wszyscy w końcu jesteście zadowoleni?

— Ależ Lucy — powiedział Camrose, — ja nigdy nie tego popierałem.

Lucy wstała i podeszła do drzwi.

— Powinieneś zagrzać sobie wannę dobrej gorącej wody i posiedzieć w niej przez godzinę. To uśmierzy ból twojego ciała. George, rozpal mu ogień. Przyprowadź go do domu, kiedy skończy.

Camrose odparł:

— Dobrze — i pomyślał o czymś innym. — Co tam powiedziałeś Braggowi o zakolu Rogue? Jeśli coś wiesz, lepiej to powiedz komuś, zanim cię zdmuchną z konia ze strzelby.

Lucy ich zostawiła. Stuart słuchał jej oddalających się kroków na podłodze, a potem uniósł głowę i powiedział:

— Zamknij drzwi, George.

Camrose odwrócił się i pchnął drzwi.

— A teraz — powiedział Stuart, — ile pożyczyłeś z sejfu?

Pytanie zaskoczyło Camrose'a. Odpowiedział na ponure spojrzenie Stuarta z nagłą irytacją.

— To moja sprawa.

— Nie, nie tylko. To również sprawa firmy, której pieniądze pożyczyłeś. To również sprawa dziewczyny, którą zamierzasz poślubić. Weszło ci w nawyk oszukiwanie samego siebie.

— Nic z tych rzeczy — oświadczył z uporem Camrose. — Wszystko jest w porządku.

Stuart wstał i poczuł nowy przypływ bólu w ciele; to go rozdrażniło.

— Nic nie jest w porządku. Pieniądze w tym sejfie to pieniądze powierzone ci. Nie miałeś prawa ich dotykać. W chwili, gdy ktoś je dotknie, nawet jeśli tylko na piętnaście minut, znajduje się na złej drodze.

— Sugerujesz, że jestem oszustem? — spytał Camrose z rosnącą wrogością.

— Ja to mówię, a nie sugeruję. Musisz przestać grać w pokera i zrezygnować z pragnienia zdobycia łatwych pieniędzy. Jeśli tego nie zrobisz, skończysz z pustym sejfem i oskarżeniem o defraudację. Albo trafisz do więzienia, albo będziesz ściganym przestępcą.

— Zaraz, zaraz — poderwał się Camrose, — nie mogę pozwolić, żeby coś takiego…

Stuart pacnął płaską dłonią w pierś Camrose'a, uderzając plecami swojego przyjaciela w zamknięte drzwi.

— Na Boga, śmiejesz się ze zbyt wielu rzeczy, zbyt wiele rzeczy traktujesz lekko. Są tego pewne granice. Na wpół wmanewrowałeś się w kradzież. To chyba jasne, prawda? Przestań próbować się usprawiedliwiać.

— To wszystko? — oznajmił Camrose chłodnym, pełnym wściekłości tonem.

— Zawsze się wykręcasz. Zawsze znajdujesz wymówkę, zawsze kwitujesz wszystko uśmiechem albo wzruszeniem ramion. Czy ty myślisz, że będziesz mógł powiedzieć o tym Lucy i uśmiechnąć się? Myślisz, że ona też się uśmiechnie?

Camrose podszedł do okna i odwrócił się plecami do Stuarta. Trzymał sztywno wyprostowane plecy, żeby dać wyraz swojemu oburzeniu.

— Logan — rzucił w końcu przez ramię, — od jak dawna o tym wiesz?

— Od sześciu miesięcy albo dłużej.

— Nie masz o mnie zbyt dobrej opinii, co?

— Ile ci brakuje? — spytał Stuart.

— Dwa tysiące.

Stuart otworzył drzwi i wszedł do magazynu. Clenchfield siedział pochylony nad wysokim biurkiem, co wyraźnie wskazywało, że jest zajęty swoimi obowiązkami. Stuart powiedział:

— Daj mi dwa tysiące, Henry — i czekał przy ladzie, podczas gdy Clenchfield liczył pieniądze. Stuart spojrzał prosto na Clenchfielda i powiedział: — Pożyczka pod przyszłe zyski, Henry.

— Tak jest — potwierdził Clenchfield i nic do tego nie dodał.

Stuart wrócił do pokoju na tyłach ze złotem w kieszeniach. Rzucił monety na stół.

— Taką mam o tobie opinię, George.

Zobaczył, w oczach George'a Camrose'a jak duma odrzuca jego propozycję; potem dostrzegł, jak coś dopada tę dumę i ją nagina. Stał tam, związany przyjaźnią z tym człowiekiem, jednocześnie widząc szybkie,

żałosne i na wpół cyniczne działanie natury Camrose'a. Tak dobrze znał ten uśmiech, który w końcu się pojawił na jego twarzy, czarujący i gładki w tym, jak zmywał wszystko.

— Dobrze, Stuart. Zawsze byłeś Purytaninem. Nigdy nie zrozumiesz Kawalera.

— Słowa nic tu nie pomogą. Wstań i zrób to, co słuszne. Wiesz, co to znaczy.

Kilka chwil wcześniej wywołałoby to u George'a Camrose'a gniew, ale teraz Camrose'a w pełni już ogarnął jego nowy nastrój.

— Wiem — oświadczył radośnie. — Wyprostuję to wszystko. Nigdy nie było w tym nic złego, ale i tak to wyjaśnię. — Włożył pieniądze do kieszeni, stwarzając wrażenie jakby nie był nimi specjalnie zainteresowany i tym samym sprawiając, że prezent zdawał się mniej ważny, niż był naprawdę. — Teraz — dodał — powiesz mi jeszcze, żebym nie grał już w pokera.

— Zgadza się.

— Zrobię tak — obiecał Camrose. — Chociaż będzie to cholernie nudny świat.

— A co złego jest z tym światem? Jest chyba wystarczająco duży dla ciebie, prawda?

— I znów głos purytanina. Przyjdziesz do domu na kolację?

— Nie.

— Lucy urządzi mi piekło — stwierdził Camrose i odszedł. Minął Clenchfielda, nie patrząc na urzędnika; był absolutnie świadom, że ten człowiek może dużo wiedzieć o jego sprawach, ale poszedł prosto do drzwi, wyszedł na ulicę i skręcił w stronę knajpy Hobarta, gdzie zastał George'a Thackeraya siedzącego bezczynnie przy stole.

— Odbiorę teraz ten weksel — powiedział do Thackeraya.

Thackeray wsunął rękę do kieszeni.

— Na dziś jesteś spłukany?

— Wystarczająco spłukany.

— Co powiesz na małą grę?

Camrose zastanowił się nad tą sprawą, niedbale odpierając weksel i rozdzierając go w poprzek.

— George — powiedział — ja lubię pokera. Wolę grać w pokera niż jeść. A jednak, przy mojej pracy, muszę być jak żona Cezara.

— O co z nią tam chodziło?

— Poza zarzutami – poza podejrzeniami.

— To wolny kraj — stwierdził Thackeray. — Człowiek może robić, co mu się, cholera, podoba.

— Kiedy człowiek zawodowo zarządza pieniędzmi, musi być ostrożny.

— Powiedzmy, że zagramy w mojej chatce – nikt nikomu nie powie i wszystko po cichu.

— To lepiej — stwierdził Camrose i wyszedł ze spelunki. Ciężar zniknął mu z serca i poczuł się pełen radości. Thackeray został spłacony, a pożyczka Stuarta pozwoli mu oddać pożyczone z sejfu pieniądze. Wtedy pomyślał: „Jeśli wezmę udział w tej grze dziś wieczorem i trafi mi się dobra karta, powinienem mieć wystarczająco dużo gotówki w kieszeni,

żeby popchnąć swoje sprawy. Sześć razy dobra karta w ciągu wieczoru dałaby mi naprawdę coś.” Następnie, po podjęciu tej decyzji, ruszył w stronę domu Overmire’a.

Rozdział VIII
Nad strumieniem

Tego dnia, o dziesiątej wieczorem, George Camrose wyszedł z chaty Thackeraya i poczuł, że ciepłe nocne powietrze, owiewa mu twarz dosyć zimnym wietrzykiem. Przejechał dłonią po czole, ocierając z niego pot i odezwał się sam do siebie z ponurym rozgoryczeniem: „Nigdy nie nauczę się, aby dać sobie z tym spokój”. Stracił całą posiadaną gotówkę, a Thackeray miał jego weksel na kolejny tysiąc. Wszyscy przy stole pokerowym spoglądali na niego w dosyć dziwny sposób, gdy wstawał i wychodził. Zastanawiali się, jak mógł sobie pozwolić na takie straty, i nie będą trzymać tego faktu w sekrecie, w nieskończoność. Cały obóz wkrótce usłyszy o tej historii; w odpowiednim czasie pozna ją również i Stuart.

Wszedł do knajpy Hobarta i wypił dwie solidne szklaneczki whisky; usłyszał człowieka wykrzykującego jego imię i odwrócił się, by odkryć uśmiechającego się do niego Macka McIvera - tego samego McIvera, który miał być na poszukiwaniach złota wzdłuż biegu Applegate. Odpowiedział mu: „Cześć, Mack” i uśmiechnął się do niego serdecznie, ale ogarnęło go dziwne uczucie. Poczuł się nieco zbity z tropu, gdy pomyślał o na wpół pustym woreczku złota McIvera, leżącym w jego biurowym sejfie.

— Nie miałem szczęścia — oznajmił McIver. — Tylko zdeptałem podeszwy butów. Napijmy się czegoś.

— Dzięki — odparł Camrose — ale muszę iść zobaczyć się ze Stuartem.

McIver oznajmił:

— No cóż, ja idę się upić. Do zobaczenia jutro.

Camrose wyszedł w atłasowy mrok, rozpamiętując ostatnie zdanie McIvera. Wyciągnął chusteczkę i przetarł czoło. Pomyślał: „Czy poczucie winy jest widoczne na twarzy człowieka, czy jest to coś, co zawsze sobie tylko wyobraża? Cholerny Thackeray! Jak to się stało, że stawki tak szybko wzrosły?”. Zobaczył Joego Harmsa siedzącego w skulonej pozycji przed szopą Howisona, minął go bez słowa i otworzył drzwi swojego biura. Zamknął je za sobą i rzucił okiem na okiennice. Nigdy wcześniej nie czuł się tak, jak teraz - nigdy nie miał tego wrażenia zamykającego się potrzasku, tej niespójnej galopady myśli, chorobliwego potępienia samego siebie, fizycznego wrażenia motyli w żołądku.

Wiedział co do uncji, ile zabrał ze złota McIvera, ale otworzył sejf, wyjął woreczek i zważył go. Następnie policzył należące do firmy złote monety, ułożone na górnej półce. Zamknął sejf i odsunął się, opierając łokcie na blacie. „Będzie tu jutro z samego rana po swój woreczek. Jeśli chodzi o złote monety, mam tydzień lub dwa, zanim cokolwiek się wydarzy”. Wtedy uderzył go zbieg okoliczności, że w ciągu ostatnich kilku

dni dwóch górników pojawiło się u niego, aby odzyskać swój złoty piasek. Czyżby po obozie zaczęły krążyć jakieś plotki na jego temat?

Wyszedł z biura, zamykając za sobą drzwi i skierował się w stronę chaty Lestrade'a. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś hałas z tyłu, i odwrócił się gwałtownie, ale niczego nie zauważył w czarnych cieniach. „Jestem w piekielnie trudnej sytuacji", powiedział sobie, po czym zapukał do drzwi Lestrade'a i usłyszał stłumiony głos Marty, która zaprosiła go do środka.

Siedziała w bujanym fotelu przy kominku; spoglądała na niego ze zwykłym wyrytym na twarzy mrokiem, ze zwykłymi cieniami w oczach. Camrose zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami. Zapytał:

— Gdzie jest Jack?

— Na przejażdżce — odpowiedziała.

— Zawsze gdzieś jeździ — skomentował. — Balance lub Howison pojawili się dziś wieczorem?

— Nie — odpowiedziała. — Co z Loganem?

— Poobijany.

— Ktoś powinien zastrzelić Bragga — oznajmiła z nutą urazy w głosie.

Spojrzał na nią uważnie.

— Dosyć mocno lubisz Logana. Cudownie jest mieć takich przyjaciół jak ty.

— Ludzie zachowujący się naturalnie, zawsze są lubiani — zauważyła. — Wszyscy zachowujemy się naturalnie, nieprawdaż? Ja również, czyż nie?

Zmieniła temat.

— Wyglądasz blado. Nie czujesz się dobrze?

— Wystarczająco dobrze — odparł. Ale pomyślał sobie: „A więc, widać to po mnie" i znów przeszedł go dreszcz.

Podniosła się z fotela i stanęła z gracją pod ścianą, nadal go obserwując. Zdawał sobie sprawę z mieszaniny delikatności i gorących pragnień, kotłującej się w tej kobiecie, emocji zdolnych do tak wielkiej przemocy, a jednak trzymanych pod tak sztywną kontrolą.

— Rzadko się uśmiechasz, Marto. Dlaczego?

— George, czy mogę ci coś powiedzieć?

Pomyślał szybko i z uniesieniem: „Ona robi pierwszy krok" - i ruszył w jej stronę.

Pokręciła ku niemu głową.

— Zostań tam gdzie stoisz. Próbowałeś wyczytać pewne rzeczy, ze sposobu, w jaki na ciebie patrzyłam. Rzeczy, które wydawało ci się, że dostrzegasz — mówiła spokojnie, — po prostu nie istnieją. Masz Lucy. Czego można chcieć więcej? Dlaczego miałbyś próbować wdawać się w miłosne przygody?

— Potrzebuję twojej przyjaźni — wtrącił szybko.

— Nie o tym myślałeś — odparła.

Na jego twarzy pojawiły się rumieńce.

— Czy zachowałem się aż tak prostacko?

— Jesteś chciwy i niegodny zaufania. Nie przychodź tu więcej.

Powiedział:

— Boisz się dopuścić mnie blisko siebie?

Zmniejszył dystans i objął ją ramionami. Poczuł jej nagły opór, ale opuścił głowę i pocałował ją - i cofnął się. Jej wyraz twarzy się nie zmienił, lecz głos zrobił się twardy.

— Jesteś głupcem.

— Myślę — oznajmił z urazą — że czasami spoglądałaś na mnie swoimi oczyma. — Potem poczuł wewnętrzny chłód, desperację i poczucie tkwienia w pułapce. — Marto, jesteśmy przyjaciółmi od dłuższego czasu. Dlaczego miałoby się to zmienić?

— Balance, Neil i Logan również byli przyjaciółmi. Ale czy zauważyłaś, że już tutaj nie przychodzą?

Te słowa obudziły w nim czujność i podejrzliwość.

— Dlaczego mieliby już nie przychodzić?

— Dobranoc — powiedziała — i nie przychodź więcej.

— Proszę — zaczął. — Chciałbym...

Powstrzymał go wyraz zimnej odrazy na jej twarzy. Zdziwiło go, że w tej łagodnej kobiecie mogła tkwić taka siła charakteru. Kiedy otworzył drzwi i popatrzył na nią, miał wrażenie, że uwikłał się w jakąś tajemnicę, o której niewiele wiedział; w tym nastroju zamknął drzwi i powoli odszedł w kierunku centrum miasteczka.

Wsłuchiwała się w odgłos jego oddalających się kroków. Potem odwróciła się do ognia i usiadła na bujanym fotelu, skurczona w pełnej napięcia i zdenerwowania postawie, wpatrując się w środek ognia. „Historia potoczy się tak samo, jak gdzie indziej", pomyślała. „Ale przynajmniej Lucy nic się nie stanie.

Lestrade siedział w zadymionej, jasnej chacie Bragga i przyglądał się niedźwiedziowatemu mężczyźnie z zainteresowaniem, w którym nie było ani krzty współczucia. Pozostali trzej jeźdźcy, wszyscy będący zabłąkanymi przybyszami znikąd, stali z boku w milczeniu, zaciekawieni i niewzruszeni. Gdzieś głęboko w umyśle Lestrade'a pojawiła się pewna myśl. „Piekielna rzecz dla człowieka mieć w sobie na tyle wiele z dzikusa, że nikt się nim już nie interesuje.

Bragg leżał na łóżku, przepełniony bólem. Balance był tu już wcześniej, jeszcze przed przybyciem Lestrade'a, by nastawić złamaną rękę i przeprowadzić zgrubny zabieg przy rozciętym uchu, ale nic nie dało się zrobić z połamanymi przednimi zębami czy poranionymi wargami. Te ostatnie spuchły, czyniąc jego twarz niewiarygodnie brzydką. Dostał straszliwe lanie, ale, jak na człowieka tego pokroju przystało, był teraz dumny z własnej wytrzymałości.

— Kogoś takiego jak ja nie da się zabić — mruknął. Ból sprawiał, że nieustannie przesuwał stopy w inne miejsce na łóżku; poruszał się powoli i szumiało mu w głowie.

— Mówiłem ci, żebyś trzymał się od niego z daleka — zauważył Lestrade. — Teraz się rozłożyłeś, Bóg wie na jak długo. To miesza nam strasznie w naszych sprawach. — Przy poprzednich okazjach zachowywał ostrożność wobec trzech ludzi Bragga; teraz wydawał się nimi nie

przejmować. — Co on powiedział o rzece? Ma coś, w związku z nią, na ciebie, prawda?

— A co? — spytał Honey, zaciskając powieki.

— Czy chodzi o tych dwu gości, którzy zeszłej zimy wyruszyli do Kalifornii? Ci dwaj znaleźli się martwi rzece, w korzeniach nadbrzeżnych wierzb?

Obserwował uważnie twarz Honeya i był świadkiem drobnych zmian w jej wyrazie. Wyszczerzył zęby w uśmiechu w stronę Bragga.

— Raz na jakiś czas zarabiasz jakieś potknięcie. Do pewnej chwili jesteś dosyć mądry. Potem zmieniasz się w przeklętego niedźwiedzia, kompletnie pozbawionego rozumu. Będziesz miał szczęście, jeśli nie wygonią cię z Jacksonville. Albo nie powieszą.

Bragg delikatnie i ostrożnie wypowiedział dwa słowa.

— Poczekaj tylko.

— Myślisz o Stuarcie — stwierdził Lestrade. — Gdybyś go zabił, musiałbyś uciekać. To miasto go lubi. Zamknęliby cię w cholernym mgnieniu oka.

Honey pokręcił przecząco głową.

— To nie o to chodzi. On wie więcej, niż mi się podoba.

— Co on może wiedzieć? — spytał Lestrade.

Honey wskazał na siebie, a potem na Lestrade'a. Ten ostatni rzucił wyzywającym tonem:

— O nas? Skąd niby miałby się dowiedzieć? I skąd ty wiesz, że wie?

— To cię zaczyna wciągać, co? — zauważył Bragg. Był wystarczająco bystry, by dostrzec zmianę w zachowaniu Lestrade'a i podobało mu się to, co zobaczył. — Teraz to inna sprawa, co?

— Chciałbyś mnie w to głębiej wciągnąć, co Honey?

— Och, siedzisz w tym już wystarczająco głęboko. Takie świętoszki jak ty, mnie śmieszą. Potrafię zadbać o siebie, w kłopotach. A ty?

— Obaj zadbamy o siebie — stwierdził lekko Lestrade. — Niech Stuart się pobawi. Będziemy tu robić interesy jeszcze przez jakiś czas.

Bragg zaproponował:

— Dowiedz się, kiedy zamierza zabrać kolejny ładunek złotego piasku do Portland.

Lestrade opuścił chatę, wsiadł na konia i ruszył między wierzbami. Dojeżdżając do szlaku, zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na światła chaty Bragga, po czym ruszył dalej. Zatrzymał się jednak na tyle długo, że samotnie obserwujący go mężczyzna, przykucnięty niecałe dziesięć stóp od niego, zdołał go rozpoznać. Johnny Steele, powoli nabierający podejrzeń wobec osoby George'a Camrose'a, przybył tutaj, by sprawdzić, czy Camrose nie ma potajemnych powiązań z Braggiem, a teraz odkrył jeszcze jedną rzecz. Siedział bez ruchu, wsłuchując się w rżenie konia Lestrade'a. „Przecież, pomyślał, „ten człowiek to zwykły oszust. To dlatego jego żona płakała. Ona to wie". Obracał to w myślach. „Bragg i Lestrade. I może Camrose też. No cóż, dowiem się wszystkiego.

Lestrade zsiadł z konia i wszedł do chaty, gdzie zastał żonę przy ogniu.

— Czy ktoś tu był?

— Camrose. Odesłałam go.

— Powinnaś być uprzejma dla naszych klientów, Marto. Był smacznym kąskiem. — Uśmiechnął się do niej i podszedł do szafki ściennej po butelkę whisky. — Bragg dostał najgorsze lanie, jakie kiedykolwiek widziałem. Jest mocno pokiereszowany.

— I dobrze mu — stwierdziła. — Bardzo dobrze.

Rzucił jej kose spojrzenie i wychylił whisky jednym długim haustem.

— To dziwne, że żadnego z pozostałych chłopców nie było tutaj od tygodnia.

— Czy to aż takie dziwne?

Wyprostował się i rzucił jej przenikliwe spojrzenie; stał przez chwilę nieruchomo, a w jego oczach pojawiło się zamyślenie.

— W którym miejscu się zdradziłem, Marto?

— Ludzie wyczuwają takie rzeczy. Lepiej wyjedźmy, zanim się naprawdę zorientują. Chciałabym zostawić za sobą kilka przyzwoitych wspomnień.

— Myślałem, że martwi cię przede wszystkim moje bezpieczeństwo. — Przeszedł do sąsiedniego pokoju, wołając do niej w swój lekko sceptyczny sposób. — Czasami wydawało mi się, że lubisz Camrose'a.

— To słaby człowiek — odparła.

— Marto, czy jest jakiś mężczyzna w tym mieście, na którego patrzysz z pożądaniem?

— Czemu mnie o to pytasz?

Gwałtownie wyszedł z drugiego pokoju, złapał ją za ramię i odciągnął od bujanego fotela.

Jego twarz była nacechowana wzburzeniem.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, a potem odsunął się, by spojrzeć na jej nieugiętą, spokojną twarz.

— Nawet kiedy mnie kochałaś — stwierdził — jednocześnie mnie nienawidziłaś. Można zranić człowieka, po prostu się do niego nie odzywając. Czuję teraz twoją ocenę. Jesteś rozczarowana, potępiasz mnie. Czy dałoby się to zmienić - zacząć wszystko od nowa?

— Nie mógłbyś się zmienić — odparła.

— Czy jestem tak słaby jak Camrose - czy o to ci chodzi?

— Nie rozmawiajmy o tym.

Ta jedyna chwila, w której się odsłonił, już minęła, a on już skrył się za swoją osłoną sceptycyzmu.

— Przypuszczam, że jest już za późno — cicho oznajmił i stał w milczeniu przez dłuższą chwilę, obserwując ją i zastanawiając się nad nią. — Czy zastanawiałaś się kiedyś, jak blisko dla nas wszystkich jest niebo, a jednocześnie jak daleko, kiedy podnosimy ręce, aby go dotknąć?

Camrose szedł ulicą, zauważając, że Joe Harms w końcu opuścił swoje stałe miejsce przed stajnią Howisona. Była już prawie północ, okoliczne spelunki wciąż były otwarte; tym niemniej jednak miejskie lampy zaczęły gasnąć, jedna po drugiej, zaś górnicy powoli zmierzali w stronę swoich chat, namiotów i szałasów, porozrzucanych wzdłuż potoku. Na tyłach

sklepu Logana Stuarta paliło się światło, i Camrose zatrzymał się przed sklepem, z problemem, który krążył i krążył mu po głowie. Wydawało się, że jego zachowanie, staje się nierozsądne; wciąż utykał w tych samych ślepych zaułkach, biegał tymi samymi ścieżkami nadziei i znajdował te same daremne zakończenia. Jak miał nadrobić poniesione straty? Jak miał rozwiązać sprawę na wpół opróżnionego woreczka ze złotem McIvera? Co miał powiedzieć Loganowi Stuartowi, gdy ten dowie się, co się stało z pożyczonymi pieniędzmi?

Popatrzył w stronę domu Overmire'a i zauważył światło wciąż świecące z okna. „Gdybym tylko zagrał bezpiecznie, kiedy miałem okazję". Teraz zdał sobie sprawę, w jak niebezpieczną grę się wdał - i jakie były jej fatalne konsekwencje; przejechał dłonią po czole i wydał z siebie cichy jęk. „Boże, gdybym tylko mógł cofnąć czas!"

Grupa górników wyszła od Hobarta kompletnie pijana i stała hałasując i kłócąc się na ulicy, aż w końcu jeden z nich odszedł i udał się na wschód w stronę Howisona. Któryś z pozostałych zawołał za nim.

— Dokąd idziesz, Mack?

Był to McIver, którego obdarta i barczysta sylwetka rysowała się na tle świateł Hobarta. McIver ledwo trzymał się na nogach. Krzyknął:

— Idę skryć się w krzakach, zanim Indiańcy rzucą się na obóz.

Serce George'a Camrose'a zaczęło mocniej walić między żebrami, gdy spoglądał, jak McIver zataczając się brnie przez piach. Reszta górników głośno debatowała nad mądrością pójścia w ślady McIvera; debatowali nad możliwością pojawienia się Indian. Potem grupa skręciła w innym kierunku i w końcu podryfowała do kolejnej knajpy. McIver stał się cieniem zmierzającym w stronę Howisona, wciąż brnącym dalej.

Camrose położył dłoń na rewolwerze, który zawsze nosił za paskiem spodni, i poczuł zawroty głowy, zaś jego brzuch wypełnił chłód. Zaczął coraz szybciej oddychać i odwrócił się, podchodząc wzdłuż ścian budynków w kierunku McIvera. Potem zatrzymał się, rozejrzał uważnie po ulicy i nagle ruszył między budynkami, tyłami miasta, by szybko dotrzeć do własnego biura. Tutaj ponownie znalazł się na ciemnej ulicy i usłyszał, jak McIver kotłuje się dalej w zaroślach. Słyszał, jak McIver mówi do siebie:

— Jestem za mądry.

Camrose ruszył szybko dalej na palcach, przyczajony, próbując się jak najbardziej skurczyć. Rozglądał się wokół siebie, nasłuchiwał. Gdy zbliżył się do McIvera, wyciągnął rewolwer. Potem zatrzymał się i wpatrując się w ulicę za sobą, powiedział do siebie:

— Jaskinia, kula albo Indianin dopadną go prędzej czy później. Co za różnica, jak zginie?.

Gdzieś w głębi jego mózgu pojawił się protest i ostrzeżenie, lecz do tej chwili fala desperacji pchnęła go już za daleko i wznowił swoje podchody.

Słyszał, jak buty McIvera zgrzytają po żwirze wzdłuż potoku i dostrzegł cień McIvera zapadający w ciemności; po chwili usłyszał, jak McIver wydaje ssące odgłosy, kiedy górnik położył się na brzuchu i zaczął pić wodę z potoku. Camrose szybko wsunął rewolwer z powrotem za pasek spodni i z kocią szybkością przemierzył pas żwiru. Gdy dobiegł do McIvera, spowodował jakiś leki odgłos. Skoczył na McIvera, wbijając mu kolana w

plecy, gdy ten próbował się obrócić i podnieść z wody; rozpłaszczył się na gwałtownie szarpiącym się ciele McIvera, położył przedramię na karku mężczyzny i wepchnął mu głowę w wodę, przyciskając ją do żwiru dna. Walczył z potężnymi skurczami mięśni McIvera i czuł, jak stają się one coraz słabsze; słyszał dziwne, pieniste bulgotanie wody wydobywającej się z ust McIvera - dźwięk tak makabryczny i nienaturalny, że zrobiło mu się niedobrze i osłabł. Nie trwało to jednak długo. Leżąc na McIverze, czuł, jak w górniku gaśnie wszelki ruch i życie, a gdy zdał sobie sprawę, że w końcu zabił człowieka, podniósł się i rzucił z powrotem w ciemność, uderzając w drzewo w ślepym przerażeniu. To go zatrzymało i przez chwilę stał bez ruchu, podczas gdy ogarniała go wielka fala przerażenia. Chwilę później zakradł się na tyły biura, wszedł do swojej kawalerskiej kwatery i tam w całkowitej ciemności położył się na łóżku i przeanalizował swoje działania - sprawdzając je pod kątem ewentualnych błędów i możliwości wykrycia.

Znowu poczuł chłód w żołądku i teraz zdał sobie sprawę, że uczucie to już na zawsze tam pozostanie.

Rozdział IX
Ziarno wątpliwości

John Trent i Burl McGiven opuścili Jacksonville wczesnym rankiem wraz z trzydziestoma mułami Stuarta, zmierzającymi do Crescent City. Stuart nie zamierzał wyjeżdżać miasta tego dnia, lecz dźwięk dzwonka klaczy prowadzącej, zabrzmiał w jego duszy jak uderzenie niepokoju, przebijającego się przez ciszę i spokój świtu, przypominające mu o jasnym słońcu nad ziemią, chłodnych ostępach lasu i ruchu konia pod siodłem. Do południa pokusa zrobiła się zbyt wielka; natychmiast udał się do stajni po konia, a przed szóstą dotarł do Dance’ów i dołączył do nich przy stole.

— Dokąd? — zapytał Dance.

— Po prostu, jeżdżę.

— Jesteś bardzo ruchliwym człowiekiem — stwierdziła pani Dance.

Dance pogłaskał swą rudawą brodę i pokazał wiśniowe usta, śmiejąc się.

— Pies, który dużo biega, zawsze chwyta najlepsze króliki.

Pani Dance spokojnie rozważyła tę uwagę.

— To prawda. Mężczyźni, którzy siedzą w domu, są w większości gnuśni. Są jednak psy, które zawsze będą chude i głodne z powodu zbyt długiego biegania.

Dance mrugnął do Stuarta.

— To strzał w twoją stronę.

Słońce zniknęło znad spokojnej i pachnącej okolicy; a cała ziemia zdawała się zatrzymać na krótką chwilę, zanim masywnie potoczyła się w otchłań nocy. W oddali gończe psy Dance'a odnalazły jakiś trop, a ich głosy dobiegały z powrotem w dźwięczących, melodyjnych echach. Caroline, słodko otoczona ciszą, wstała i zapaliła lampy w pokoju. Obeszła stół, napełniła filiżankę kawy Stuarta i stanęła blisko niego, jej biodro dotykało jego ramienia, gdy spoglądała w dół na czarną i gęstą czuprynę jego włosów; jej oczy robiły się coraz bardziej czarne. Bystre oczy Dance'a przenikliwie przyglądały się tej scenie.

— Posiadanie — stwierdził i wybuchnął śmiechem.

Chłopcy wstali i odeszli, chudzi i niespokojni, wkrótce zniknęli z pola widzenia. Dance podszedł do drzwi i patrzył, jak znikają w lesie. Zawołał do nich:

— Zajrzyjcie do Goose Canyon, zanim wrócicie.

Caroline i pani Dance siedziały przy naczyniach, ale wkrótce pani Dance posłała w stronę córki skinięcie głową.

— Myślisz, że Logan przyjechał tu, żeby oglądać, jak pracujesz?

Caroline zdjęła fartuch i podeszła do Logana; dotknęła jego ramienia, pociągnęła go i wyszła z nim z domu. Nagle dookoła zapadł zmrok. Wiał lekki wiatr, a w cieniu unosił się zapach kurzu, zarośli i suchego siana. Spacerowali razem ścieżką.

— Logan — mruknęła — z kim się biłeś?

— Z Braggiem.

— To paskudny łobuz. Nienawidzę jego widoku. Wolałabym raczej zaufać Rogue. — Pozostawiła ten temat, ale tej nocy była bardziej niż zwykle rozmowna i odezwała się ponownie. — Logan, gdzie będziemy mieszkać?

— Nie lubisz Jacksonville, prawda?

Odpowiedziała mu poważnie.

— Będę mieszkać tam, gdzie ty zechcesz. Jeśli ma to być Jacksonville, będę szczęśliwa. Czy zawsze będzie to Jacksonville?

— Moja firma zawsze musi być tam, gdzie jest handel. Nie wiem, gdzie to będzie za dziesięć lat.

Zdał sobie sprawę, że miała nadzieję na lepsze wieści. Nie lubiła zmian i niepewności.

— To będzie Jacksonville tak długo, jak to będzie możliwe — dodał, ale zdawał sobie sprawę, że to kiepska oferta. — Nie podoba ci się, że tak często wyjeżdżam. Byłoby lepiej dla ciebie, gdybym zajął się farmerką.

— Nie jesteś typem farmera. Lubisz sięgać daleko. Jesteś szczęśliwy, kiedy się ruszasz. — Kontynuowała, powoli rozstając się z niektórymi ze swoich najdłużej utrzymywanych poglądów. Wiedział, że to dla niej ogromna walka, a kiedy powiedziała: — Będę szczęśliwa, Logan — zatrzymał się i pocałował ją.

Przysunęła się bliżej do niego i chwyciła go za ręce, a on poczuł impulsywny ogień jej emocji. Potem odsunęła się i zobaczył, że się uśmiecha.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała.

— Tylko — spytał — kiedy to będzie?

— Jeśli o mnie chodzi, nie ma na co czekać — powiedziała mu. — Założę suknię ślubną mojej matki. Jeśli przeprowadzimy się do twojego sklepu, nie będziemy musieli budować chaty. Nie ma niczego, co mogłoby nas opóźnić.

— Tylko jedna rzecz. Muszę pojechać do San Francisco, pożyczyć pieniądze.

Ta informacja ją zaskoczyła.

— Są jakieś kłopoty?

— Żadnych. Radzę sobie bardzo dobrze.

— Na co więc potrzebujesz pożyczki?

— To coś takiego, jakby mały chłopiec wyrastał ze swoich spodni. Firma idzie tak szybko naprzód, że zawsze brakuje mi gotówki na muły i zaopatrzenie.

Oznajmiła z powagą:

— Rozumiem — i westchnęła - ale nie do końca to zrozumiała. — Kiedy wyjeżdżasz i kiedy wrócisz?

— Wyjeżdżam pojutrze. Powinienem wrócić za dwa tygodnie.

Byli ćwierć mili od domu, gdy z pobliskich zarośli wychynął cień i dobiegł ich głos jednego z chłopców.

— Nie chodźcie tędy. Dziś wieczorem kręcą się tu Rogue.

Stuart zawrócił Caroline i ruszyli, teraz w milczeniu, w stronę domku, który rozjaśniało światło z okien. Wiatr delikatnie szeleścił liśćmi w zaroślach, a zapach ziemi, unoszący się wraz z rozpraszającym się ciepłem gleby, wirował w smugach w ciemności.

Gdy wrócili, główne pomieszczenie chaty było puste. Siadając na krześle, Stuart usłyszał szmer głosów starszych Dance'ów, za zasłoną w dodatkowym pokoju. Wyciągnął nogi i rozłożył się na krześle, obserwując ogień w piecu migoczący przez żelazne szczeliny.

— Rogue często kręcili się tu tego lata?

Wzięła koszyk z rzeczami do cerowania i siedziała teraz na wpół zajęta swoją pracą.

— To się zdarzyło po raz pierwszy, od maja.

Obserwował zręczne ruchy jej sprawnych i giętkich dłoni; była podobna do swojej matki - nigdy nie była w pełni zadowolona, chyba że pracowicie wypełniła każdą chwilę dnia, zasnęła kontenta z dobrze wykonanych zadań i wstawała odświeżona, aby rozpocząć nowy dzień.

Zapalił fajkę, założył ręce za głowę i zamknął oczy. Szum czajnika i łagodne ciepło pieca sprawiły, że zasnął, a zapachy w pokoju - starożytne domowe zapachy pogranicznej chaty - były takie uspokajające. W tej chacie człowiek mógł stworzyć sobie dom na całe życie i nigdy nie zaznać nieszczęścia; a na tej łące i okolicznych wzgórzach mógł znaleźć życie i to życie równie bogate, jak każde inne, jakie mogłoby przynieść krążenie po świecie na zewnątrz. Spać w tym ciepłym i dobrze zadbanym schronieniu, za dnia przemierzać lasy z ogarami gnającymi z przodu, stać w drzwiach i obserwować chudych i niespokojnych wędrowców, którzy wyruszają na nieustanne poszukiwania; zestarzeć się bez trosk i pewnej nocy odpłynąć w przestrzeń i ciszę za gwiazdami - czyż nie byłoby to wystarczające dla każdego człowieka?

Otworzył oczy i zobaczył, że Caroline przygląda mu się z twarzą rozgrzaną przez ten bliski sercu i przyjemny świat, który budowała dla nich obojga. Zgasił fajkę i wstał.

— Gdyby ludzie się nie zmieniali — oznajmiła tęsknym tonem, — gdyby byli zadowoleni z tego, co mają, gdyby tylko widzieli, jak dobry jest każdy dzień i nigdy nie pragnęli kolejnego...

Odłożyła kosz z robótkami na stół i podeszła do rogu chaty, łapiąc parę kołder. Przyniosła je z powrotem, a kiedy je wziął, zobaczył głód kryjący się za jej powagą. Podniósł koce, zarzucił je na jej głowę i przyciągnął do siebie; usłyszał jej śmiech, gdy ją pocałował, a potem wyszeptała coś, co nie do końca zrozumiał. Odsunął się. Zapytał:

— Co mówiłaś?

Popatrzyła na niego, uśmiechając się, nagle zawstydzona.

— Do stodoły dla ciebie. Mulica dotrzyma ci towarzystwa.

Zrobiła w jego stronę minę, zamknęła drzwi i przez chwilę stała przed piecem, a jej twarz stężała i zniknęło z niej całe szczęście.

Wczesnym rankiem wyruszył z powrotem w kierunku Jacksonville. Dotarł do Rogue i przez kilka mil podążał za jej srebrnymi błyskami; w taki sposób, przemierzając piękny świat, czuł pełne zadowolenie z życia. *„Małe rzeczy mogą zadowolić człowieka”*, pomyślał. "*Wielkie ambicje tylko mu mieszają w głowie*”. Drobiazgi, takie jak widok rzeki płynącej płytkim nurtem po żwirowym dnie, jak unoszenie się i opadanie konia pod nim. Przez chwilę myślał o Caroline, zastanawiając się nad nią i doceniając ją; a potem całkiem nagle w jego myśli wdarła się Lucy - jak to często bywało - i nie był już aż tak bardzo zadowolony z tego dnia. *„Powinienem pozbyć się wszelkich nadziei z nią związanych”*. Byłoby lepiej, gdyby w końcu wyszła za Camrose'a. Wtedy znajdzie się już całkowicie poza jego zasięgiem, a on nie będzie zmagał się z tymi złudnymi, drobnymi nadziejami, co do niej. Pomyślał też o George'u Camrose'ie i uznał, że ten temat nie jest dla niego zbyt przyjemny, i w ten sposób wałkując leniwie w głowie to jedną, to drugą myśl, dotarł do terenu porośniętego wierzbami i wjechał między nie. Kępa drzew i zarośli miała może ze sto stóp długości i w połowie drogi przez nią niespodziewanie natknął się na czterech młodych Rogue stojących w milczeniu na ścieżce. Usłyszeli go z daleka i czekali na niego w tym osłoniętym miejscu.

Mieli na sobie mokasyny i spodnie białych ludzi, a od bioder w górę byli nadzy, z czarnymi włosami na głowach. Widać było w nich pewną fizyczną symetrię, lecz w mniejszym stopniu niż u niektórych innych plemion. W kościstych i szorstkich konturach ich twarzy kryła się jakaś historia mieszaniny rasowej lub ubóstwa rasowego; nie mieli w sobie czystej godności Siuksów ani przystojnej otwartości Wron. Podobnie jak Klamathowie na wschód od gór i jak plemiona wzdłuż wybrzeża, ci Rogue byli niegodni zaufania i fałszywi. Jedna rzecz pozostawała w ich charakterze niezmienna: mściwość wobec wrogów, zarówno białych, jak i czerwonych; teraz żyli w pokoju zgodnie z traktatem, lecz traktat nic dla nich nie znaczył. Poderwą się do walki ponownie, kiedy tylko dostrzegą szansę na sukces. Ich natura była przykładem dzikiej niestałości. Wszyscy czterej mieli broń i spoglądali na niego z na wpół skrywaną pogardą. Ponieważ często podróżował przez ich kraj, zdawał sobie sprawę, że go rozpoznali, ale nie dali mu żadnego znaku co do tego. Zatrzymał konia.

— Witajcie — powiedział.

Wpatrywali się w niego tylko przez chwilę; i nagle popatrzyli po sobie, jakby wymieniając jakiś sygnał. Potem wszyscy obrzucili go surowym i bezczelnym spojrzeniem, weszli głębiej w zarośla i wkrótce zniknęli. Przysłuchiwał się ich odjazdowi, po czym popędził konia i wyjechał na łąkę nad rzeką; wkrótce dotarł do Evan's Ferry i przeprawił się na drugą stronę.

— W tym wierzbowym zagajniku jest czterech wojowników — poinformował przewoźnika. — Wyglądają na niespokojnych.

— Był tu szef bandy Siskiyou, by ich odwiedzić i gadać o kłopotach.

— No cóż, nadeszła jesień. To jesień i wiosna są porami, kiedy myślą o kłopotach.

Dotarł do Jacksonville krótko po południu i z Clenchfield usłyszał, że Mack McIver został znaleziony martwy w strumieniu.

— Najwyraźniej był pijany, wpadł i utonął w wodzie o głębokości sześciu cali.

— Henry — poinformował go Stuart, — jutro wyjeżdżam do San Francisco. Powinienem wrócić za piętnaście dni.

— Logan, chłopcze, czy wiesz, że kręcisz się jak wiewiórka w klatce?

Stuart zatrzymał się. Uśmiechnął się do Clenchfielda.

— To prawda. Ale czy ja nie kręcę się zawsze?

— Ty jesteś gorszy. Nie potrafisz usiedzieć w miejscu. — Starszy człowiek, rzadko przekraczający wyznaczone samemu sobie granice, teraz to zrobił. — Trucizna może być płynem, proszkiem, gazem - albo czymś w głowie człowieka. Cokolwiek by to nie było, lepiej wyrzuć to z siebie.

Stuart popatrzył na swojego urzędnika. Siedział przed nim Clenchfield, stary i suchy, zadowolony ze snu, jedzenia i z tego, że spędzał cały czas kiedy nie spał, przy biurku. Czy zawsze taki był, czy jako młody człowiek też krył w sobie gorączkowe pragnienia młodego człowieka? Czy powietrze kiedyś pachniało dla niego szalonymi zapachami, czy twarz kobiety przywoływała mu na myśl tony muzyki i wizje piękna? Czy kiedykolwiek czuł okrutną szybkość upływu czasu lub patrzył w gwiazdy i czuł zachwyt? Czy niektórzy ludzie nigdy nie czuli ostrego uderzenia pragnienia; czy też wszyscy ludzie, byli pełni pragnień, lecz powoli kurczyli się pod wpływem wieku i rozczarowań, aż wreszcie trzymali się tylko swych drobnych wygód i zbłąkanych okruchów bezpieczeństwa? Czy w Henrym Clenchfieldzie były wspomnienia, które nawet teraz, kiedy je sobie przypominał, płonęły w nim; czy też wspomnienia starych ludzi były szare i pozbawione ciepła, żądze i piękno życia były czymś tak ulotnym, że można je było je na krótko odczuwać, a potem zapomnieć? Clenchfield powiedział:

— Nie dręcz się. Nie łudź się nadziejami na rzeczy, których nigdy nie osiągniesz.

— Czy kiedykolwiek miałeś wrażenie, że coś znajduje się tuż poza zasięgiem twoich palców, że możesz to pochwycić, wyciągając rękę?

— To nigdy nie znajduje się tuż poza zasięgiem twoich palców. Czy wiesz, gdzie to jest? Jest tutaj… — i Clenchfield wyciągnął rękę i dotknął głowy. — Człowiek to bardzo dziwne stworzenie, tworzy obrazy we własnym umyśle, a następnie pędzi przez ten świat, aby odnaleźć ten obraz gdzieś w rzeczywistości. Lepiej pij swoje małe piwo, bo nie ma tak mocnego piwa, jak myślisz.

Stuart nagle się uśmiechnął.

— Przez chwilę mnie zaniepokoiłeś. Nie, mój przyjacielu, ty zapomniałeś.

Clenchfield odparł:

— Czy jest coś więcej, niż jestem w stanie zobaczyć? Do diabła z tobą, Logan, zostaw starego człowieka w spokoju.

— Panowie, czy słyszę przekleństwa, czy mogę wejść?

Przez drzwi weszła Lucy Overmire, jej ginghamowa suknia szeleściła, gdy szła. Spojrzała na twarz Stuarta.

— Rozcięcia były dość głębokie. Obawiam się, że zostaną ci blizny. Mam nadzieję, że nie wtrąciłam się do jakiejś waszej kłótni?

— Nie — odparł Stuart. — Po prostu przypominałem Clenchfieldowi, że o czymś zapomniał.

— Nigdy nie byłem człowiekiem, który by chodził z głową w chmurach — odparł Clenchfield. — To więcej, niż mogę powiedzieć o tobie.

Clenchfield skierował swe spojrzenie na dziewczynę.

— Za dużo jeździ konno i za dużo myśli. Teraz, jutro rano, jedzie do San Francisco.

— Miałam zamiar zaprosić cię na kolację jutro wieczorem — powiedziała Lucy. — To twoje urodziny.

— Masz dobrą pamięć.

— Moja pamięć pełna jest przyjemnych rzeczy, o których z trudem mogłabym zapomnieć - i nieprzyjemnych wspomnień, o których chciałabym zapomnieć.

— Jedno równoważy drugie.

— Jedno prowadzi do drugiego.

Clenchfield, opierając dłonie na wysokim biurku, zauważył, że o nim zapomnieli. Dostrzegł, jak delikatni byli w stosunku do siebie, jak łagodnie brzmiały ich słowa, jak poważni się stali. Ona była przystojną kobietą, niezwykle uderzającą kobietą.

— Jestem taka jak ty, Logan — stwierdziła. — Zawsze chcę zobaczyć, co jest za następnym wzgórzem. Nie wpadnij w kłopoty z tamtejszymi wigilantami.

— Przywiozę ci parę jadeitowych kolczyków na prezent ślubny.

W tym momencie rozmowa ucichła, a Lucy, po chwili milczenia, odwróciła się i wyszła ze sklepu.

Stuart przez chwilę obserwował drzwi, a potem wyszedł do pokoju ma tyłach. Clenchfield pomyślał: *„To było dziwne”* i siedział, rozmyślając nad tym. Poczuł ukłucie - jakiś błądzący ślad czegoś z dalekiej przeszłości, półciepły żal i blady sentymentalizm.

Niewielki tłum zebrał się, by pochować McIvera, a później większość z nich ruszyła w stronę miejskich knajp. Czterech ludzi pozostało: Johnny Steele, Joe Harms, Dick Horeen oraz mężczyzna o imieniu Lester. To Johnny Steele poruszył temat pieniędzy.

— Słyszałem, jak Mack mówił, że ma trzy lub cztery tysiące w złotym piachu.

Horeen uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Wszyscy górnicy piekielnie lubią kłamać. Ale pójdźmy zapytać Camrose'a, czy Mack ma coś w sejfie.

— Nie — powiedział Joe Harms. — Nie pytajmy Camrose'a, czy Mack ma coś w sejfie. Zapytaj go, ile Mack ma w sejfie.

— A jaka to różnica? — chciał wiedzieć Horeen. Lecz Steele wpatrywał się w Joe Harmsa, domyślając się, co podejrzewał ten mały człowiek. Wszyscy czterej skierowali się do biura Camrose’a i razem weszli do środka.

Camrose stał na końcu pomieszczenia. W chwili, gdy ich zobaczył, na jego twarzy zaszła zmiana - początek jakiejś ostrej reakcji na ich

pojawienie się u niego, którą natychmiast wytłumił. Harms i Steele dostrzegli tę chwilę wstrząsu, z podejrzliwością sprawiającą, że oczy zabłysły im z ciekawości.

— George — rozpoczął Dick Horeen, — zaczęliśmy rozmawiać o biednym starym Macku. Ile zostawił w twoim sejfie?

Spojrzenie Camrose'a biegało od mężczyzny do mężczyzny. Podszedł do lady, zaciągnął się głęboko cygarem i wypuścił dym, tworząc w ten sposób mgiełkę wokół twarzy. Wyraźnie ochłódł nieco po pierwszym wstrząsie.

— Nie zostawił nic, chłopcy.

Horeen zwrócił się do swoich przyjaciół.

— No i macie. Mack po prostu robił z siebie grubą rybę.

Lecz Lester upierał się:

— Byłem z nim wczoraj wieczorem. Mówił, że zostawił tu swój woreczek.

— Tak — potwierdził to Camrose. — Ale go odebrał.

— Kiedy? — spytał Harms.

Camrose wyjął cygaro z ust i powiódł spojrzeniem gdzieś poza grupę zebranych ludzi, najwyraźniej w głębokim namyśle.

— Wczoraj o dziesiątej wieczorem. — Następnie, kierując swój wzrok na Harmsa, szybko się poprawił. — Nie, o dziesiątej mnie tu nie było. Musiała być jedenasta.

Harms spytał:

— Ile miał?

— Myślę, że około dwudziestu pięciu uncji.

— Na Boga — stwierdził Horeen, — Mack nie kłamał.

Przez dłuższy czas grupa stała w milczeniu, każdy z ludzi rozbierał tę historię na kawałki i składał ją ponownie. Harms i Steele mieli szybsze i lepsze umysły niż Horeen i Lester; ale jeśli doszli do wniosków wcześniej niż pozostali dwaj, nie dali tego po sobie poznać. Horeen odezwał się jako pierwszy. Przekazana informacja otrzeźwiła go.

— No cóż, Mack zabrał złoty pył, poszedł nad strumień i upadł. Kiedy go znaleźliśmy, nie było przy nim żadnych pieniędzy. To cholernie różni się wersji od wypadku, chłopcy.

Harms skupił swoje srocze spojrzenie na Camrose'ie.

— George, dlaczego nic o tym nie powiedziałeś, lecz pozwoliłeś obozowi myśleć, że to był tylko wypadek pijanego poszukiwacza, który nie miał ani grosza w kieszeni i wpadł do strumienia?

Camrose okazał Harmsowi poirytowaną minę.

— Nie prześlizguję się w cieniach, obserwując ludzi. Dlatego nie wiem, jak zginął.

— Wiedziałeś, że miał złoto.

— Niekoniecznie. Mógł je wydać lub dać komuś innemu.

— I tak dziwne, że o tym nie wspomniałeś — nalegał z uporem Harms.

— Może dziwne dla ciebie — burknął Camrose. — Ale trzymam nos z dala od spraw innych ludzi. To, co stało się z McIverem lub jego złotem, nie jest moją sprawą.

— A jednak, wydaje się to dziwne — powtórzył Harms, nie mogąc tego tak zostawić.

Camrose był teraz już wyraźnie w złym humorze.

— Chyba będę musiał to lepiej wyjaśnić, Joe. Nie jestem takim człowiekiem jak ty. Nie kręcę się po nocy, podglądając ludzi przez okna. Jesteś cholernym podglądaczem.

Harms zarumienił się, ale nic nie odpowiedział. Wtrącił się w to Horeen:

— Nie ma sensu, by kogoś obrażać — i wyprowadził grupę z biura.

Camrose przeszedł do pokoju na tyłach, obserwując przez okno, jak cała czwórka zmierza w stronę knajpy Stutchella, zatrzymuje się przy drzwiach do spelunki i wdaje się w poważną rozmowę. Potem Joe Harms zostawił swych towarzyszy i przeszedł z powrotem przez ulicę, znikając z oczu Camrose'a. Camrose pomyślał, że wraca na swoje miejsce, na posterunku przed stajnią Howisona. Wkrótce po tym, Horeen i Lester weszli do knajpy, podczas gdy Johnny Steele odwrócił się, by dołączyć do Joego Harmsa.

Camrose rzucił na podłogę niedopalone cygaro i stanął na nim; gdy przeniósł ciężar na wysuniętą nogę, poczuł, że kolano mu się trzęsie. W jego umyśle kłębiło się zdanie, niekończące się i pełne goryczy: *„Gdybym tylko mógł wrócić do czasu, zanim to wszystko się wydarzyło! Gdyby*m...”

Joe Harms odchylił ławkę do tyłu, opierając się plecami o ścianę stodoły Howisona, jego krótkie nogi nie sięgały do ziemi, a spiczasta i nieufna twarz była częściowo przesłonięta była przez zsunięty do przodu kapelusz. Johnny Steele przykucnął na ulicy i powoli rozgarniał suchy kurz między palcami.

— Co o tym myślisz, Joe?

— To nie mogło być o jedenastej. Wtedy w jego biurze nie było światła. Przeszedł ulicą około dziesiątej. Siedziałem tutaj. Wszedł do swojego biura. Był tam piętnaście minut. Nie było z nim nikogo. Wyszedł, jak zwykle do Lestrade'a. Wrócił i poszedł dalej ulicą. To wtedy McIver wyszedł z knajpy Hobarta.

— Gdzie w tym czasie był Camrose?

Joe Harms uniósł głowę, tak że Johnny Steele wyraźnie zobaczył wyraz zmartwienia na twarzy mężczyzny.

— To jest wiadomość, za którą dałbym się zastrzelić. Nie wiem. Straciłem go z oczu, kiedy obserwowałem McIvera. Masz jakieś podejrzenia co do niego, Johnny?

— Tak — odparł Steele niechętnie. — Wydawało mi się, że kiedy ja przyszedłem do niego po złoty pył, jego zachowanie dziwnie wyglądało. Coś wydawało się odrobinę nie w porządku.

— I tak było — stwierdził Joe Harms.

Steele spytał: „Co było?” i zawiesił spojrzenie na ostrych, jak u lisa, rysach twarzy Harmsa. Ale nie otrzymał odpowiedzi od małego człowieczka, który nie chciał się przyznać do tego, że spędzał czas, kucając przy dziurze w ścianie biura.

Steele kontynuował rozmyślanie, stałe przesiewając palcami piach. Był sprawiedliwym człowiekiem, nieskłonnym do szybkich wniosków; był też człowiekiem o twardym umyśle i przekonaniach. Dlatego przegryzł się przez całą tę sprawę od początku do końca i doszedł do czegoś nowego.

— Kiedy przeglądaliśmy kieszenie Macka — zauważył, — sądziliśmy, że to był tylko wypadek. Więc nie szukaliśmy zbyt intensywnie. Mogliśmy coś przeoczyć. Myślę, że lepiej będzie, jeśli poszukamy jeszcze raz.

Wstał i zatupał nogami.

— Spotkajmy się dziś wieczorem. Przyniosę ze sobą parę łopat. Lepiej, żebyśmy byli tam tylko we dwu. To trochę brudny interes i nie chciałbym, żeby mnie przypięto tę łatkę, jeśli nic nie znajdziemy.

— Wiesz, że Camrose przegrywa dużo pieniędzy w pokera?

— Tak — powiedział Steele, — wiem o tym wszystkim. Ale nie zacznę podzielać twojego zdania, dopóki nie będę miał więcej informacji. Dziś wieczorem.

Steele odszedł, podczas gdy Harms wyprostował ławkę i przyjął charakterystyczną postawę, z rękoma na kolanach, na wpół zgiętym ciałem, z jedną nogą kołyszącą się w stałym ruchu na drugiej. Tak ściśnięty, mały człowieczek spoglądał na miasto spod ronda kapelusza, jego oczy biegały wokoło, pełne chytrości, pełne sceptycznej mądrości, pełne ciekawości fretki. Zobaczył Overmire'a nadchodzącego ulicą, a jego chytre usta zmieniły kształt. Overmire był wykształconym człowiekiem oraz prawnikiem o pewnym znaczeniu na Terytorium, i pochlebiało próżności Harmsa, że mógłby wyrządzić krzywdę takiemu człowiekowi.

— Overmire — mruknął, — Lucy zaręczyła się z Camrosem, prawda?

— Zgadza się — potwierdził Overmire i czekał, aż mały człowieczek przejdzie do sedna sprawy. Znał Harmsa bardzo dobrze; bo jeśli Harmsowi spodobałoby się sprowadzenie wartości Overmire'a do wspólnego mianownika z najmniej zajętym obywatelem Jacksonville, to Overmire'owi również podobało się badanie dziwacznych impulsów i natręctw, które uczyniły Joe Harmsa tym, kim był.

— No cóż — oznajmił Harms, — on przegrał wczoraj wieczorem dwa lub trzy tysiące dolarów w pokera. Thackeray ma jego weksel na tysiąc z tej kwoty.

Mały człowieczek, oczywiście, chciał nim potrząsnąć, a także ostrzec go; a to była przyjemność, której Overmire nie zamierzał mu dać.

— Joe — powiedział spokojnie, — często zastanawiałem się, jak jeden mały człowiek może dać radę wchłonąć w siebie tyle plotek. Ale przecież ty ciężko pracujesz w tym biznesie. To prawdziwy triumf wytrwałości.

Zaśmiał się na widok lekkiej urazy na twarzy Joe Harmsa i odszedł; ale kiedy tylko się odwrócił plecami do swojego rozmówcy, przestał się uśmiechać. Inne tego rodzaju luźne wiadomości i plotki na temat Camrose’a, często do niego docierały, tworząc jego obraz jako człowieka, który miał słabość do przyjemnych grzeszków życia. Jak dotąd nie było w tym niczego, co Overmire, sam będąc synem tego świata, mógłby szczerze przekazać swojej córce. Lecz ta informacja była poważna i wymagała zastanowienia. Przechodząc obok sklepu Stuarta, skręcił do niego i poszedł na tył, gdzie zastał samego Stuarta.

Overmire usadowił się na skraju pryczy Stuarta i obserwował tego człowieka, którego bardzo podziwiał. Sam będąc osobą o znacznej sile i determinacji, rozpoznał w Stuarcie te same cechy. W milczeniu często zastanawiał się nad wyborem córki i często przyglądał się bliskości, jaka wydawała się istnieć między Lucy oraz Loganem. Jednakże bliskość ta zdawała się nigdy nie przekraczać pewnego punktu, co go zastanawiało; bo przecież jego córka była pożądaną kobietą w oczach każdego samotnego mężczyzny, a Logan Stuart, choć nie był przystojny, miał w sobie wystarczająco dużo energii i rycerskości, aby ekscytować każdą przeciętną kobietę. W takiej sytuacji powinny zadziałać pewne siły przyciągające i przymusy, a Overmire obserwował to wszystko realistycznym okiem i z sentymentem ojca, który życzy córce dobrego zamążpójścia. Dlaczego tak się nie stało?

— Powinieneś zostać wędrownym handlarzem — zauważył Overmire. — Sprzedawać lekarstwa z wozu, podróżując wzdłuż i wszerz po całym kraju. Masz za dużo energii, żeby usiedzieć na miejscu.

— Jadę do San Francisco, żeby otworzyć sobie linię kredytową.

— Rozsądne posunięcie. Brak kapitału dusi cały rozwój w tym kraju. — Wyjął cygaro z kieszeni na piersi, przyciął je, zapalił i umieścił między szerokimi wargami. Wtedy zbliżył się do sedna kwestii, którą miał na myśli. — Czy uważasz, że to szczególnie dobra rzecz grać w karty u Lestrade'a?

— Ja już tam nie gram. Howison i Balance też nie.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że to aż tak pewna rzecz.

— Lestrade nie jest kaleką, za jakiego się podaje. — Wtedy Stuart rzucił Overmire'owi bezpośrednie spojrzenie. — Myślisz o Camrosie. Powiedziałem mu, żeby trzymał się z dala od tego miejsca.

— Przyszło mi do głowy — powiedział Overmire, — że zwykle jesteś pierwszą osobą, która wyczuwa zmiany temperatur. — Następnie dodał bardzo z pozoru swobodne zdanie. — Jesteś lojalny wobec swoich przyjaciół, a przypuszczam, że George Camrose jest twoim najbliższym przyjacielem.

Stuart ostrożnie dobierał słowa.

— Życie w obozie jest dla George'a nudne, a nuda sprawia, że robi się niespokojny. Nie wiem, czy byłby szczęśliwszy gdzie indziej. Są w nim zakamarki, których nie zgłębiam. Podejrzewam, że musi dostać solidnie po tyłku, żeby wydobyło z niego to, co najlepsze. To nie jest taki człowiek jak ja, Jonas. Może dlatego go lubię. To dobrze móc się śmiać, widzieć głupią stronę życia.

Overmire wstał.

— Lepiej doradź mu, żeby rzucił pokera.

— Mam jego obietnicę w tej sprawie.

— Kiedy ci ją dał?

— Przedwczoraj po południu.

Overmire nie miał zamiaru mówić więcej, ale ta informacja go zdenerwowała; nagle rzuciła ona inne światło na George'a Camrose'a.

— Tej samej nocy — oznajmił powoli, — przegrał dwa lub trzy tysiące dolarów.

Podczas tej rozmowy myślał, że prywatna wiedza Stuarta na temat Camrose była większa, niż był to skłonny ujawniać. Teraz, obserwując zmianę wyrazu twarzy Stuarta, był już tego pewien. Wysoki mężczyzna, przed nim, okazywał raczej gniew niż zdziwienie.

— Podpisał weksel na tysiąc — dodał Overmire. — Więc stracił tysiąc lub dwa w gotówce. Skąd wziął te pieniądze?

— Nie wyszły z firmowego sejfu. Były jego własnością.

Overmire rzucił suchą odpowiedź.

— Nie wiedziałem, że posiada aż taką kwotę. Skąd możesz to wiedzieć? — Następnie powiedział bardzo otwarcie: — Dlaczego go chronisz?

— On jest w porządku. Ma tylko zbyt dużo energii, jak na ten obóz.

— No cóż, na Boga — stwierdził Overmire — jeśli będzie grał w pokera za każdym razem, kiedy się znudzi, przez następne czterdzieści lat, to nigdy nie odejdzie od stołu. Przyjdź na kolację dziś wieczorem.

O szóstej Camrose zamknął za sobą drzwi biura i na chwilę przystanął, by rozejrzeć się po ulicy, którą przemierzał przez ostatnie dwa lata; zobaczył górników zmierzających w kierunku miejscowych spelunek, dymy z kominów unoszące się w górę, samotnych jeźdźców zjeżdżających z krótkiego wzgórza ze szlaku do Applegate, te same psy rozciągnięte w kurzu, tych samych ludzi stojących w drzwiach swoich sklepów. Wszystko to widział już wiele razy, lecz dziś nie był już pewien miasta ani ludzi. Dlatego przeszedł przez ulicę, przeszedł wzdłuż muru magazynu McKebbina i okrężną drogą dotarł do Overmire'ów.

Kolacja była na stole, a w pokoju siedział Logan. Camrose złożył rodzinie zwyczajowe wyrazy szacunku i uśmiechnął się do Logana swoim zwykłym uśmiechem. Wtedy dotknęło go muśnięcie strachu, gdy pomyślał, że w oczach Stuarta widzi cień dezaprobaty. Powiedział sobie: „To jest tylko w mojej głowie. Świat jest dokładnie taki sam jak przedtem, ale ja widzę go inaczej". Usiadł przy stole razem z resztą towarzystwa, skinął głową w odpowiedzi na krótkie łaskawe spojrzenie Overmire'a i wziął udział w luźnej rozmowie, która zajęła obecnych przy stole. Zmusił się do zjedzenia obfitego posiłku i starał się być nieco bardziej wesoły niż zwykle. Od czasu do czasu stwierdzał, że oczy Lucy zdradzają lekkie zamyślenie; nawet za jej uśmiechem kryło się pytanie. To również, pomyślał, była jego wyobraźnia. Kiedy człowiek zaczynał kontrolować swoje cienie, te fantazje, te zjawy, które niewytłumaczalnie rzucały się na jego mózg? Kiedy pamięć zbudowała mur wokół dźwięku oddechu McIvera dławiącego się w wodzie?

W zapadającym zmierzchu Overmire i Stuart wyszli z domu, by usiąść z cygarami w dłoni. Camrose nie dołączył do nich jak dawniej. Spojrzał na Lucy i mruknął:

— Popatrzmy na góry.

Wziął ją pod ramię i odszedł ścieżką w kierunku południowej strony miasta. Overmire i Stuart rozmawiali na podwórzu. Słuchał, jak ton ich

głosów cichnie, spodziewając się jakichś szybkich szeptów między nimi, Lucy spytała:

— Czy coś cię trapi?

— Nie — odparł. — A co by to miało być?

— Nie wiem, oczywiście.

— Spójrz na zarys gór na tle nieba — powiedział.

— George, czy nie mógłbyś być tutaj szczęśliwy?

— Nie powiedział, — nie mógłbym. Chcę cię poślubić, natychmiast jak tylko pozwolisz. Potem chcę, żebyśmy stąd wyjechali. Jak szybko możemy to zrobić?

Poderwał się lekki i chłodny wiatr, a gwiazdy świeciły bladymi punkcikami na niebie. Lucy wskazała w górę, jej głos był dosyć łagodny.

— Czy kiedykolwiek twoje myśli rozciągały się tak, że wydawało ci się, iż prawie dotykasz szczytu nieba? Wznosisz się tam i unosisz się oparty o coś w rodzaju sufitu. Jest miękki i nierówny, jak aksamitna tkanina nie do końca naciągnięta.

Zatrzymał się i odwrócił się twarzą do niej.

— Niech mnie diabli, jeśli będę błagać. Jestem chory i samotny. Muszę mieć cię w czterech ścianach razem ze sobą, wiedząc, że jesteś moja. Chodzę po tym mieście jak żebrak, nikogo nie mając i nie będąc niczyją własnością. Nie mogę znieść myśli, że straciłaś we mnie wiarę. Nie wiem, co powinienem zrobić. Czy ty myślisz, że ja nie mam żadnych uczuć, żadnych pragnień?

Złapał ją, nie znajdując innych słów, które mogłyby wyrazić jego nagłą desperację. Przyciągnął ją mocno do siebie, bez cienia delikatności ani manier; pocałował ją z tą furią, która na niego spadła, i wiedział, że ją zabolało i nie mógł nic na to poradzić. Kiedy się cofnął, oddychał szybko, i siły opuściły mu kolana.

— George, George — mruknęła — czemu nie zrobiłeś tego wcześniej? Czemu tak strasznie bałeś się ujawnić samego siebie? Tak jest znacznie lepiej.

— Kiedy to nastąpi? — przerwał jej niecierpliwie i natarczywie.

Wzięła go pod ramię i zawróciła go do tyłu. Szła z nim w krok, jej ciepła dłoń spoczywała na jego ramieniu; i znów cisza się przedłużała.

— Nie zdawałam sobie sprawy — powiedziała w końcu — że twoje uczucia są takie gorące. Nigdy ich nie okazywałeś. — Znów zamilkła, idąc dalej ze swoimi myślami, a potem w końcu usłyszał jej głos, jakby z daleka. — Kiedy tylko zechcesz.

— Niedziela byłaby dobrym dniem. Ta niedziela.

— Och, nie. Muszę sobie uszyć suknię.

— Czy małżeństwo to suknia? — spytał. Jej dłoń opadła lekko na jego ramię i miał wrażenie, że ją skrzywdził. W milczeniu poszli do chaty i znaleźli Overmire’a palącego cygaro. Stuart stał w kuchni, wycierając naczynia, podczas gdy pani Overmire je zmywała.

Lucy trzymała rękę na ramieniu George'a i oznajmiła:

— Mamy wieści, ojcze.

Pani Overmire, słysząc to, natychmiast wyszła z kuchni, składając mokre dłonie na fartuchu. Zapytała:

— Kiedy to będzie?

— W niedzielę, raczej niedługo. Może za dwa tygodnie - jeśli do tego czasu uda mi się uszyć suknię.

— Boże, zmiłuj się nad nami — zawołała pani Overmire, — w tym obozie nie ma materiału na suknię, a w Portland też jest niewiele lepiej.

Overmire siedział z rękami na brzuchu, poważnie rozważając wyraz twarzy córki.

Wydawał mu się niewzruszony i zbyt spokojny, zbyt nieruchomy. Na razie w pełni ukrył własne uczucia i powoli kołysał się w przód i w tył. W tej chwili dotarło do niego, że Stuart nic nie powiedział, więc spojrzał w stronę Stuarta, który stał w drzwiach kuchni. Overmire również tam niczego nie zobaczył; wtedy przyszło mu do głowy, że jego córka nie spojrzała na Stuarta, ani nie odezwała się do niego. Nagle Overmire rozwiązał ręce i energicznie położył jedną dłoń na blacie stołu.

— Dawno temu powiedziałem, że kiedy moja dziewczyna wyjdzie za mąż, dopilnuję, żeby wszystko było zrobione jak należy. To musi być najwspanialsze wesele na Terytorium. Sprowadzę gubernatora. Będziemy mieli w obozie prawdziwe święto.

— Wszyscy w obozie będą pijani — stwierdziła Lucy żartobliwie.

— Jedź do San Francisco z Loganem — powiedział Overmire. — Weź to, co najlepsze. Jest tam kilku dobrych francuskich krawców. Dam ci czek bankowy. Kiedy wrócisz, wyślę wóz do Scottsburga, żeby odebrać twoją zdobycz.

Wiedział, że to silna przynęta, zarówno dla Lucy, jak i dla jego żony; były zaskoczone tą ofertą, ale też zaintrygowane nią. Pani Overmire powiedziała powoli:

— No cóż, nie wiem. To długa droga, żeby kupić suknię, ale okropnie jest mieszkać w kraju pełnym mężczyzn, kurzu, koni i saloonów - i w którym nie ma żadnych przyjemnych miejsc, gdzie można coś kupić.

— Jedź z nią — zaproponował Overmire. — Zróbcie sobie z tego wakacje.

— Pamiętasz, jak okropnie się czułam na kliprze z Nowego Jorku? Przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie opuszczę lądu - i nie opuszczę. Ale co do Lucy... Lucy, co o tym myślisz?

Po raz pierwszy w czasie tej sceny, Lucy spojrzała prosto na Stuarta.

— Czy za bardzo by ci to przeszkadzało, gdybym była z tobą?

Oboje byli poważni i oboje czujni, jak zauważył Overmire; byli bardziej jak obcy niż starzy przyjaciele. Od samego początku relacje tych dwojga – którzy na zmianę byli tacy bliscy i roześmiani, tacy szczerzy, tacy wylewni wobec siebie, a teraz tacy sztywni i chłodni - bardzo go zastanawiały. Wszystko, co mógł na pewno o nich powiedzieć, to to, że rzadko oszczędzali siebie nawzajem.

— Jedź ze mną — stwierdził Stuart, bardzo powściągliwie. — Będziemy w San Francisco przez cztery dni. Czy to wystarczająco długo dla ciebie?

— Tak — odparła, wciąż go obserwując. — To wystarczy.

George Camrose stał z boku i czuł swoją izolację. Był widzem, jego rady nie były mile widziane. Przypływ złości nakazywał mu zabrać głos, ale powstrzymał ten impuls, bojąc się, że zdradziłby się jeszcze bardziej. W

jego głowie płonęła jakaś gorączka, a poczucie katastrofy zalewało go falą emocji. Bardzo się bał.

— To wszystko bardzo szybko się dzieje — stwierdziła Lucy. — Powinnam dobrze się nad tym zastanowić.

Stuart podszedł do drzwi.

— Chodź, George. To sprawa rodzinna. — Dotknął ramienia Camrose'a i obaj wyszli z domu.

— No dobrze — powiedziała Lucy do ojca, — chodzi ci o suknię czy coś innego?

— Miesiąc z dala od niego nie zaszkodziłby ci.

— Myślisz, że nie jestem pewna, co do niego?

— Nie zastanawiałam się nad tym. Pewna czy niepewna, będziesz żoną tego mężczyzny przez długi czas. Lepiej wybierz się w podróż do Mekki, póki masz okazję.

— Tak naprawdę, wcale nie myślałeś o sukience — mruknęła i przyglądała mu się dłuższą chwilę, wyraźnie okazując, że chciałaby wiedzieć, co ma na myśli. Następnie odwróciła się i wyszła z chaty. Pani Overmire, idąc do drzwi, widziała, jak jej córka wchodzi w ciemność zamyślona i z głową spuszczoną ku ziemi.

Pani Overmire spytała męża:

— Nie chciałeś, żebym wyruszyła z nią w tę podróż, prawda, Jonasie?

— Nie. Myślisz, że pojedzie?

— Tak — odparła pani Overmire — podjęła decyzję w chwili, gdy o tym wspomniałeś.

— Więc nie sądzę, żeby była głęboko związana z Camrosem. A ty?

Pani Overmire westchnęła.

— Nie rozumiem tego nowego świata. Mówią inaczej i zachowują się inaczej. Ale ona widuje Logana co tydzień, od dwóch lat. Ta podróż niczego nie zmieni. Co tak nagle masz przeciwko George'owi?

Uchylił się przed odpowiedzią.

— Dlaczego to nie był Logan? Nie rozumiem. Czasami widziałem, jak patrzą na siebie w cholernie bliski sposób.

— Być może — zauważyła pani Overmire bardzo delikatnie — nigdy jej nie poprosił.

— Dlaczego nie? — rzucił gniewnie Overmire. — Ona jest wystarczająco dobrą kobietą dla każdego mężczyzny.

— Być może dlatego, że była już zaręczona.

— To nic nie znaczy dla agresywnego mężczyzny, takiego jak Logan. — Potem zamilkł i pokręcił głową. — To prawda — przyznał. — George stoi między nimi. Logan zawsze będzie chronił George'a - zawsze tak robił. — Zaczął się nad tym zastanawiać i potem powiedział: — Ale jeśli Lucy lubi Stuarta, to dlaczego nie zerwie z George'em i nie otworzy wszystkiego na nowo, żeby Stuart miał czyste pole?

— Teraz, już za późno. Logan poślubi Caroline Dance.

Popatrzył na żonę z niedowierzaniem.

— Czy zamierzasz mi powiedzieć, że Lucy wyszłaby za człowieka, którego nie kocha, tylko dlatego, że nie mogła zdobyć Logana? Nie wierzę w to.

Pani Overmire odparła:

— Nie wiem, co ona czuje do Logana. Wiem, że kiedyś była zakochana w George'u. Czy teraz ciągle jest tego pewna, czy nie jest, czy też… — Pokręciła głową i dodała: — Nie wiem, Jonas.

Camrose i Stuart zeszli ze wzgórza w całkowitym milczeniu. W drzwiach sklepu Stuart powiedział:

— Wejdź do mnie na chwilę, George — i przeszedł do pokoju na tyłach.

Camrose poszedł za nim, czekając, aż Stuart zapali lampę, nagle przestraszony tym, czego Logan mógł się wiedzieć. Światło rozbłysło żółtą barwą pod kloszem lampy, a Stuart odwrócił się, pokazując Camrose'owi kamienny wyraz twarzy, który zawsze pojawiał się u niego, gdy stawał w obliczu walki lub jakiejś nieprzyjemnej rzeczy.

— Do diabła z tobą — warknął, z trudem utrzymując swój głos na poziomie konwersacyjnego tonu. — Powinienem ci powyrywać nogi i kazać czołgać się po ulicy na rękach. Może to uczyniłoby z ciebie mężczyznę. Nie wiem. Nie obchodzi mnie to zbytnio.

— Zaraz… zaraz — wycedził w odpowiedzi Camrose. Ostre potraktowanie go pozwoliło mu się pozbierać i rozdrażniło go. — Trzymaj swój język za zębami, Logan. Nie mam zamiaru pozwolić ci na takie słowa.

— Byłeś w tym obozie dojną krową dla każdego gościa z talią kart w kieszeni. Jesteś tanim hazardzistą. Każdy cwany gracz w mieście może cię oskubać. Zafundowałeś piekielnie dobre życie całkiem sporej grupce chłopaków, George. Thackeray powinien ufundować ci emeryturę. Ustawiłeś go na całe życie.

— Kto cię informuje… Joe Harms? — spytał Camrose drwiącym głosem.

— Myślisz, że każdy facet może stracić tyle, co ty, bez wiedzy obozu? Jesteś żółtodziobem pierwszej klasy. Jak myślisz, w jaki sposób Thackeray zarabia na życie? Myślałeś, że zdołasz go przechytrzyć? Gdyby Bóg dał ci choćby odrobinę rozumu, powinieneś wiedzieć, że mógłby sobie z tobą poradzić mając jedną rękę związaną z tyłu. Spodziewałeś się, że wygrasz?

— Nie zniosę takiego gadania — oznajmił Camrose upartym tonem. — Nie mogę na to zrobić, Logan. Muszę cię ostrzec, żebyś przestał.

— Wyjaśnij mi zatem, dlaczego wziąłeś pieniądze, które ci dałem, kiedy obiecałeś mi, że przestaniesz grać, i przepuściłeś je przy stole pokerowym.

— Ty za to jesteś świętym, prawda? Bardzo zadowolonym z siebie. Chcesz, żeby grzesznik się przyznał. Niech żałuje i płacze nad swoją słabością i mizerią. Nie zrobię tego. Gdyby było w mojej mocy zebrać pieniądze i je zwrócić ci, zrobiłbym to. Wtedy, wolny od zobowiązań, powiedziałbym ci, żebyś poszedł do diabła.

Stuart stał w kącie pokoju, ciężar jego osądu ciążył Camrose'owi. Ten ostatni zaczął wyczuwać zmianę w tym człowieku, którego tak dobrze znał – zamknięcie i wycofanie się – aż w końcu cisza stała się gorsza niż bezlitosna przemowa.

— Logan — powiedział — jak mam ci to wytłumaczyć? Masz swój biznes. Masz w nim szczęście. Może zbijesz na nim fortunę. Grasz za każdym razem, gdy wysyłasz karawanę. Po co ryzykujesz? Żeby zarobić milion dolarów. Ja nie mam szansy na hazard w taki sposób. Więc robię to w jedyny sposób, w jaki mogę. Gdzie tu różnica?

— Do diabła, głupia gadka — wycedził Stuart. — Dobrze o tym wiesz.

— No cóż — powiedział Camrose — odpuść sobie. Stało się tak, ponieważ jestem takim człowiekiem, jakim jestem. Mam dość tego cholernego nudnego miejsca. Nigdy tu nie pasowałem. Oto twoja odpowiedź.

Stuart przyłożył rękę do ściany; opuścił ją i wsadził obie ręce do kieszeni. Wzruszył ramionami.

— Może to dobra odpowiedź — stwierdził. — Nie mogę cię osądzać. Współczuję ci.

— Nie ma sprawy — powiedział Camrose, czując dużą ulgę z obrotu spraw. — Nie mówmy już o takich trudnych rzeczach. To miejsce jest wystarczająco ponure i bez tego.

— Próbowałeś już wcześniej ułatwić sobie życie i za każdym razem wychodziło ci to na gorsze. Jeśli chcesz, żeby twoje życie było tylko ucieczką i ukrywaniem się, to lepiej pomyśl o Lucy.

— Wyrwiemy się stąd i zamieszkamy w jakimś przyzwoitym miejscu — odparł Camrose, z ogromną pewnością siebie. — Będzie lepiej - będzie dobrze.

— Ty zawsze tylko o jutrze - zawsze o następnej rzeczy. Nigdy się z tym nie zmierzysz. Poślubisz ją, pójdziesz dalej. Nie znajdziesz niczego, co by cię zadowoliło. Zawsze będziesz grał o swój milion i będziesz wpadał w kolejne tarapaty. Do diabła z tym, George. Zostań tutaj i pracuj na tym poletku. Nie chcę nawet myśleć o tym, żebyś ciągał ją od osła do posła.

Gniew Camrose’a wystrzelił w górę.

— To ja o tym zdecyduję.

— Twoje decyzje są złe. Nie będziesz grał w żadne fałszywe gierki z Lucy.

Po raz pierwszy w czasie długiej znajomości z Loganem, Camrose poczuł cień podejrzenia.

— Czy ona aż tak cię zajmuje?

— Tak — odparł Stuart, — tak.

— To zdecydowanie za bardzo. Coś tam kombinujesz na własny rachunek?

Ta uwaga dotknęła Stuarta o wiele mocniej, niż Camrose sobie wyobrażał. Stuart szybko podszedł z rogu pokoju; wyciągnął rękę, by, korzystając z grzbietu dłoni, pchnąć Camrose'a w pierś; a potem podniósł rękę i wymierzył Camrose'owi policzek w twarz. Camrose otrząsnął się po uderzeniu i uniósł ręce, śmiejąc się w beztroski sposób.

— A więc, teraz będziemy walczyć, Logan.

— Za dużo gadasz — warknął Stuart w odpowiedzi i znów pchnął go w pierś. Nagle cofnął się o dwa długie kroki, słysząc dochodzący z magazynu głos Lucy.

Weszła do pokoju lekko podekscytowana decyzją, którą właśnie podjęła. Wtedy zauważyła gniew na twarzy Stuarta i rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Camrose'a, który stał z jasnymi włosami opadającymi na czoło i klatką piersiową poruszaną szybkim oddechem. Zobaczyła to wszystko i jej bystry umysł natychmiast pojął znaczenie części tego co się działo. Lecz zanim zdążyła to skomentować, Camrose szybko otrząsnął się i uśmiechnął.

— Co się dzieje, Lucy?

— Przyszłam powiedzieć Loganowi, że jadę z nim.

— Ach — stwierdził Camrose. — Będziesz w dobrym towarzystwie.

— Czy wy dwaj się kłóciliście?

— Często się kłócimy — powiedział Camrose, odzyskując nieco swobody zachowania. — Szybko o tym zapominamy. Przecież znasz pozytywne usposobienie Stuarta.

Niezależnie od tego, czy wierzyła w wyjaśnienie czy nie, udała, że je akceptuje i zwróciła się do Stuarta.

— Będę spakowana i gotowa rano.

Stuart, mniej zmienny w nastrojach, nadal miał szorstki wyraz twarzy. Odparł:

— W porządku, Lucy. Wyjeżdżamy o siódmej.

Obserwował, jak odchodzi, słuchał jej kroków oddalających się wzdłuż sklepu; potem popatrzył na Camrose’a ze twardym uporem w oczach. Nagle odwrócił się do narożnej szafki w pokoju i zdjął z półki butelkę whisky oraz dwie szklaneczki. Postawił szklaneczki na stole i napełnił je do połowy whisky. Usiadł i wskazał ręką na drugie krzesło, i nadal twardo spoglądał na Camrose’a, gdy ten zajmował miejsce naprzeciw niego; położył ciężkie ręce na stole i przygarbił się w ramionach, wziął szklaneczkę, uniósł ją w stronę Camrose’a i wypił whisky.

— No dobrze — powiedział — wciąż brakuje ci dwóch tysięcy dolarów w sejfie.

— Tak — przyznał Camrose, z niezmierną ulgą. — Ale wszystko w porządku.

— Nic nie jest w porządku — poprawił go Stuart. — Zajmę się tym, jak wrócę z San Francisco. A co do Thackeraya - nie płać tego weksla. To była ustawiona gra. Jak tylko wrócę, wycisnę z niego wszystko. Odzyskam od niego twój weksel albo przegonię go z obozu.

Camrose luźniej rozsiadł się na krześle. Stuart zakładał, że problem jest, Stuart znajdzie rozwiązanie - i ta świadomość go uspokoiła oraz pomyślał: „Jestem bezpieczny, mając go za plecami.”

— George — oznajmił Stuart i wycelował palec w Camrose’a — musisz twardo stawić czoła wydarzeniom. Nie wykręcaj się i nie uchylaj się. Nie można uciekać przed niczym.

— W porządku — powiedział Camrose. — Zrobię to. Zrobię to, Logan.

— Zapomnijmy o tym wszystkim — powiedział Stuart. — Wypij do dna.

Camrose wysączył zawartość i odstawił pustą szklaneczkę. Wstał, odzyskując poczucie humoru.

— Idę spać — powiedział i opuścił pokój, machając Stuartowi ręką na pożegnanie.

Stuart pozostał przy stole. Oparł się mocniej na łokciach, opuścił ramiona bliżej stołu i bezmyślnie popychał palcem wskazującym dwie puste szklaneczki. To co wydarzyło się tej nocy, było złe. Nic już nie będzie takie samo między nimi, bo coś dobrego umarło w chwili, gdy uderzył Camrose’a; a teraz przyznał się do faktu, z którym dotąd nie chciał się zmierzyć: Camrose był słabym człowiekiem, który nigdy nie stawiał w pełni czoła swoim problemom.

Chciałby móc powiedzieć to Lucy, ale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie będzie mógł. Już dawno podjęła decyzję na korzyść Camrose’a i nic jej nie zmieni. Stuart zrozumiał teraz, że nie może nic zrobić, tylko sprawić, by Camrose stawił czoła swoim problemom.

Opuszczając Stuarta, Camrose zauważył idącego w tej samej chwili ulicą Lestrade'a. Obaj podeszli do siebie, a Lestrade zaproponował:

— Mała gra, dziś wieczorem?

— Nie mam dzisiaj nastroju — powiedział Camrose.

— No to, jutro wieczorem — proponował dalej Lestrade. — Zbiorę też pozostałych chłopaków, również Stuarta.

— On rano wyjeżdża z miasta, do San Francisco.

— Długa i trudna podróż.

— Nie tak jak on to planuje. Ma złapać łódź w Scottsburgu.

Dotarli do końca ulicy, po czym Camrose pożegnał się, mówiąc: „Dobranoc” i skierował się do swojego biura. Lestrade kontynuował spacer do chaty, myśląc sobie: „Stuart prawdopodobnie skorzysta z okazji, by wywieźć złoty piasek. Zwykle tak robi, kiedy wyrusza w podróż. To właśnie chciał wiedzieć Bragg”. Podjąwszy decyzję, osiodłał konia i natychmiast pojechał do chaty Bragga, zawołał mężczyznę do drzwi, przekazał wiadomość i natychmiast wrócił do siebie.

To była szybka i skryta wyprawa, jednak dwóch ludzi było świadkami jego odjazdu i powrotu. Howison, który obserwował Lestrade’a od czasu ostatniego napadu na jego posłańca ze złotem, zauważył, jak Lestrade szedł ulicą z Camrosem - i podążył za nim do Bragga. Kryjąc się w lesie, gdy Lestrade zawrócił w stronę miasta, Howison pomyślał sobie: „Mam już wszystkie dowody, jakie tylko mogłem mieć nadzieję zdobyć.”

Johnny Steele, spacerujący nocą, ożywiany wspomnieniami pani Lestrade, znajdował się koło strumienia, kiedy minął go Lestrade, wyruszając do Bragga. Później Johnny szedł dalej, aż znalazł się w pobliżu chaty Lestrade'a, stanął oparty ramieniem o drzewo i obserwował światła bijące z okien chaty, a jego myśli prowadziły go w dziwne miejsca. Ona była piękną kobietą związaną z oszustem, wiedziała o tym i przeżywała swoją prywatną tragedię. Wspomnienie jej ciała w jego ramionach nigdy nie przestało drążyć duszy Johnny'ego Steele; dosłownie zmieniło jego życie, usuwając z niego jego beztroską część. Krytycznie oceniał dawnego siebie, swoje wady i możliwości, a wspomnienie tysiącdolarowego pijaństwa, wręcz budziło w nim upokorzenie. Od tamtej pamiętnej nocy nad strumieniem nie przekroczył progu żadnej knajpy; i od tamtej nocy również hołubił swe życzenia dotyczące pani Lestrade, które, jak zdawał

sobie sprawę, były niemożliwe do realizacji. Nadal jednak nie był w stanie tych życzeń wyrzucić ze swego umysłu. Stojąc tam gdzie był i rozmyślając, zauważył powrót Lestrade'a i miał dość dobre przypuszczenia, gdzie ten człowiek mógł być.

Rozdział X
Czarna noc

Podróżując niezbyt śpiesznie, Stuart i Lucy dotarli do Dance'ów w porze kolacji, pierwszego dnia po opuszczeniu Jacksonville. Gościnny Ben Dance zorganizował dla Lucy wielką fetę, a pani Dance zachowywała powściągliwą serdeczność. Caroline okazywała łagodne zaskoczenie, dopóki nie wyjaśniono celu jej wyjazdu. To Lucy zadała sobie wiele trudu, by wyjaśnić go Caroline w najdrobniejszych szczegółach, ta zaś oznajmiła tylko: „To miło” i zajęła się swoją pracą, nie okazując specjalnego zainteresowania.

Po kolacji trzech chłopców Dance wstało od stołu i rozpłynęło się w mrokach nocy, podczas gdy reszta towarzystwa siedziała wygodnie w niewielkim pomieszczeniu. Lucy zaproponowała pomoc przy zmywaniu naczyń, lecz gospodarze grzecznie jej odmówili. Dance miał do opowiedzenia nową historię o pumie, na koniec zaś dodał:

— To było dwa dni temu. Znalazłem ślady Indiańców u wylotu Gęsiego Kanionu, Stuart. Uważaj jutro w górach.

Wtedy, Stuart nie potrafił zrozumieć jak i dlaczego, całą grupę opuścił spokój. Dance wyczuł to i jego spojrzenie powędrowało bystro po kobietach, po czym przeskoczyło na Stuarta, z błyskiem humoru i zrozumienia. Pani Dance opowiadała energicznie o najnowszych wieściach i pytała o znajomych w Jacksonville. Caroline zajmowała się swoją robótką, nie odzywając się; od czasu do czasu tylko unosiła głowę, gdy coś mówiła Lucy, i przyglądała się z uwagą drugiej dziewczynie. Stuart przypomniał sobie, że ten sam wyraz twarzy, nieco sztywny i pełen opanowania, miała kiedy Lucy życzyła jej powodzenia podczas budowy chaty Bartletta.

Wstał, wyszedł w mrok na zewnątrz i stanął z fajką, by obserwować gwiazdy oraz wielką, czarną masę gór. Wkrótce pojawił się również Dance, tryskając humorem. Mruknął:

— Atmosfera tam w środku jest trochę za sztywna.

— Dlaczego? — spytał Stuart.

— Nie należy mieszać razem kobiet, Logan. Pamiętam, jak dawno temu...

Caroline wyszła z chaty i popatrzyła podejrzliwie na ojca.

— Co cię tak śmieszy? — spytała, a potem, nie czekając na odpowiedź, położyła dłoń na ramieniu Logana i pociągnęła go na ścieżkę.

Szła szybko, z twardą miną i spojrzeniem wbitym przed siebie. Była wściekła, a gniew buchał z niej jak żar. Stuart dotrzymywał jej kroku, czekając, aż rozpęta się burza; przygotowywał się na nią i zastanawiał się,

jak jej stawić czoła i jak ją załagodzić. Lecz na szczęście nigdy się nie zerwała. Jej kroki zaczęły spowalniać, zaś jej gniew zdawał się opadać, aż w końcu zatrzymała się, popatrzyła na niego przez ciemność i wyciągnęła rękę, by ściągnąć jego głowę w dół. Pocałowała go, mówiąc cicho.

— Nie powinnam być zazdrosna, prawda? Nie ma powodu do zazdrości?

— Nie, Caroline.

Słuchała jego słów i zastanawiała się nad nimi w myślach. Jej twarz zrobiła się łagodniejsza niż kilka chwil wcześniej, lecz ciągle naznaczona była opanowaniem i zdumieniem. Nie mógł być pewien jej myśli, nie mógł ich śledzić, gdyż stała bez ruchu, dwa kroki od niego. Być może, powiedział sobie, wiedziała o nim więcej, niż zdawał sobie z tego sprawę. Być może całe jego wnętrze było dla niej absolutnie przejrzyste, tak że dokładnie wiedziała, co jej oferuje, a czego nie. Kompletnie nie miał co do tego pewności i po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy zachowuje się wobec niej sprawiedliwie, lecz nie był ani o krok bliżej odpowiedzi niż wcześniej.

— Kiedy wrócisz, Logan?

— Za dwa tygodnie.

— Będę myślała o tobie — powiedziała i wróciła z nim do chaty. Weszła do środka i wkrótce pojawiła się z parą kołder. Teraz była chłodna i opanowana, a jej „Dobranoc", kiedy się odwracała, brzmiało niemal bezosobowo.

Stuart i Lucy wyruszyli w drogę o wschodzie słońca, wkrótce wjeżdżając w ciężkie wzgórza. W miarę jak jechali, docierało do niego, że nie są już tak swobodni, jak podczas ostatniej wspólnej podróży przez te górzyste tereny. Wesołość i swoboda między nimi zniknęły. Podczas którejś z godzin poranka, Lucy wspomniała o Caroline.

— Nie powinnam była jechać z tobą w tę podróż. Caroline nie jest zadowolona. Nie winię jej za to.

— To jej minie — odparł.

— Nie tak prędko. Logan - czy zechciałbyś mi powiedzieć, dlaczego pokłóciłeś się z George'em?

— Dałem mu pewną radę, którą źle przyjął. Ale to też minie.

— Nie spodziewałam się, że mi powiesz — stwierdziła.

— Kłóciliśmy się już wcześniej i jeszcze nie raz się pokłócimy. Najważniejsze jest, że zawsze zrobię dla niego i dla ciebie, wszystko co w mojej mocy.

— Nie będzie na to wielkich szans. Wyprowadzamy się.

— Właśnie o to była ta kłótnia — powiedział.

Wczesnym popołudniem zatrzymali się u Anslema, a następnego dnia przeprawili się przez Umpqua w Rose's Ferry i kontynuowali podróż aż do domu położonego około piętnastu mil na północ. Następnego ranka Stuart opuścił główny szlak i wybrał skrót przez krainę pełną skalistych wzgórz i krótkich dolinek. Jechali przez nie długo, lecz pozwoliło to zaoszczędzić pół dnia drogi. Przed południem rozbili obóz, podczas gdy Stuart ugotował posiłek; potem odpoczęli w ciepłym słońcu.

— Logan, dlaczego on nie lubi tego kraju?

— Ma inny gust niż my wszyscy. Rozumiem, dlaczego może tęsknić za innymi rzeczami. Wyobrażam sobie, że spodoba ci się Wschód.

— Czy on tam pojedzie?

— Nie rozmawiałaś z nim o tym?

— Niewiele.

— Dziwne — zauważył.

Podniósł się i pomógł jej wsiąść na siodło, jej bliskość niepokoiła go, a jej ewentualny wyjazd z okolicy, stworzył w nim ogromną lukę. Wąski kanion ponownie doprowadził ich do Umpqua w miejscu, w którym jak pamiętał Stuart znajdował się odpowiedni bród; ale chociaż rzeka cofnęła się od nadbrzeżnych skał, jej główny nurt wciąż płynął szybko i był głęboki, oraz zbyt szeroki, by Lucy mogła ryzykować przejazd. Powiedział:

— To był kiepski pomysł. Będziemy musieli podążać wzdłuż rzeki do Elkton. To będzie długa i opóźniająca nas podróż.

— Odbywaliśmy już długie i opóźniające podróże.

Zauważył, że na chwilę się uśmiechnęła, że na mgnienie oka przełamała swoją powściągliwość; to przywołało echa pamięci, przywołało wszystko, co do niej czuł i sprawiło, że każde wspomnienie stało się trudne.

— Wpędziłem cię nie raz w ciężkie chwile.

— Zwykle jesteś trudnym partnerem podróży. — Jej myśli się rozjaśniły i znów zrobiła się wesoła. — Pamiętam, jak George mi cię przedstawił. Powiedział: „To jest Logan Stuart, mój dosyć osobliwy przyjaciel. Właśnie brał udział w bójce – popatrz tylko na jego kostki”. Zastanawiałam się wtedy, co George w tobie widzi. Zajęło mi kilka miesięcy, by się tego dowiedzieć. — Zaciekawiła się i nagle powiedziała: — A ty, co pomyślałeś sobie o mnie, w czasie tego pierwszego spotkania?

— Powiedziałam sobie: „Cholerny George Camrose”.

Na jej twarzy pojawiło się ciepło.

— Od czasu do czasu miewasz swoje momenty — mruknęła i odwróciła od niego wzrok. Wyprostował się w siodle, a radość chwili zniknęła.

Objazd zepchnął ich ze szlaku i po południu musieli znaleźć przejezdny szlak między brzegiem rzeki a skrajem lasu. Przekroczyli kilka niewielkich potoków, a od czasu do czasu trafiali na naturalną łąkę, której dzika trawa miała bursztynowy kolor i była zmierzwiona. Rzeka zataczała wielkie pętle w drodze do morza, a od czasu do czasu na przeszkodzie stawał im jakiś klif, który musieli powoli objechać, wspinając się na wzgórza. O zachodzie słońca Stuart zatrzymał się, rozpalił ogień i usmażył bekon oraz ugotował kawę.

Długa jazda wymagała długiego odpoczynku, a na twarzy Lucy widać było zmęczenie. Zapalił więc fajkę i podtrzymywał ogień, gdy zapadał zmierzch.

— Wydaje mi się, że mamy przed sobą jeszcze jakieś dziesięć mil — powiedział. — Lucy, dlaczego powiedziałaś mi, żebym nie żenił się ze spokojną kobietą?

To pytanie zaskoczyło ją. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i pokręciła głową.

— To były tylko takie słowa. To nic nie znaczyło. Chyba zrobiłeś ze mnie squaw. Podoba mi się to.

— Tak samo jak spodoba ci się Piąta Aleja, George w czerwonej pluszowej kamizelce i ty w najbardziej eleganckiej czerwonej sukni.

— Nie wiem — stwierdziła poważnie. — Naprawdę nie wiem. — Jakaś ryba plusnęła o powierzchnię rzeki, a dźwięk ten rozszedł się w nieruchomym powietrzu; gdzieś indziej jeleń narobił hałasu w zaroślach, w drodze do wodopoju, zaś wszystkie świerszcze w okolicy wypełniały ją głośnym graniem. — Nie powiedziałabym, że jestem ubraną w przaśną wełnę kobietą z pogranicza, ale nie mogłabym też powiedzieć, że jestem kobietą nadającą się do eleganckich salonów. Pojadę tam, gdzie uda się George i bez wątpienia będę tam szczęśliwa. Ale w tej chwili jestem zupełnie szczęśliwa tutaj. Jestem...

Zapadł zmierzch, rzucając mrok na świat; ich niewielkie ognisko jaśniało na tle tej ciemności, zaś blask ognia tańczył w jej oczach, kiedy go obserwowała. Mówiła z dystansem, spokojnym głosem. Nie była jednak taka chłodna, bo gdzieś w jej wnętrzu wyraźnie działały silnie emocje, które odciskały się na jej twarzy. Najbardziej wyraźnie dostrzegał to na jej ustach, które zawsze jako pierwsze zdradzały zachodzące w niej zmiany. Pomyślał: „Nikogo nie znam tak dobrze jak jej. Nikt nie zna mnie tak dobrze jak ona. Diabelnie dziwna rzecz.”

— Myślę — dodała monotonnym tonem — że po prostu jestem kobietą, którą łatwo zadowolić.

Jeleń nadal szeleścił zaroślami, teraz gdzieś bliżej. Nasłuchiwał go przez chwilę, jego umysł był tylko na wpół skupiony na tych odgłosach.

— To nie tak — odparł. — Wolno się zmieniasz, wolno zapominasz i nie rezygnujesz z tego co masz, ani z tego w co wierzysz.

Powiedziała spokojnie:

— Ty wiesz lepiej.

Wtedy ponownie usłyszał szelesty poruszającego się w zaroślach jelenia, a niebiorąca udziału w rozmowie część jego umysłu zaczęła zwracać uwagę na ten odgłos. Szelest ustawał, szelest powracał; i za każdym razem, gdy go słyszał, był coraz bliżej. Odpoczywał wyciągnięty jak długi, wsparty na ramieniu, z głową zwróconą w stronę płomieni. Obrócił się lekko, by obserwować czarną krawędź zarośli i lasu położoną pięćdziesiąt stóp za nimi. Pomyślał: „Coś nie do końca to podobne do jelenia”. Ogień już przygasał, płonął na kilku ostatnich gałęziach. Pomyślał: „Trzeba się ruszyć" i usiadł; potem zalał go przypływ alarmu, gdy jego umysł w pełni się obudził. Ruchem ręki rozrzucił popiół z ogniska i wyrzucił żarzące się drewno oraz iskry, rozproszonym deszczem przez mrok, sam zaś przetoczył się na Lucy, przyciskając ją do ziemi.

Strzał padł zaraz potem, kula uderzyła w pobliżu, wyrzucając na niego grudki ziemi. Zobaczył błysk broni w zaroślach i przetoczył się, wyciągając rewolwer zza paska spodni. Zgubił ślad nieprzyjaciela w krzakach, ale wciąż słyszał poruszające się w nich ciało, szybciej i z mniejszą ostrożnością. Cienie wzdłuż łąki pogłębiały się, a muł i dwa konie, uwiązane na palikach, poruszały się niespokojnie.

Ukryty strzelec, manewrując za zasłoną zarośli i cieni, przestał się teraz poruszać; i dzięki temu znakowi Stuart wiedział, że nadszedł czas na drugi strzał. Odgłos wystrzału wydawał się potężniejszy niż za pierwszym razem, ale celność była gorsza. Stuartowi wydawało się, że słyszy trzask kuli w sporej odległości za sobą, choć nie nasłuchiwał go specjalnie; dostrzegł błysk broni człowieka, więc wycelował swój rewolwer w to miejsce i spróbował oddać własny strzał.

Skutek był nieoczekiwany. Strzelec rzucił się do biegu przez zarośla, trzymając się blisko ich krawędzi, a następnie gwałtownie się zatrzymał i wystrzelił trzy razy, ze znacznym opóźnieniem między strzałami. Pierwszy pocisk trafił jednego z koni i przewrócił go. Stuart podniósł się i pędził w kierunku najbliższych zarośli, gdy huknął drugi strzał. Ominął skraj zarośli i zobaczył trzeci błysk broni, niecałe dwadzieścia stóp od siebie. Wystrzelił i otrzymał szybką odpowiedź. Pomyślał: „To koniec naboi" i popędził prosto w zarośla.

Napastnik znajdował się w pełnym odwrocie przed nim, chrząkając i ciężko dysząc, kiedy przedzierał się przez zarośla, zmierzając w ciemność lasu; nagle Stuart zrozumiał bezcelowość pościgu i zawrócił. Kiedy dotarł na łąkę, wciąż gdzieś słyszał poruszającego się człowieka, najwyraźniej zataczającego krąg w oddali. Minął zwierzęta i zauważył że cała trójka leży na ziemi; podszedł do rozproszonego rubinowego blasku ogniska.

— Lucy — powiedział.

Wycofała się w stronę rzeki. Jej głos poprowadził go do niej, aż znalazł ją przykucniętą na żwirze. Powiedziała:

— Tutaj — złapała go za ramię i ściągnęła w dół. — Nie wracaj tam — powiedziała. — To był Bragg. Wiem. To nie mógł być nikt inny. — Cała się trzęsła. Położyła na nim drugą rękę, trzymając go oburącz. W ciemności widział blady zarys jej twarzy. — To był Bragg, prawda?

Wstał.

— To był Bragg. Idę do koni.

— Są martwe.

— Wiem — powiedział i znów ruszył przez łąkę.

Podszedł do zwierząt i przykucnął. Odwiązał każdego konia i wyciągnął derki spod wszystkich siodeł, po czym zabrał swoją małą sakiewkę z ładunkiem złotego pyłu. Stał bez ruchu, słysząc inny dźwięk, daleko na południu - energiczne i przytłumione echo poruszającego się konia. Wsłuchiwał się w ten odgłos, dopóki nie przestał go słyszeć.

— To był Bragg — powiedział sobie i był tego pewien. Napastnik spudłował podczas swojej pierwszej szarży, a potem nabrał przebiegłości i wycofał się. Musiał jednak coś zabić i dlatego zastrzelił zwierzęta. To był Bragg...

Wrócił do Lucy. Pomógł jej wstać.

— Chodźmy stąd — powiedział. — Nie spodziewam się, żeby tutaj wrócił. Przegapił swoją próbę, więc pojedzie do domu i poczeka na inny raz. Takie są zwyczaje Bragga. Ale gdyby jednak zmienił coś w swych nawykach i postanowił zaczekać na światło dnia, lepiej żeby nas tutaj nie było.

Podał jej rękę i ruszyli wzdłuż brzegu rzeki, mając gwiazdę północną po swojej lewej ręce. Wydawało mu się że znajduje się ona w niewłaściwym punkcie, dopóki nie przypomniał sobie, że w tym miejscu rzeka wykonuje jeden ze swoich dużych meandrów. Żwirowe koryto zmieniło się w litą skałę z dziurami wyżłobionymi przez wiry wysokiego stanu rzeki; a skalne łoże ustąpiło miejsca zarośniętemu brzegowi, zmuszając ich do zejścia w głąb lądu. Kolejna mila doprowadziła ich do wejścia sporego kanionu, przez który rzeka płynęła wielkim łukiem. Las zbliżył się do samego brzegu i nie było już widać dalszej drogi.

— Tutaj się zatrzymamy — powiedział i rzucił koce na ziemię. — Obóz na zimno.

Uklękła, obmacując ziemię rękami. Podniosła koce i ruszyła z nimi do przodu, aż stracił jej cień na tle lasu. Usłyszał jej cichy głos i ruszył dalej, aż potknął się o nią.

— Tu jest lepsze miejsce, Logan. Koc pod spodem i koc na wierzchu. Zejdź na dół.

Rozciągnął się obok niej, pod górnym kocem; podwinął krawędź koca pod siebie.

— Kolejny trudny czas do zapisania w pamięci.

— To nie koniec — stwierdziła. — Nigdy nie widzę końca przemocy dla ciebie.

— Wracam do Jacksonville — powiedział. Ale najpierw zabiorę cię do Scottsburga i wyślę się na pokładzie statku. Przed południem dojdziemy do Elkton i będę mógł pożyczyć parę koni od Lewa Waite'a.

— Mój ojciec nie zgodziłby się, żebym jechała sama. Zostałam oddana w twoje ręce, więc wrócę z tobą. Przypuszczam, że to Bragg. Dlaczego miałby cię tak nienawidzić?

— Pamiętasz tych dwóch górników z Kalifornii, zabitych rok temu w pobliżu Evans's Ferry?

— Tych, których zamordowali Indianie?

— Tamtego ranka jechałem tą drogą. Bragg minął mnie, wychodząc z wierzbowych zarośli i prowadząc konia. Dziesięć minut później znalazłem tych dwóch górników. Byłem jedynym świadkiem - a każdy sąd powiesiłby go na podstawie tego, co mogłem powiedzieć. Wiedziałem o tym, ale nie chciałem posyłać człowieka na szubienicę za coś, czego do końca nie byłem pewien. Te dziesięć minut zrobiło swoją różnicę. Nic więc nie zrobiłem, co było błędem.

Leżała oparta o niego, odwrócona w drugą stronę. Przykrył ją kocem, czując, jak wilgotna mgła rzeki przesuwa się nad nimi i wokół nich.

— Logan — mruknęła — w wielu sprawach nic nie zrobiłeś.

Leżała miękko w jego ramionach, jej ciepło stanowiło część jego ciała, a jej bliskość przywoływała te ciągłe, nigdy nie słabnące pragnienia. Od początku jej uśmiech wzbudzał w nim osobiste zainteresowanie, jej oczy i usta rozjaśniały się na jego widok, jej gniew czasami nim wstrząsał. Znali się zbyt dobrze; ich bliskość była zbyt duża jak na to, co dostawali od siebie, ale zbyt mała jak na to, czego pragnął. Była pełna życia, ciepła i głęboka. Wiedział to o niej lepiej niż inni, bo przy nim była inną kobietą,

nie przejmującą się szczególnie tym, czy go zraniła, czy zszokowała. Ponieważ nie był jej mężczyzną, mogła więc być przed nim sobą.

— Nie odpowiedziałeś mi, Logan.

Pomyślał sobie: „Niech szlag trafi George'a Camrose'a” i zmagał się ze swoimi niestosownymi pragnieniami.

Obróciła się w jego ramionach, a jej twarz zbliżyła się do jego tak, że poczuł podmuch jej oddechu i miał przed sobą świetlistą plamę jej twarzy.

— Jeśli zrobi się zimniej, niż będziesz w stanie wytrzymać — powiedział — zaryzykuję rozpalenie ognia.

Jego pragnienia wytworzyły wokół nich burzliwy wir. Niczego nie był w stanie przed nią ukryć, więc wiedział, że wyczuła, co tkwiło w jego duszy; jej usta, znajdujące się tak blisko niego, ujawniały tę wiedzę. Poczuł nagłe przyspieszone bicie jej serca, a potem, podnosząc się na łokciu, przesunął się lekko do przodu, podłożył ramię pod nią i opuścił usta na jej wargi.

Napór jego najsilniejszych pragnień zatrzymał go w jej ramionach. Była bezdenną miękkością, była kwaśną słodyczą, była płonącym w nim ogniem i wiatrem pędzącym przez jego duszę. Przyciskał ją do ziemi swoim ciężarem, jego ramię powoli przyciągało jej ciało do niego, a pragnienie sprawiało, że zapomniał o całym świecie. Nie stawiała oporu; jej dłoń spoczywała na jego szyi i wydawała się gotowa dać mu wszystko, co tylko mógł od niej otrzymać. Lecz nagle jej usta odsunęły się na bok, przerywając chwilę napięcia, on zaś przekręcił się na plecy, mocno rozgniewany na siebie samego. Odsunął od niej rękę, a ona uniosła się na łokciu i zbliżyła twarz do jego twarzy. Usłyszał jej szybki, nierówny pomruk:

— Tego właśnie chciałeś, prawda?

— Tak.

— Więc nie miej mi za złe, że ci to dałam.

— To nie ma sensu.

— Kłamiesz — oznajmiła. — Nigdy nie będziesz miał kobiety, która by cię tak całowała.

— To nie ma sensu. To będzie trwało zbyt długo.

— Ach — powiedziała, — to co innego — i nadal go obserwowała.

Nie widział wyraźnie jej twarzy, ale wiedział, że próbuje coś wyczytać z jego, z tym silnym osobistym zainteresowaniem, które zawsze okazywała w stosunku do niego. To był moment, podobnie jak inne chwile w przeszłości, które pamiętał - kiedy otworzyły się jakieś drzwi i stanęli na krawędzi czegoś, czego żadne z nich nie rozumiało. Nigdy jednak nie pozostawały one otwarte zbyt długo. Ponownie zadał sobie to samo stare pytanie: Dlaczego to był George? To ono zamknęło drzwi.

Odwróciła się od niego, a on objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie dla zachowania ciepła. Leżała długo nie śpiąc, jej umysł był najwyraźniej bardzo aktywny; minęła co najmniej godzina, zanim poczuł rozluźnienie jej ciała i zmianę tempa oddechu. Jeszcze raz powiedział sobie w myślach: „Jesteśmy zbyt blisko tego, co mamy” i odpłynął w sen.

Wilgotny chłód rzeki obudził ich przed świtem i pchnął ich w drogę. O dziesiątej dotarli do rozproszonych chat Elkton Settlement i znaleźli Lewa

Waite'a, który przygotował dla nich śniadanie i pożyczył Stuartowi parę koni.

— Jakąś godzinę temu przejeżdżała tędy karawana mułów Howisona, w drodze do Jacksonville.

— Złapiemy ich — powiedział Stuart. — Zrób mi przysługę. Pojedź do miejsca, w którym obozowałem i pozdejmuj uprząż z martwych zwierząt.

Pomógł Lucy wsiąść na siodło i ruszyli wzdłuż wijącego się potoku Elk Creek; w połowie popołudnia dogonili karawanę Howisona i dołączyli do niej na resztę tego dnia drogi, i obozując z nią tej nocy, nad Applegate. Tempo karawany jucznych mułów było jednak dla nich zbyt powolne i następnego ranka Stuart i Lucy ruszyli przodem, docierając do Jacksonville późnym popołudniem trzeciego dnia od wyruszenia znad Applegate. Kiedy Stuart pomagał jej zsiąść z konia, powiedział:

— Przykro mi z powodu sukni ślubnej.

— Każda suknia się nada — odparła.

Rozdział XI
Kształtowanie się osądów

Kiedy tylko dotarł do obozu, Stuart położył się na pryczy na krótką drzemkę. Obudziła go zacięta i gniewna dyskusja za drzwiami pokoju - Henry kłócił się gwałtownie z George'em Camrosem. Usłyszał, jak Camrose mówi:

— Na Boga, Henry, przestań w końcu odgrywać rolę psa stróżującego. Idę tam.

Głos Henry'ego był przepełniony uporem.

— Na Boga, proszę się cofnąć, proszę pana, i nie wejdzie pan tam.

Rozległy się odgłosy szamotaniny i drzwi się otworzyły. Podnosząc się z łóżka, Stuart zobaczył, jak Camrose zamaszystym ruchem przedramienia odepchnął Clenchfielda i wszedł do środka. Jego twarz pokryta była rumieńcem gniewu, a w oczach tańczyły elektryczne błyski. Wskazał długim palcem na Clenchfielda, który stał teraz zawzięcie milcząc, w drzwiach.

— Gdybyś był młodszy, Henry, posłałbym cię na ziemię jednym ciosem. Nigdy więcej nie podnoś na mnie ręki.

Clenchfield wpatrywał się w Stuarta.

— Ten człowiek — oznajmił z zimnym niesmakiem — podobno jest twoim przyjacielem. Ale nie na tyle, by pozwolić ci na sen.

— Niech cię diabli, Henry — powiedział Camrose — człowiek nie powinien spać w ciągu dnia.

Stuart wstał, przeszedł po podłodze i napił się wody. Przejechał dłonią po szczęce, czując drapanie swojego zarostu; zdjął koszulę, wyjął kubek do golenia i brzytwę. Słońce zaszło, a zmierzch zaczynał miękko spływać ze wzgórz. Zapalił lampę w pokoju i postawił ją na stole; przymocował lustro koło niej i zaczął myć twarz. Clenchfield wrócił do sklepu. Camrose stał obok, ale Stuart nie myślał szczególnie o nim; wracał myślami do scen na szlaku, tak ostrych i prawdziwych.

— Słyszałem — powiedział Camrose — że miałeś kłopoty.

— Odrobinę kłopotów — zgodził się Stuart.

— To charakterystyczne — stwierdził Camrose.

Krótkość jego zdań sprawiła, że Stuart wrócił do swoich myśli. Po chwili przerwał mycie twarzy i dokładniej przyjrzał się Camrose'owi. Camrose opanował już swój gniew, który najwyraźniej został wywołany przez Clenchfielda, ale nadal widać było, że jest zarumieniony i ma kiepski nastrój. W każdym innym stanie Stuart uśmiechnąłby się, lecz rozbudzony z niewystarczająco długiego snu i z pustym żołądkiem, sam nie był w

najlepszym nastroju. W takich warunkach nie był skłonny do zbytniego pobłażania nieprzewidywalnym wybrykom przyjaciela.

— Co jest charakterystyczne? — spytał.

— To, że mówisz i dużo i mało — odpowiedział mu Camrose.

— Co to do cholery ma znaczyć?

Camrose popatrzył z rozszerzonymi oczyma na tę reakcję.

— To był tylko komentarz, Logan.

Stuart wrócił do golenia. Brzytwa słabo radziła sobie z jego zarostem, a jej odgłos brzmiał zgrzytliwie, w panującej w pokoju ciszy. Stuart spłukał brzytwę, wykonał kilka pociągnięć i ponownie ją spłukał. Oczy zaczęły łzawić mu od przypadkowego kontaktu z mydłem, co spowodowało, że zaklął.

— Gdziekolwiek z tobą pojedzie — oznajmił Camrose — wpada w kłopoty.

— Wszystko skończyło się dobrze.

— Lucy dobrze to zniosła — upierał się Camrose. — Przypuszczam, że było zimno. Udało się rozpalić ogień?

— Nie — odparł Stuart — nie chciałem wystawiać się na cel.

Skończył szczękę z jednej strony i zaczął z drugiej, czekając, aż Camrose zbliży się do kwestii, która kryła się za tym ostatnim pytaniem.

— W takim razie — powiedział Camrose najlżejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć — mieliście zimny nocleg.

— Cholernie zimny — zgodził się Stuart.

— Nie mogłeś dać jej żadnego schronienia? — spytał Camrose.

— Niewielkie — odpowiedział Stuart. Poczuł, że cisza twardnieje. Przesunął brzytwę w dół drugiego policzka i wzdłuż podbródka. Camrose okrążył pokój i stanął przed Loganem. Z wielkim wysiłkiem wyrzucił temat z głowy i zwrócił się do drugiego.

— Znowu jedziesz na południe?

— Nie od razu.

— Niedługo ma tu przyjechać agent mojej firmy, by sprawdzić rachunki. Cholernie żenujący obrót spraw.

— To zawsze krępujące — przyznał Stuart — stracić cudze pieniądze.

Camrose zarumienił się.

— Powiedziałem już, że jestem głupcem. Czy muszę kajać się za każdym razem, gdy cię widzę? Chcę się tylko wydostać z tej dziury. Ta będzie już ostatnia. — Potem wpadł w lekkie rozgoryczenie. — Nie będzie trudno być uczciwym do końca moich dni. Życie odbiera człowiekowi serce i zostawia z niego suchą miazgę. Mogę więc siedzieć w tym mieście aż do śmierci, mały człowieczek bez odwagi i nadziei. Kiedyś miałem nadzieję i może odwagę. Ale to nie zadziałało.

— Nie, w sposób, w jaki próbowałeś to zrobić.

— Nie mów mi, że inni tego nie robili - powiedział ostro Camrose. — Jak myślisz, w jaki sposób milionerzy z naszego kraju się wzbogacili? Za pożyczone pieniądze. Ale oni byli mądrzejsi ode mnie. Kazali swoim prawnikom zrobić wszystko zgodnie z prawem. Jeśli przegrali, nie byli za to odpowiedzialni. Jeśli wygrali, stawali się wielkimi ludźmi.

— Bez wątpienia — stwierdził Stuart. — Tyle, że oni trzymali się z dala od pokera.

— Jaka jest różnica między pokerem a grą na akcjach kolei?

— Bogaci ludzie, o których mówiłeś, grali własnymi kartami. Mieli je wszystkie poznaczone i nie mogli przegrać. Ty grałeś cudzymi kartami i nie mogłeś wygrać.

Camrose był zaskoczony.

— Nigdy wcześniej nie słyszałem, żebyś mówił z takim cynizmem.

— Mówię ci tylko, gdzie popełniłeś błąd.

— Ze mną będzie ciężko. Liczyłem na twoją pomoc.

— Otrzymasz ją. Mam zamiar porozmawiać z Thackerayem.

— Nie odzyskasz wszystkiego. W tej grze byli też inni. Mimo wszystko to nie wystarczy. Potrzeba kolejnych dwóch tysięcy, ponad to, co straciłem na rzecz Thackeraya.

— Kiedy przyjedzie twój człowiek z firmy, powiedz mu, że wziąłeś swoje manko - niezależnie od tego, jaka to będzie kwota - jako pożyczkę dla mnie. Zaksięguj to teraz jako pożyczkę. Możemy to wyprostować po jego wyjeździe.

Na twarzy Camrose'a pojawiła się ulga. Udało mu się nawet uśmiechnąć – było to coś na kształt dawnego uśmiechu. Stuart pomyślał, że nigdy już nie będzie to ten sam uśmiech, co kiedyś, bo nigdy nie będzie między nimi takiego samego zaufania. Obserwując Camrose'a, czuł jego utratę; czuł pustkę po miejscu, które wypełniała ich przyjaźń.

— Jesteś godnym zaufania człowiekiem — stwierdził Camrose. — To załatwia sprawę. Teraz mogę pójść spać.

— I marzyć o zbiciu fortuny w inny szybki sposób — powiedział Stuart. — Łatwo z tego wyjdziesz. Ty zawsze łatwo wychodzisz.

— Nie pochwalasz tego — zauważył Camrose. — Więc po co zawracasz sobie tym głowę?

Stuart zapalił cygaro i nie spieszył się z odpowiedzią. Wiele ich łączyło, a Camrose wiele dla niego znaczył; żaden człowiek nie może przekreślić wielu pięknych rzeczy swego życia, nie wykonując ostatniego gestu i być może był to jego ostatni gest w stronę dobrych i beztroskich dni, jakie dzielił z George'em.

— Gdybym uważał cię za oszusta, mógłbyś się smażyć w piekle. Ale ty nie jesteś oszustem. Jesteś człowiekiem, który ma w głowie tyle rzeczy, że nigdy nie był w stanie ocenić, które z nich są dobre, a które złe. Życie przestępcy nie jest dla ciebie. Popełniłeś błąd, ale był to błąd popełniony z głupoty, a nie na zimno.

George znów uśmiechnął się z rozbawieniem, z tolerancyjnym pobłażaniem dla rad, które go nudziły. Nawet teraz, pomyślał Stuart, George Camrose nie okazywał nawet odrobiny skruchy. Być może dostał gorzką lekcję, ale była to lekcja, która go tylko zabolała i sprawiła, że poczuł żal dla samego siebie.

— Stary — stwierdził Camrose — nigdy nie uważałem cię za skomplikowanego człowieka, ale są chwile, kiedy nie mogę za tobą nadążyć. Zobaczymy się u Lucy?

— Nie.

Camrose przyglądał się przez chwilę Stuartowi, a jego uśmiech przygasł, po czym wyszedł z pokoju. Kiedy dotarł na ulicę, na jego twarzy znów pojawiło się napięcie. Powiedział sobie w duchu: „On robi te ustępstwa dla niej, a nie dla mnie. Muszę się dowiedzieć, co się wydarzyło podczas tej podróży.” W tym nastroju, pełnym zazdrosnych wątpliwości, udał się na wzgórze do Overmire'ów.

Stuart wszedł w ciemną przestrzeń magazynu, tylko miejscami rozjaśnianą przez lampy, i zanurzył się w jego aromatycznych zapachach. Były to znajome zapachy, przypominały mu o setkach rzeczy, o mokrych szlakach przez wzgórza, o promieniach słońca przebijających się przez arkady konarów drzew, o migotaniu ogniska i odgłosach tajemniczych współpodróżnych w noclegowniach, o ciepłych chatach, w których ludzie chrapali i sapali, i o rześkim powietrzu poranka, zanim wzeszło słońce. Stał przez chwilę, obserwując Clenchfielda, który wciąż był wzburzony niedawnym naruszeniem swojej godności.

— Nie przejmuj się tym, Henry.

— Lepiej niech twój przyjaciel Camrose zajmie się swoimi własnymi kłopotami. Siedzi w nich po same uszy i angażowanie się w jego sprawy, nie przyniesie ci nic dobrego.

— Jak to?

— Wolę, by miasto samo ci powiedziało — odparł Clenchfield.

Stuart udał się do domu pani Johnson na kolację, a potem poszedł do knajpy Corsona. Tłum zebrał się wokół niego, by posłuchać o jego podróży, on zaś stał przez chwilę z cygarem i leniwie odpowiadał na pytania. Do środka wszedł Thackeray i dołączył do tłumu. Po chwili Stuart wyrwał się spośród gapiów, dając Thackerayowi znak.

Obaj wyszli od Corsona, nic nie mówiąc, dopóki nie znaleźli się na końcu ulicy. Wtedy Stuart od razu przeszedł do rzeczy.

— Ile zgarnąłeś od Camrose'a tamtej nocy?

— Około tysiąc pięćset w złocie. Kolejny tysiąc w wekslu. Fitz zabrał mu też kilka setek, a Gil Perrin trochę wygrał, ale później przegrał to ze mną.

— Cholernie głupio postępuje ze swoimi pieniędzmi — stwierdził Stuart.

— Swoimi lub czyimiś — odparł Thackeray.

— Jak to?

— Myślę, że wiesz to sam, równie dobrze jak ja. Podejrzenie jest dość powszechne. Przyszedł do ciebie ze swoimi kłopotami, co? Zawsze tak robi. Lepiej przestań go utrzymywać. Nauczy się pływać sam, albo utonie. Sądzę, że raczej pójdzie pod wodę.

— Powinieneś dać mu spokój. On nie ma szczęścia w kartach.

— Jeśli nie wykończę go ja, zrobi to ktoś inny. Nigdy nie lituj się nad głupcem.

— Nie znasz go.

Thackeray wzruszył ramionami.

— Mój biznes to karty. W tej branży trzeba umieć dobrze oceniać ludzi. Ja znam Camrose'a. To ty go nie znasz. Jesteś jego przyjacielem. Nie dostrzegasz jego wad. Będziesz go bronił, bo jesteś nieco upartym

gościem i nie porzuciłbyś nikogo. Ale dla mnie to zwykły tani hazardzista. Kiedy z nim gram, zawsze go obserwuję. Nigdy nie wiem, co zrobi taki frajer. Zabrałby mi ostatni grosz, gdyby tylko mógł i niczego by nie żałował. Ale kiedy ja go oskubię, biegnie z płaczem do ciebie.

— Nie — nie zgodził się Stuart, cierpliwie próbując to wyjaśnić — on nie jest taki, jak myślisz.

— Niech ci będzie — machnął ręką Thackeray — nie warto się o niego kłócić.

— Chcę odzyskać pieniądze — powiedział Stuart.

— Spodziewałem się, że tego właśnie chcesz — odparł Thackeray i zatrzymał się. Odwrócił się do Stuarta, a jego twarz nabrał cynicznego wyglądu. — Masz w sobie słabość do tego człowieka. Nie rozumiem tego, podobnie jak i obóz. To nie ma sensu, Logan. Nie zrobię tego.

— Oczekuję ich z powrotem w ciągu godziny — oznajmił Stuart.

Na twarzy Thackeraya pojawił się niepokój. Jego interes, zawsze był niebezpieczny, nauczył się więc sposobów na przetrwanie i wykorzystywał je wielokrotnie w czasie swojej kariery. Pokręcił jednak głową, a jego głos wyrażał ogromny żal.

— Nie nabiorę się na ten blef.

— Czy widziałeś kiedyś, żebym blefował? Mówię ci to, co mówię.

— Niech cię szlag! — wykrzyknął Thackeray. — W całym tym obozie nie znalazłbyś nawet dwóch ludzi, którzy zgodziliby się z tym, że powinienem zwrócić te pieniądze. Ty też o tym wiesz. Stoisz tu i mówisz mi, że masz zamiar o nie walczyć siłą?

Stuart skinął głową. Wytrzymał ze spokojem zdziwione i pełne urazy spojrzenie Thackeraya; był twardy i cierpliwy, a ponieważ Thackeray zawsze nosił broń, zachowywał czujność. Nie żywił urazy do Thackeraya i prawdę mówiąc zawsze był z nim w doskonałych stosunkach, lecz czas wątpliwości już minął. Podjął decyzję i nie miał zamiaru jej odwoływać.

— Logan — stwierdził Thackeray niemal błagalnym głosem — mylisz się, jak cholera.

— To było z góry ustalone, że oskubiesz go, gdy usiądzie z tobą do gry. Nie miał z tobą żadnych szans.

— To jego rzeczą było się pilnować, nie moją i nie twoją — powiedział Thackeray.

— Chcę je odzyskać w ciągu godziny.

— Nie dostaniesz ich.

— Dobrze — oznajmił Stuart — w takim rasie będę musiał przyjść po ciebie, po upływie godziny.

Wieczór był chłodny, z bystrym powiewem jesiennego wiatru. Mimo to Thackeray uniósł rękę, przejechał czubkami palców po czole i odsunął je mokre. Zdał sobie sprawę, że nagle się spocił i fakt ten zirytował go. Jego oczy, zwykle na wpół przymknięte, teraz były całkowicie otwarte.

— Lepiej trzymaj się z dala od spraw Camrose'a, Logan, zanim pociągnie cię za sobą. — Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest w stanie zmienić zdania Stuarta, więc stwierdził ze smutkiem: — To chyba jednak będzie musiało skończyć się walką — i odwrócił się plecami do niego.

Stuart pozwolił mu oddalić się na dziesięć stóp. Potem rzucił swoją ostatnią uwagę, którą do tej pory sprytnie ukrywał.

— Może lepiej powiem ci jeszcze jedną rzecz. Pieniądze, które on stracił, nie należały do niego. Były moje. Pożyczył je ode mnie w innym celu.

Thackeray odwrócił się gwałtownie, podchodząc z powrotem przyśpieszonym krokiem. Zatrzymał się przed Stuartem i z wyraźną złością powiedział:

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Czemu celujesz człowiekowi w głowę i próbujesz go złamać siłą? Chętnie przywaliłbym ci krzesłem w ten twój gruby łeb! Skoro to twoje pieniądze, to oczywiście, że je oddam.

Stuart położył ciężką dłoń na ramieniu Thackeraya i uśmiechnął się.

— Napijmy się za to.

— Dobry pomysł.

W tym czasie mijali ich ludzie, przechodzący w dół i w górę ulicą, pojedynczo lub parami; teraz, kiedy skręcili razem w stronę knajpy Corsona, Stuart usłyszał, że jakiś człowiek biegnie z dolnej części miasta. Obejrzał się za siebie i zobaczył, jak ten mężczyzna zatrzymuje się oraz dotyka ręką drugiego. Ktoś inny przyciągnął go do siebie i wkrótce zebrała się cała grupa ludzi stojących blisko siebie w kręgu, cicho rozmawiających.

Nie zwrócił na nich uwagi, ponieważ jego spojrzenie przeniosło się na inną scenę, która zainteresowała go o wiele bardziej. Ze sklepu Howisona wyszła pani Lestrade, skręcając w stronę swojego domku, a w tym samym czasie z cienia drzew wyszedł Johnny Steele i uchylił w jej stronę kapelusza. Kobieta zatrzymała się naprzeciw Johnny'ego i coś zaczęli do siebie mówić, po czym Johnny szedł z nią aż do ostatniej szopy na ulicy. Tutaj zatrzymała się ponownie i popatrzyła na niego; chwilę później ruszyła dalej sama, a Steele stał na chodniku, aby ją obserwować. Pierwszą myślą Stuarta było: „Dobry mężczyzna i piękna kobieta. Ale złe posunięcie. Miasto zobaczy je i będą na ten temat plotki”.

Camrose, idąc na wzgórze z rozgorączkowanym z zazdrości umysłem, przypomniał sobie, jak gwałtowne były niektóre kłótnie między Stuartem i Lucy, i przyszła mu do głowy mądra myśl z tym związana: „Jeśli by za sobą nie przepadali, dlaczego mieliby się kłócić?”. Potem przypomniał sobie, jak kończyli te kłótnie i znów zaczynali się do siebie śmiać, co przyniosło mu kolejne bystre spostrzeżenie: „Byli zbyt bliscy sobie, by trzymać się od siebie z daleka. Jaki ja byłem głupi”. Kiedy dotarł na podwórze domu Overmire’ów, przypomniał sobie, jak drwił ze Stuarta, żeby pocałował Lucy. Wtedy go to bawiło, lecz teraz już nie. Ona była w ramionach Stuarta i czuła jego pragnienia. Co się wtedy między nimi działo?

Myśli na ten temat wzmogły jego zazdrosną podejrzliwość, ale nawet obecnie przez cały czas tkwiła w jego duszy głębsza obawa, która nakazywała mu przebiegłość oraz ostrożność. Był w tym mieście sam, a ludzie uważnie go obserwowali; wyczuł, że rozmawiają o nim, kiedy przechodził obok nich. Nie mógł zerwać ze Stuartem, ponieważ Stuart był

jego jedynym wsparciem. I Stuart pozostanie jego przyjacielem tak długo, jak długo Lucy będzie obecna na scenie. Miał już dokładny obraz pozycji Logana Stuarta w tej całej sprawie; to miłość do Lucy sprawiała, że Stuart pozostał jego przyjacielem.

Trójka Overmire'ów siedziała w głównym pokoju chaty i rozmawiała, ale po jego pojawieniu się, umilkli. Zdołał się uśmiechnąć, skłonił się i zobaczył, jak Lucy również odpowiada mu lekkim uśmiechem.

— Martwiłem się o ciebie — powiedział.

— Spójrz na nią — oznajmił Overmire z dumą. — Ma końskie zdrowie.

Była w świeżej sukience, a na jej twarzy nie było widać zmęczenia; wyglądała jak zawsze. Powiedział:

— Dziś jest nieco chłodno. Nie potrzebujesz szala, Lucy?

— Nie. Jest mi ciepło i czuję się dobrze.

— Musiało ci być strasznie zimno i musiałaś się bać.

— Nie było aż tak źle.

Była równie małomówna, jak Logan Stuart; oboje ukrywali swoje wspomnienia. Popatrzył na nią przenikliwie, jego lekki uśmiech skrywał trapiące go prawdziwe uczucia, ona zaś odpowiedziała mu spojrzeniem, które niczego mu nie zdradziło.

Overmire stwierdził:

— No cóż, Lucy jest dobrą pionierką. Nigdy nie mów, że kobieta jest słaba. Poza tym znajdowała się w dobrych rękach.

Pani Overmire wtrąciła:

— Jonasie, mówiłam Postonom, że przyjdziemy dziś wieczorem trochę pogadać.

Overmire uniósł wzrok z chwilowym zaskoczeniem, a potem, odczytując jej życzenia, wstał i wyszedł z nią w ciemności nocy.

— Twoja matka — zauważył Camrose — jest zawsze taka domyślna. Żałuję, że nie udało ci się pojechać do San Francisco. Spróbujesz jeszcze raz?

Pokręciła głową.

— Teraz nie wydaje się to aż tak istotne. — Potem zauważyła zmianę wyrazu jego twarzy i dorzuciła uwagę. — Każda sukienka się nada.

— Ach — powiedział. — Wystraszyłaś mnie. Myślałem, że możesz...

— Nie wracajmy do tego — poprosiła go. — Nie próbujmy wyjaśniać rzeczy, które nie potrzebują żadnych wyjaśnień, ani drążyć spraw, które są wystarczająco oczywiste.

— Być może to mój błąd — zgodził się. Usiadł w ulubionym bujanym fotelu Overmire'a i przyciągnął ją do siebie, a jego zazdrosny umysł wciąż tworzył kolejne obrazy. Ostrzegał sam siebie, lecz napięcie w nim rosło, aż w końcu musiał się odezwać. — Lucy — powiedział — lubisz Logana.

— Logan i ja zawsze byliśmy przyjaciółmi. Nasza trójka była bardzo blisko. To nic nowego, prawda?

— Kiedy mężczyzna i kobieta zostaną rzuceni razem w wir wydarzeń, tak jak wy, mogą odkryć rzeczy, o których wcześniej nie wiedzieli.

— George — odparła, — nie musisz się tym martwić.

Czekał z pełnym napięcia niepokojem, spodziewając się, że będzie mówiła dalej, aby rozwiać jego podejrzenia. Lecz jej zwięzłość była podobna jak u Stuarta, prosta i nieujawniająca niczego. Powiedział:

— Oczywiście zastanawiałem się, co mogło się stać. Widzisz, odkryłem coś na jego temat. Myślę, że on cię kocha.

Wyraz jej twarzy pozostał spokojny, choć wydawało mu się, że stał się chłodniejszy. Siedziała w milczeniu, bez przepływającego od niej do niego ciepła; wydawała się być sama i oddalona od niego.

— Mylisz się.

— Nie sądzę. Ale nie o to mi chodzi. To, co budzi u mnie dreszcz, to myśl, że mogłaś zmienić swój stosunek do mnie. Wiem, że czasami niepokoiłem cię moim zachowaniem, ale nigdy nie było chwili, w której nie myślałem o tobie z dużą intensywnością.

Jej uśmiech powrócił, lekki i bardzo delikatny. Dotknął ją; wróciła do niego z tego odległego miejsca, w którym się znajdowała, i spojrzała na niego z spokojnym i osobistym uczuciem.

— Tak George, sprawiłeś mi przykrość.

— Wiem — powiedział. Potem jego ciekawość wzrosła i dodał: — A w jaki sposób?

— Pamiętasz, jak długie były dni, kiedy się nie widzieliśmy? Jak krótkie były, gdy byliśmy razem? Potem nadszedł czas, kiedy wycofałeś się i zrobiłeś się obojętny, jakbyś kwestionował wszystko co było między nami. Odsunąłeś mnie z dala od siebie.

— Nigdy się nie zmieniłem. Nienawidzę tylko sytuacji, gdy uważasz, że jestem chciwy lub staram się dominować.

— Lepsze to, niż bycie letnim.

— Ach — oznajmił — gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo jestem zdesperowany, jak nieskromne bywają czasami moje myśli...

— Skończmy z tymi pytaniami i wyjaśnieniami. Mam jedną białą suknię. Będzie odpowiednia. Mamy sobotę. Niech ślub odbędzie się w następną sobotę.

Wziął jej dłoń i położył na swoim policzku; był poruszony i przez jedną rzadką chwilę spokorniały.

— Nie będziesz czuła żalu.

— Nikt nie może żyć nie popełniając błędów i bez żalu — powiedziała. — Bądź blisko i trzymaj mnie blisko. Reszta nie ma znaczenia.

Okazał lekkie zatroskanie.

— Popełniłem błąd przyjeżdżając tutaj. Musimy wyjechać gdzieś indziej i zacząć wszystko od nowa. Czy wyjazd byłby dla ciebie aż tak bolesny?

— Będzie bolało — przyznała. — Ale jeśli tak musi być, nie będę narzekać.

Wstał, uśmiechając się i częściowo uspokojony; przywróciła mu trochę pewności siebie.

— Nadal jesteś zmęczona. Zobaczymy się jutro.

Popatrzyła na niego z powściągliwym zainteresowaniem.

— Co sprawiło, że powiedziałeś to, o Loganie?

— To przez coś, co wydawało mi się, że u niego dostrzegam.

— Gdyby tak było, zauważyłabym to na długo przed tobą — powiedziała.

Kiedy tylko opuścił chatę, rozluźniła uścisk w jakim się utrzymywała i poczuła się zmęczona wysiłkiem skrywania swych uczuć przed Georgem. Trudno było ukryć przed mężczyzną pełną goryczy świadomość, że pierwszy wielki napływ miłości minął, pozostawiając po sobie coś mniej niż miłość, lecz coś więcej niż życzliwość. Nie istniało precyzyjne słowo na określenie tego uczucia czy też stanu umysłu, ale było to coś, czym większość kobiet musiała się zadowolić w małżeństwie - wielki i piękny ogień przygasał do kilku ciepłych węgli, które zapewniały pewnego rodzaju komfort, ale nic ponadto.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ona również będzie jedną z tych kobiet, ponieważ na początku była pewna, iż George Camrose posiada wszelkie dary, które ceniła w mężczyźnie.

Zdradzał je jego śmiech, jego sposób patrzenia na nią, jego chwile ciepła i bystrości. Dwa lata temu była tego pewna. To właśnie ta początkowa pewność prześladowała ją teraz i powodowała, że wątpiła we własne instynkty, co sprawiało, iż wciąż trzymała się George'a Camrose'a w nadziei, że kiedyś znów zobaczy w nim to, co kiedyś.

Nie chodziło o to, że działała w pośpiechu, ani o to, że on był jedynym mężczyzną w jej umyśle. Znała Logana Stuarta tak samo długo, jak znała George'a; i od samego początku czuła przyciąganie osobowości Stuarta i szorstki wpływ jego charakteru. Oceniła obu mężczyzn i zaakceptowała George'a. Stuart nigdy jej o to nie poprosił, a teraz, patrząc wstecz, widziała, że odsunął się na bok z przyjaźni do George'a. Stuart darzył George'a Camrose stałym sentymentem i był wobec niego opiekuńczy. Jednak nawet gdyby Stuart ją również poprosił, i tak wybrałaby George'a.

Jak to się stało, że wcześniej nie widziała w nim tego, co teraz tak wyraźnie dostrzegała? Jak to się stało, że wtedy jej nie poruszył, a teraz wstrząsała nią jego bliskość, dźwięk jego głosu i dotyk jego dłoni? Ze wstydem uświadomiła sobie, że teraz tak często myśli o Stuarcie w ten bliski i ciepły sposób, w jaki kiedyś myślała o George'u. Wstrząsnęło to jej wiarą we własne osądy i obniżyło wartość jej uczuć. Od czasu do czasu próbowała dojść wyjaśnienia tej zmiany. Czy to kwestia George’a, który stopniowo się ujawniał, rozczarowywał ją? A może to Stuart, którego wpływ zatarł w niej obraz George'a?

Od dawna zdawała sobie sprawę z tego, co Stuart do niej czuje. Zdradzał się swoim milczeniem, czułością i krótkimi kłótniami z nią. Współczuła Caroline z powodu tego, czego Stuart nigdy nie będzie mógł jej dać, i nienawidziła Caroline za to, co dziewczyna chciała od niego dostać. Zazdrość była uczuciem okrutnym i niestałym. Ale nie mogła zmienić swojej lojalności tak, jak zmienia się sukienkę. W życiu musiały istnieć stanowcze reguły, której należało przestrzegać, ale czasami trzeba było iść na kompromisy i zapominać o mniejszych lub większych tragediach. Zdobywszy George'a Camrose'a, zatrzymała go i czekała, aż powróci między nimi dawne uczucie. Logan zamknął ostatnią szansę dla nich obojga, by rozwiązać to inaczej. Pomyślała: „Gdybyśmy tylko mogli zacząć od nowa”, i wyrzuciła z umysłu to ulotne i daremne życzenie.

Rozdział XII
Decyzja obozu

Kiedy Stuart, po wypiciu drinka z Thackerayem, opuścił lokal Corsona, na ulicy wciąż widać było niewielką grupkę ludzi. Rozpoznał sześciu ze zgromadzonych, skinął im głową, a w szczególności Joemu Harmsowi i Johnny'emu Steele'owi, po czym poszedł do swojego sklepu. W pokoju za sklepem wsunął za pasek spodni rewolwer, chwycił strzelbę i wyszedł w ciemność tylnym wyjściem. Poszedł prosto do swojej stodoły, osiodłał konia i wkrótce wyjechał z miasta.

Obserwował w sobie ostatnio większą niecierpliwość oraz skłonność do gniewu i podejrzewał, że było to spowodowane zerwaniem ze starymi, prostymi i łatwymi elementami życia, które tak bardzo sobie cenił. Odarcie przyjaźni z Camrose'em z resztek tolerancji i szczodrości, dokopanie się do tego, co leżało u jej podstaw, i w końcu odkrycie, że był to dosyć tandetny materiał, było ponurą rzeczą. Stanowiło to zaprzeczenie wszystkich ciepłych impulsów, które wspierały psychikę człowieka i czyniły go dobrym.

Takiego człowieka chronił i takiego człowieka miała poślubić Lucy. „Poprowadzi ją przez czterdzieści lat kłopotów i co ona będzie z tego miała?”. Nie było jednak sposobu, aby zmienić serce kobiety. Camrose był mężczyzną, którego sobie wybrała, a jej pragnienia były zbyt silne, aby je zmienić. Przypomniał sobie słodycz jej uśmiechu i poczuł pewny dotyk jej warg na ustach, po czym gwałtownie popędził konia i pogalopował drogą.

Zobaczył przebijające się przez wierzby nad potokiem światło, dolatujące z chaty Bragga. Pomyślał: „Ten człowiek jest głupcem, że się tu kręci” i ogarnęło go gniewne uczucie. Pięćdziesiąt stóp od chaty zsiadł z konia i poprowadził go w głąb drzew; zatrzymał się na chwilę, aby przyjrzeć się terenowi przed chatą, który był z grubsza widoczny w słabym świetle księżyca. Na podwórzu stał koń, a z chaty dochodziły czyjeś głosy - jeden ciężki, drugi łagodniejszy i bardziej metaliczny. To oznaczało, że w środku znajdowały się dwie osoby.

Przeszedł przez podwórze i podszedł do drzwi chaty. Zostawił swój karabin w futerale przy siodle; stanął pewnie na nogach, z wyciągniętym rewolwerem w jednej ręce, i drugą, wolną, wysuniętą w stronę drzwi. Nagle podniósł zatrzask drzwi i otworzył je; przez chwilę spoglądał na dwóch mężczyzn, których głosy słyszał na zewnątrz. Obaj - Bragg i Lestrade - siedzieli przy stole pośrodku pokoju, między nimi stała lampa, a jej światło padało na nich. Ich brwi uniosły się zgodnym ruchem, w zaskoczeniu pojawieniem się intruza, i to Lestrade zareagował jako pierwszy. W mgnieniu oka jego dłoń powędrowała na stół i strąciła lampę.

Bragg zerwał się z krzesła i rzucił w bok w tej samej chwili gdy zgasło światło.

Stuart wystrzelił w stronę przemykającego w ciemności kształtu i usłyszał, jak kula uderza z trzaskiem o przeciwległą ścianę. Przez drzwi buchnął zapach rozlanej nafty, któremu towarzyszył posłany w odpowiedzi pocisk. Echo wystrzału potężnie huknęło we wnętrzu niewielkiej chatki. Stuart wystrzelił ponownie, odsunął się kroczek w bok, i usłyszał potężną wiązkę przekleństw Bragga. Obaj znajdujący się w środku ludzie zaczęli do niego strzelać, z nieumiarkowanym pośpiechem; przyciśnięty do ściany domku słyszał, jak ich stopy szurają bez przerwy tam i z powrotem po twardej, brudnej podłodze. W pewnej chwili usłyszał, jak jego przeciwnicy zderzają się, i sapią wskutek uderzenia. W efekcie tego wypadku Bragg najwyraźniej musiał uderzyć Lestrade'a w przypływie nagłej, bezmyślnej wściekłości, ponieważ do uszu Stuarta doleciał podniesiony, pełen pasji i gniewu, głos Lestrade'a.

— Zabierz te swoje przeklęte, brutalne łapska z dala ode mnie!

Stuart rzucił szybkie spojrzenie do tyłu, przepatrując mroki nocy w poszukiwaniu innych ludzi, którzy zawsze trzymali się blisko Bragga. Nie dostrzegł niczego alarmującego, więc stał twardo na swoim miejscu, a rosnący gniew nieustannie pobudzał go do akcji. Złapał ich w pułapkę, lecz nie mógł się do nich dostać. Zawołał na nich:

— Wyłazić stamtąd!

— Stuart! — To był głos Lestrade'a, wzmocniony przez strach. — Stuart, na miłość boską, wypuść mnie! Wstrzymaj ogień!

— Obaj wyjdźcie — oznajmił Stuart.

— Wstrzymaj ogień.

— Uciekaj — polecił Stuart. — Przepuszczę cię.

Obaj przestali się poruszać. Słyszał sapiący świst ich podekscytowanych oddechów; słyszał ich szepty. Przysuwając się do krawędzi drzwi, oddał strzał do wnętrza chaty i natychmiast cofnął się z powrotem za ścianę. Lestrade wydał z siebie przeraźliwy krzyk protestu.

— Ja nie biorę udziału w tej walce! Logan, pamiętaj o Marcie. — Szuranie stóp rozległo się ponownie, zaś w głosie Lestrade'a słychać było panikę i drżenie. — Bragg… skończ z tym! Puszczaj!

Stuart odsunął się nieco dalej od chaty, nie rozumiejąc, co się tam dzieje. Wydawało się, że Bragg stracił głowę i zaatakował swojego partnera. Lestrade krzyczał na cały głos, po czym krzyk ten przeszedł w zdławione ułomki słów.

W drzwiach pojawił się masywny cień, w który Stuart natychmiast wycelował rewolwer. Wstrzymał jednak ogień, zdziwiony, ostrożnie wyczekując. Cień, jaki się pojawił w drzwiach, był na tyle gruby by mogło tworzyć go dwóch ludzi, a gdy wysunął się przed drzwi, Stuart odkrył, że faktycznie było to dwóch ludzi. Wtedy Lestrade krzyknął:

— Jestem na przedzie, Logan. Nie strzelaj!

Tkwił w żelaznym uścisku ramion Bragga, wołając, przeklinając i szlochając, podczas gdy ten ostatni wycofywał się pod jego osłoną w kierunku narożnika chaty. Nagle Bragg puścił Lestrade'a i między dwoma ludźmi miał miejsce jakiś nie do końca widoczny ruch, a przez nocne

ciemności do uszu Stuarta doleciało echo głuchego, drewnianego uderzenia. Jeden z kształtów upadł. Stuart wystrzelił do kształtu wciąż pozostającego na nogach, który uciekał w kierunku krańca ściany chaty. Nie trafił. Warknął na siebie i wystartował w stronę narożnika, za którym schronił się Bragg; po chwili zahamował, obrócił się i pobiegł do drugiego końca ściany budynku. Dotarł do niego i obszedł chatę od tyłu. Przeszedł wzdłuż niej, skręcił za kolejny róg i znalazł Bragga wycofującego się do pobliskiego lasu. Strzelił w jego stronę i zobaczył, że Bragg podskakuje, jakby został trafiony. Bandyta obrócił się, wydając z siebie potężny nieartykułowany wrzask; odpowiedział ogniem, rzucił w zarośla i przedarł się przez nie, na ślepo przebijając się ciałem.

Stuart podążył tropem tego hałasu przez zarośla, by nagle stwierdzić, że jego przeciwnik zamarł w bezruchu, gdzieś w kompletnej ciemności. Bragg, zwierzęco przebiegły, stał bez ruchu w swojej kryjówce. Znajdował się niecałe dwadzieścia stóp od niego, co zdradzał jego ciężki, dyszący oddech. Stuart obracał głowę, starając się złapać namiar na to źródło dźwięku; zrobił dwa kroki naprzód, przerywając w ten sposób ciszę i zdradzając swoją pozycję. Bragg tylko na to czekał i w jednej chwili potężny bandyta rzucił się na niego z pełną szybkością. Stuart odsunął się delikatnie na bok. Wciąż nic nie widział, lecz gdy Bragg mijał go o metr, podniósł broń i oddał ostatni strzał z rewolweru.

Znów chybił. Tymczasem Bragg, po nieudanym ataku z zaskoczenia, nie zatrzymał się; rozpęd niósł go coraz głębiej w las. Odgłosy ruchu jego ogromnego cielska robiły się coraz słabsze, a po chwili zupełnie ucichły, gdzieś w gęstwinie lasu. Stuart, skierował się w stronę chaty i z obrzydzeniem, przykucnął nad leżącą postacią Lestrade'a. Przejechał dłonią po twarzy Lestrade'a, dotknął jego głowy i cofnął rękę. Ten człowiek był martwy.

Złapał Lestrade'a za ramiona i odciągnął go dalej od chaty, po czym wszedł do środka, zapalił zapałkę i rzucił ją na rozlaną z lampy naftę. Patrzył, jak niebieski płomień bucha w górę i pełznie po podłodze w stronę ściany z bali; obserwował, jak chwyta ścianę i migocze wzdłuż rozlanej tam strugi nafty. Blask robił się coraz jaśniejszy, w miarę jak ogień przybierał na sile. Kiedy Stuart nabrał pewności, że płomienie już nie zgasną, wrócił do konia i ruszył w stronę Jacksonville.

Z niewielkiego wyższego punktu na drodze wojskowej, obejrzał się do tyłu i w dół, na rosnącą łunę pożaru, kontemplując ten widok z milczącą satysfakcją. Lecz przepełniający go zjadliwy gniew, pozostał. Coraz bardziej narastało w nim poczucie nie do końca wykonanej roboty. Dobrze znał następny ruch Bragga, wierząc, że wie, co ten wielkolud zrobi: zaszyje się gdzieś dalej, w pobliżu rzeki, i będzie czekał na kolejną okazję do ataku. Stuart postanowił, że jutro wyruszy wzdłuż rzeki w poszukiwaniu Bragga.

Mała grupka ludzi obserwowała, jak Stuart wraca do swojego sklepu. Widząc go, Joe Harms stwierdził:

— Musimy na niego uważać. Może stanąć przeciwko nam.

— Chodźmy, do mojej chaty — zaproponował Steele.

Grupa, licząca teraz dziesięciu ludzi, po cichu podążyła na tylny skraj miasta; kiedy dotarli do chaty Johnny'ego Steele'a, było ich już dwunastu i z trudem zmieścili się w ciasnych ścianach chaty Johnny'ego. Johnny spytał:

— Gdzie jest Camrose?

— Na górze, u dziewczyny.

— Trochę się bałem, że coś zwęszy i ucieknie.

— Nie było chwili, żebym go spuścił z oczu — odparł Harms. — Nadszedł czas, aby go zabrać.

— Musimy to zrobić po cichu — powiedział Steele. — Pójdziemy do niego do biura i poczekamy aż tam przyjdzie.

Harms zauważył:

— Będziemy mieli kłopoty ze Stuartem.

Dick Horeen pokręcił głową.

— Nie, jeśli wie, że Camrose to zrobił.

Był jedyną osobą, która w uwierzyła w swoje słowa.

— Nie znasz Stuarta — odparł Johnny Steele. — Musimy być na to gotowi. Chodźmy już.

Opuścili chatę i zatoczyli szerokie koło wokół miasta, docierając w końcu do stodoły Howisona; weszli za budynek biura Camrose'a, w którym nie paliły się żadne światła. Johnny Steele delikatnie spróbował nacisnąć na klamkę drzwi od tyłu. Drzwi otworzyły się przed nim. Powiedział:

— Harms i Horeen - wejdźcie tu ze mną. Reszta niech trzyma się w ciemnościach. Może niech któryś z was nich zostanie na ulicy i wypatruje jego nadejścia.

Jeden z grupy już o tym pomyślał, i teraz właśnie szybko wracał.

— Idzie w tę stronę.

— No dobrze — powiedział Steele i wraz z dwoma partnerami wszedł do pokoju na tyłach i zamknął za nimi drzwi. Steele powiedział w ciemności: — Rozstawcie się wzdłuż ściany.

W zamku drzwi wejściowych zgrzytnął klucz i do biura wszedł Camrose, zamknął po ciemku drzwi i powoli przeszedł przez środek pomieszczenia. Wkrótce ciemności rozdarł płomień zapałki i cienki snop światła z zapalonej lampy prześlizgnął się przez częściowo otwarte drzwi między pokojem na tyłach a frontowym pomieszczeniem. Żaden z górników nie był w stanie obserwować Camrose'a, ale wyglądało na to, że ten ostatni otwierał firmowy sejf, ponieważ usłyszeli klikanie bębenków i jęk ciężkich zawiasów. Po tych odgłosach nastąpiła chwila ciszy, po czym zawiasy znów jęknęły. Camrose wziął lampę i podszedł do drzwi. W tym momencie drzwi otworzyły się przed nim i zobaczył znajdujących się w środku ludzi.

Johnny Steele polecił:

— Nie ruszaj się, George.

Camrose spoglądał na nich i nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego. Tak właściwie, to roztaczał wokół siebie atmosferę rosnącego rozbawienia, jakby w tej całej sytuacji krył się jakiś żart. Trzymał lampę stabilnie, nie zdradzając oznak zdenerwowania, i na chwilę

Johnny Steele zwątpił we własne podejrzenia. Ten człowiek był albo wyjątkowo zimny, albo miał czyste sumienie. Po chwili Steele zrozumiał, dlaczego Camrose zachowywał taki spokój.

— Chłopcy — stwierdził Camrose — jesteście bandą głupców. Rabunek w tym obozie, to trudna rzecz. Możecie pokonać wzgórza, ale będziecie ścigani i zostaniecie złapani.

— Ale czemu, do jasnej cholery — oznajmił z oburzeniem Joe Harms, — bierzesz nas za złodziei?

— A więc, co tu robicie? — spytał Camrose.

Johnny Steele wyciągnął do przodu rękę i wyjął lampę z rąk Camrose'a, pozbawiając go w ten sposób potencjalnej broni. Postawił lampę na małym stoliku w pokoju.

— Wiesz, po co tu jesteśmy — odparł.

Odgłosy rozmowy przywołały z ciemności na zewnątrz pozostałych dziewięciu ludzi, po czym spostrzegawczy Johnny Steele zobaczył, jak oczy Camrose'a wyostrzają się i rozbiegają na boki. Spojrzenie Camrose'a przemknęło po całej grupie; normalny rumiany kolor zniknął z jego twarzy, swobodna arogancja zniknęła, a jego policzki stały się blade jak kość słoniowa, zaś na ciężkich wargach pojawiło się coś w rodzaju grymasu odrętwiałego obrzydzenia. Steele nie miał już wątpliwości; ten człowiek był winny. Cała ta sprawa była żałosna, ale świadomość, że nie popełniają błędu, była dużą ulgą.

— Dziś wieczorem postawimy tu straż — oświadczył — a jutro odbędzie się sąd górniczy. McIver miał wielu przyjaciół i może pojawić się jakiś pomysł szybkiej akcji. Zapewniamy cię, że tak się nie stanie. Będziesz miał uczciwy proces.

— Chłopcy — wyjęczał Camrose zupełnie do niego niepodobnym tonem — co macie przeciwko mnie?

— Wystarczy, że spojrzysz w głąb siebie, a znajdziesz odpowiedź.

— Nie — powiedział Camrose. — Co macie na mnie, do pokazania?

— Pokażemy to na rozprawie — odparł Steele. Zauważył, że ciało podejrzanego napięło się, a w jego oczach pojawiło się ostrzejsze światło. Zrobił krok do przodu, szybko wsunął ręce pod poły płaszcza Camrose'a i cofnął się z jego bronią w ręku. — O tym właśnie myślałeś, co, George?

Camrose wzruszył ramionami.

— Baw się dobrze, Johnny.

— Posłuchaj — burknął Steele — nie podoba mi się ta robota. Byłem twoim przyjacielem.

— Mój Boże, Johnny — powiedział Camrose — nawet nie wypowiadaj tego słowa. — Spojrzał z pogardą i niesmakiem na Harmsa. — Należy wam pogratulować, panowie, towarzystwa, w jakim się obracacie. Na przykład ten człowiek. Ten chudy osobnik o krzywym spojrzeniu, który nienawidzi wszystkiego, co jest od niego większe, i dlatego nienawidzi całego świata. Chętnie bym zobaczył jego duszę, odsłoniętą przed wami. Byłoby wam wstyd za ludzką rasę, gdybyście ujrzeli jego małość, jego kose spojrzenia, jego rozedrgany strach, jego podstępną, skradającą się, pełzającą przebiegłość. Oto łasica pod postacią człowieka, używająca pazurów, by brudzić szaty lepszych od siebie, kiedy przechodzą obok. On

nie należy do was. Nie pasuje do żadnego towarzystwa i wie o tym, siedzi z boku na swoim pudełku i nienawidzi tego miasta oraz nigdy nie przestaje używać swojej złośliwości przeciwko niemu. Mógłby być niebezpieczny, gdyby miał odwagę, ale on jej nie ma. Gdybyście go uderzyli, wzdrygnąłby się tylko, ale na zawsze by was znienawidził i knuł przeciwko wam. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście to nie jemu kazali mu mnie tu pilnować.

Joe Harms wbił spojrzenie w Camrose'a, a gdy zapadła cisza, spuścił głowę, a na jego twarzy pojawił się lekki rumieniec. Zapadła dziwna cisza, którą trudno było przerwać i nikt nie stanął w obronie Harmsa. W końcu Steele odchrząknął.

— Wezmę pierwszą wartę z Abramsem, Cooneyem, Geddesem i Joe Smithem. Reszta wróci o północy.

Gdy pozostali wyszli, Steele zauważył, jak spokojny stał się Camrose; był to zrezygnowany spokój człowieka, który stracił przeważającą część nadziei.

O czwartej rano Stuart wstał, by się ogolić, przygotować śniadanie i spędzić trochę czasu przy biurku Clenchfielda, podczas gdy odgłosy budzącego się miasta wdzierały się w cuchnącą ciszę sklepu, a wschodzące światło poranka przełamywało szare mroki. Słońce już świeciło i ulicą chodzili ludzie, zawzięcie rozmawiając. Wszedł Clenchfield, zrzędliwy i małomówny. Przeszedł przez pół pokoju i, przyciągnięty przez coś na zewnątrz, zawrócił na ulicę. Stuart był tylko na wpół świadomy tego wszystkiego, ponieważ zmagał się z własnymi problemami. Wtedy Clenchfield wszedł ponownie i w milczeniu odwiesił płaszcz i kapelusz. Stuart powiedział:

— Ile mamy w sejfie, Henry?

— Tysiąc w złocie.

— Myślę, że pojadę do The Dalles po muły.

— Acha — przytaknął Clenchfield. — Kiedy chcesz wyjechać?

— Nie dziś i nie jutro. Najpierw wybieram się na polowanie.

— Polowanie na Bragga — wtrącił Clenchfield.

Stuart usłyszał narastający gwar rozmów na wschodnim krańcu miasta, a Clenchfield zdawał się na coś czekać.

— Co ci tam chodzi po głowie, Henry?

— Nie słyszałeś nowin? — spytał Clenchfield. — Świat się dzisiaj trzęsie, Logan. Twój świat zatrzęsie się najmocniej. Zamknęli Camrose’a.

Stuart szybko odparł:

— Nic mu nie będzie, Henry. Nie brakuje mu pieniędzy w kasie. Jego rachunki się zbilansują. Kto go zamknął? To przeklęte miasto zbyt szybko się ekscytuje.

— Morderstwo jest rzeczą, którą trudno zbilansować — stwierdził Clenchfield. — Morderstwo Macka McIvera.

Stuart rzucił mu najsurowsze spojrzenie, jakie Clenchfield kiedykolwiek otrzymał od jakiegokolwiek człowieka. Szybki i bezkompromisowy gniew przełożonego, zaniepokoił go. Wiedział, że Stuart tak to odbierze, nie

wierząc w zło swojego przyjaciela i broniąc go. Jeśli miasto będzie przeciwko Camrose'owi, Stuart będzie przeciwko miastu. W tej sprawie nie było dla niego kompromisów.

— Odbędzie się sąd — powiedział Clenchfield. — Zostanie sprawiedliwie wysłuchany.

— Niech szlag trafi ten tłum. Kto to wszystko rozpętał?

— To była sprawa, nad którą pracowali Steele i Joe Harms.

Stuart stał bez ruchu, jego umysł pracował w sposób, jaki Henry Clenchfield tak dobrze rozumiał. W głowie Stuarta nie pojawił się żaden cień podejrzenia, a jedynie poczucie niesprawiedliwości, jaka spotkała Camrose'a. Nie miał zamiaru pozwolić, aby ta sprawa potoczyła się swoim własnym, uporządkowanym torem. Był partyzantem, szorstkim wojownikiem, który sam dbał o własne krzywdy i niesprawiedliwości, i zajmie się Camrosem. Rozmyślał o działaniach i to już teraz. Znalazło to odzwierciedlenie w nagłym zwrocie, jaki wykonał w kierunku drzwi.

Zatrzymał się, zanim jeszcze do nich dotarł; w tym momencie bowiem do środka weszło kilkunastu mężczyzn, na czele z Johnnym Steele'em i Joe Harmsem.

— Czego tu, do cholery, chcecie? — warknął Stuart.

Steele nie był zaskoczony; spodziewał się takiej reakcji i starannie się na nią przygotował.

— Logan, tak się nie rozmawia z przyjacielem.

— Nie uważam cię już za przyjaciela — oznajmił bez ogródek Stuart.

Steele wzruszył ramionami.

— Przykro mi, że trzeba to tak rozegrać. McIver był moim przyjacielem i będę walczył o moich przyjaciół tak samo, jak ty walczysz o swoich. Rozumiesz to, prawda?

— Trochę późno mi o tym mówisz.

— Złożenie wszystkiego do kupy zajęło nam trochę czasu — powiedział Steele. — Tu obecny, Harms…

— Harms — przerwał mu Stuart — już dawno powinien zarobić kulkę w łeb za podglądanie przez dziurkę od klucza.

Harms zarumienił się i rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu wsparcia, ale żaden z pozostałych mężczyzn nie wydawał się być skłonny do pośpieszenia mu z pomocą.

— No cóż — oznajmił Steele — to nieprzyjemna sprawa. Ale musimy zorganizować w tej sprawie sąd i potrzebujemy dużej sali. Twój sklep jest największy, Logan. Skorzystamy z niego.

— Nie — odparł Stuart. — Nie pozwolę, by sądzono tu moich przyjaciół.

— Chwileczkę — powiedział Steele, robiąc się coraz bardziej uparty. — Nie możesz sprzeciwić się miastu. Mamy prawo przejąć to, czego chcemy.

— A kto wam dał takie prawo? — dopytywał się Stuart.

— Jeśli nawet nie mamy prawa w tej konkretnej sprawie, stworzymy je na miejscu. Byłeś w obozach górniczych wystarczająco długo, by to wiedzieć. Skorzystamy z tego miejsca.

— Mylisz się, Johnny.

Steele powiedział, ciągle starając się zachowywać ugodowo:

— Nie możesz sprzeciwić się miastu. Ono ma rację, a ty się mylisz. W każdym razie jest dla ciebie zbyt silne.

— Nie było takie silne, kiedy Bragg chodził po tej ulicy i kopał was, chłopcy, jak mu się podobało. Nie stworzyliście wtedy żadnych komitetów, Johnny. Wszyscy obracaliście głowy w inną stronę.

W drzwiach zebrało się więcej ludzi, aby przyglądać się tej scenie; Jacksonville, kochające dramatyzm, bardzo dobrze rozumiało dramatyzm sytuacji. Steele wzruszył ramionami.

— To co innego.

— Różnica polega na tym, że uważasz, iż Camrose nie może cię skrzywdzić, więc jesteś odważny i pełen prawości. Gdyby pojawił się Bragg, uciekli byście jak nędzne szczury.

Steele zarumienił się, ale twardo obstawał przy swoim.

— W tym obozie zawsze byłeś po właściwej stronie. Z niechęcią patrzę, jak tym razem stajesz po złej.

— Nie jestem w błędzie, dlatego że jestem sam. Miasto nie ma racji, tylko dlatego, że ma przewagę liczebną. Człowiek, który dołącza do stada, bo boi się być poza nim, jest cholernie żałosny. Miasto nie dołączyło do mnie, gdy pojawił się Bragg. Nie przyłączę się do niego teraz, gdy wszyscy jesteście pijani ideą czerpania przyjemności z cierpienia innych.

Steele, ugodowy i spokojny w większości spraw, nie mógł wycofać się ze swojego stanowiska. Studiował w myślach rzucone mu wyzwanie, powoli dochodząc do jakiejś decyzji w tej sprawie; i powoli usztywniał się w oczekiwaniu na nieprzyjemne konsekwencje tej decyzji. Dick Horren rozładował napięcie i odsunął zagrożenie.

— Nie ma sensu się kłócić — stwierdził. — Są inne miejsca. Knajpa Corsona wystarczy. Chodźmy.

Johnny Steele odetchnął z ulgą i powiedział:

— Bez urazy, Logan.

Stuart spojrzał na niego z lekkim uśmiechem.

— Kiedy skończymy walczyć, Johnny, będę cię kochał jak brata. Ale w trakcie walki, połamię ci każdą kostkę w ciele, jeśli będę musiał.

Joe Harms, długo milczący, odważył się teraz na uwagę.

— Nie masz prawa…

Stuart zrobił dwa kroki do przodu, uderzył tego człowieka w ramię na tyle mocno, że obróciło go o pół obrotu. Chwycił Harmsa za ramię i spodnie, podniósł go i wyrzucił prosto przez zatłoczone drzwi. Harms przeleciał przez nie, a upadając, pociągnął za sobą paru kolejnych ludzi. Przez chwilę słychać było zirytowane przekleństwa, gdy przechodzili z powrotem przez drzwi. Potem Harms podniósł się i wyciągnął w stronę Stuarta pięść. Stuart przyglądał się tym ludziom z szelmowskim uśmiechem; widział, jak wahają się między gniewem i sympatią do niego, a jego uśmiech poszerzył się, gdy wyszli na dwór. Przeszedł przez drzwi razem z nimi i ruszył obok nich w kierunku podnóża ulicy.

Zobaczył krąg ludzi wokół biura Camrose'a, wszyscy byli uzbrojeni, a kiedy podszedł do przodu, zauważył, że krąg się zacieśnia. Johnny Steele szedł za nimi i dobiegł go ostry głos przywódcy komitetu.

— Nie tak szybko, Logan. Masz przy sobie broń?

— Nie — odpowiedział Stuart.
Steele polecił:
— Wpuścić go do środka — i strażnicy przy drzwiach odsunęli się, aby przepuścić Stuarta.
Stuart zamknął drzwi i przeszedł do pokoju na tyłach. Camrose leżał na łóżku, usłyszał kroki Stuarta, ale nie podniósł się ani nie spojrzał na niego. Mówiąc, wpatrywał się w sufit.
— Tak myślałem, że przyjdziesz. Jak myślisz, do czego to doprowadzi?
— Chłopcy szukają miejsca na sąd.
— Oskarżenie o morderstwo wymaga procesu przed właściwym sędzią i ławą przysięgłych. Ta sprawa to żart - cholernie kiepski żart.
— Chłopcy chcą to załatwić w ten sposób. Jeśli będą w stanie udowodnić ci zarzuty, możesz zostać zatrzymany do właściwego procesu. Jeśli nie, wypuszczą cię i zapomną o sprawie. — Spojrzał na Camrose'a, po czym dodał: — Ale nie przywiązuj się do tej myśli. Po kilku kolejnych drinkach chłopcy dopilnują, by wszczęto przeciwko tobie postępowanie.
— W takim wypadku — zauważył Camrose — nie będę mnie trzymać do właściwego procesu. Przyjdą w środku nocy, zabiorą mnie i powieszą.
— Tak jest — potwierdził Stuart.
Camrose leżał nieruchomo z ręką na oczach. Powiedział delikatnym, lecz stanowczym tonem:
— Jak zamierzasz mnie z tego wyciągnąć?
— Zdejmij rękę z twarzy i spójrz na mnie.
Camrose cofnął rękę i usiadł prosto na brzegu łóżka. Uniósł głowę, ukazując Loganowi parę przekrwionych oczu. Potrzebował golenia i zaczerpnięcia świeżego powietrza; wyglądał na półprzytomnego.
— Wyglądasz jakbyś był cholernie pijany — stwierdził Stuart.
— Tak — odpowiedział Camrose. — Między północą a śniadaniem wypiłem kwartę whisky. To było za mało. Dwie kwarty byłyby o niebo lepsze.
— Nie odwracaj ode mnie wzroku. Zabiłeś go?
— Nie — odpowiedział Camrose.
Stuart przyglądał się fizjonomii człowieka, który tak długo był jego przyjacielem, przypominając sobie wszystkie odcienie i zmiany wyrazu twarzy, które Camrose zwykł ujawniać i ukrywać. Szukał prawdy w tym rozczochranym, na wpół bladym obliczu. W siedzącym przed nim człowieku widać było tępą obojętność, fatalizm, który odciął jego witalność i położył się cieniem na jego duchu. Dziwnie było na coś takiego patrzeć.
— I jak? — powiedział Camrose — Jesteś przekonany?
— Jakie mają dowody? — spytał Stuart. — Co mogą pokazać?
— On trzymał u mnie pieniądze. Odebrał je w noc swojej śmierci. Uważają, że ich nie zabrał. Myślą, że zabiłem go, bo ich potrzebowałem.
— To nie wystarczy — powiedział Stuart. — Jakie mają dowody? Zastanów się dobrze. Czy możesz udowodnić, że przekazałeś mu te pieniądze? Możesz udowodnić, gdzie byłeś tamtej nocy? Przez część czasu byłeś ze mną. Wyszedłeś ze sklepu około dziesiątej. Dokąd poszedłeś?
— Do Lestrade'a.
Stuart pokręcił głową.

— On ci nie pomoże. Nie żyje.

— Słyszałem o tym — powiedział Camrose. — Słyszałem, że byłeś wczoraj u Bragga. No cóż, to pewnie trudne dla Marty. I w pewnym sensie takie jest. Lecz w pewnym sensie wcale nie. Nie było go tam, kiedy byłem u niego w domku. Ona była. Może to poświadczyć. Byłem tam około północy.

— No dobrze — stwierdził Stuart z irytacją. — Byłeś sam z Martą Lestrade o północy. Jak myślisz, jak to zabrzmi w obozie? — Wpatrywał się w Camrose'a z rosnącą podejrzliwością. — Co tam robiłeś? Czy jest coś między tobą a Martą?

— Nie podoba mi się, że wtrącasz się w moje prywatne sprawy, Logan.

— Więc może powinienem pozwolić ci zająć się tym samemu — oznajmił Stuart bez ogródek.

— Nie bądź taki drażliwy. Między mną a Martą nic nie ma.

— Zastanów się dobrze — powiedział Stuart. — Pomyśl o wszystkim, co zrobiłeś tamtej nocy, przed wizytą u niej i po niej. Skoncentruj się na tym. Czy jest coś, co mogą wykorzystać przeciwko tobie? Johnny Steele nie jest głupcem. Co takiego zrobiłeś, że jest pewien twojej winy?

— Nie mają żadnego dowodu.

— Nie potrzebują dowodów. Wszystko, czego potrzebują, to dwie lub trzy rzeczy, które wyglądają na zupełnie śmieszne. Połączą je razem i uznają cię za martwego. A co z Harmsem?

— Cholerny Harms — warknał Camrose, po raz pierwszy podczas całej tej rozmowy wykazując się energią. — Nienawidzę tego małego tchórzliwego psa. Ktoś powinien go zastrzelić. Ktoś w końcu to zrobi. — Zamilkł z półprzymkniętymi oczami, a w końcu dodał z ponurą niechęcią: — Oni nie mają niczego, co mógłby użyć przeciwko mnie.

Stuart wsłuchiwał się w ton jego głosu, przyglądał się biernej i odrętwiałej twarzy i wątpił, czy mówi prawdę. Oto człowiek, którego wydawało mu się, że dobrze zna; a jednak był to człowiek, którego nie znał wcale. Były w jego duszy ciemne zakamarki skrywające dziwne cechy, których lepiej było nie dostrzegać. Z przyjaźni obdarzył George'a pewnego rodzaju charakterem, który chciał, aby posiadał; teraz widział, że była to jedynie iluzja, którą sam sobie stworzył. Camrose był człowiekiem innego rodzaju niż myślał i niebyt mu się to podobało. Nie robiło mu to jednak różnicy; był z Camrosem związany.

— Wyglądasz jak zbity pies — burknął. — Zachowujesz się i mówisz jak zbity pies. Co się z tobą dzieje, do cholery?

— Doprowadzili mnie do ruiny, będę musiał opuścić obóz. Niezależnie od tego co się stanie, to się będzie za mną ciągnęło. Takie rzeczy zawsze się zdarzają.

— Słyszałem od ciebie wiele dumnego gadania — powiedział Stuart — ale najwyraźniej nic ono nie znaczy. Nigdy nie musiałeś walczyć, i teraz nie wiesz jak. Wstań i zacznij zmagać się ze swoimi problemami.

— Logan — poprosił Camrose — wyciągnij mnie z tego.

Stuart pokręcił głową, nie nad tą prośbą, ale nad swym ostatecznym osądem Camrose'a. Kiedy człowiek śmiał się z zasad gry i marzył o tym, by stać się wielkim, łamiąc je, musiał ponieść konsekwencje, kiedy

przegrywał; musiał być tak samo twardy, kiedy zasady łamały jego, jak wtedy, gdy on łamał zasady. Lecz Camrose nie miał w sobie tej twardości. Potrafił grać tylko po zwycięskiej stronie gry; nie potrafił grać po stronie przegranej.

To był koniec człowieka, który rzucał wyzwanie światu. Przykro było na to patrzeć.

— Wyciągnij mnie z tego, Logan — powtórzył Camrose przyśpieszonym głosem.

— Zobaczę, co się da zrobić — odparł Stuart i odwrócił się do drzwi.

Camrose zawołał go dosyć ostrym tonem, a gdy Stuart się odwrócił, zobaczył swojego przyjaciela stojącego prosto na środku pokoju, wychudzonego, lekko chwiejącego się na nogach, z włosami opadającymi na czoło. Zniknęło jego męstwo i śmiech, nie pozostawiając nic godnego podziwu.

— Byłem przyjacielem, gdy była dobra pogoda — oznajmił. — Teraz pozwolisz im mnie rozszarpać. — Popatrzył na Stuarta z narastającym cynizmem. — Zniknę ci z drogi. To ułatwi ci sprawę, prawda?

Stuart pokręcił głową i wyszedł z pomieszczenia. Przed budynkiem stali strażnicy, zwróceni twarzą w stronę rosnącego tłumu; a Lucy właśnie z niego wychodziła. Spojrzała na Stuarta, nie mówiąc ani słowa, a on skinął jej krótko głową i poszedł ulicą do sklepu. Usiadł na stosie pudeł, napełnił i zapalił fajkę, usiadł nachylony do przodu, z rękami na kolanach, pochłonięty problemem, który wydawał się nie mieć odpowiedzi.

Ludzie przesuwali się w stronę knajpy Corsona, a chwilę później do sklepu weszła Lucy. Odłożył fajkę i spojrzał na nią; był bardzo ciekaw jej uczuć w tej sprawie, lecz nie dostrzegł w jej twarzy niczego szczególnego. Powiedziała tonem łagodnego zaskoczenia:

— Obóz nie lubi George'a. Nigdy przedtem o tym nie wiedziałam. Ci ludzie zamierzają go powiesić. Widzę to. Co zrobisz?

— A co powinienem zrobić? — spytał.

— Siedzisz na tym swoim pudle i próbujesz coś wymyślić. Znam cię lepiej niż kogokolwiek innego. Chciałbyś zburzyć ten budynek i wypuścić go. Widać to wyraźnie po twojej twarzy. Twoje myśli krążą w górę i w dół, tam i z powrotem, we wszystkie strony. Szukasz sposobu. Nie muszę tego mówić, ale i tak to zrobię. Zrób, co tylko zdołasz. Proszę o to z pewnego konkretnego powodu.

— Dobrze znam ten powód — powiedział.

— Nie — odparła, — myślę, że nie znasz. — Stała jeszcze chwilę, po czym wyszła ze sklepu.

Zawołał za nią.

— Niech twój ojciec go broni.

Bragg spał we wierzbach, milę od swojej chaty, i obudził się o świcie w humorze jeszcze gorszym niż w chwili nocnego dyskomfortu. Przykucnął przy strumieniu, żeby się napić, stanął w porannym powietrzu i dyskutował sam ze sobą. Nie miał ochoty wracać do zrujnowanej chaty ani

do martwego Lestrade'a; bez wątpienia czekało tam na niego paru ludzi z obozu, gotowych szybko się z nim rozprawić. Stuart już tego dopilnuje.

Gdzieś w okolicy kręciło się jego dwóch ludzi, ale nie miał zamiaru ich szukać. Był załatwiony, lecz przez to wolny i nie obchodzili go już zbytnio. Jeden obóz górniczy był równie dobry jak drugi, do jego działalności, a jeśli Jacksonville nie było już dla niego otwarte, to łatwo mógł wynieść się dalej. Nie robiło mu to wielkiej różnicy.

Jednak nie miał zamiaru stąd odejść, dopóki nie wyciągnie swych wielkich rąk i nie ściągnie Stuarta w dół; cała straszliwa nienawiść, do jakiej był zdolny, skupiła się teraz na Stuarcie i nie zadowoli go nic mniejszego. Podjęcie decyzji zajęło mu to tylko kilka chwil; zboczy ku Rogue i trzymając się zarośli nad rzeką, podąży w kierunku drogi Oregon - Kalifornia. Wcześniej czy później Stuart będzie jechał tą drogą.

Twarda ziemia usztywniła mu kości, zaczynał działać na niego głód, a nocny chłód nie pozwolił mu na dobry sen; szedł więc chwiejnym krokiem niczym ponury niedźwiedź, przez porastające dolinę zarośla i przez otwarte łąki, w kierunku Rogue. Nad rzeką położył się na ziemi, aby napić się jeszcze raz, i usiadł w słonecznym miejscu, aż poczuł miłe ciepło. Po jakimś czasie zebrał się ponownie i poszedł dalej. Prom Evansa był oddalony o trzy mile; w tamtym miejscu obiecywał sobie dobry posiłek. Przewoźnik nie był jego przyjacielem, ale nie ośmieliłby się mu odmówić.

Gdzieś, jeszcze przed dotarciem do tego miejsca, nieprzyzwyczajony do długiego chodzenia, usiadł i położył się we wierzbach, aby odpocząć; i tak zasnął. We śnie zdawało mu się że słyszy dźwięk głosu, a potem się obudził i rzeczywiście usłyszał dwa głosy w pobliżu rzeki. Podniósł się w kucki, podkradł się do przodu i powoli rozchylił wierzby, aż zobaczył dwie młode Indianki, stojące po szyję w rzece.

Przyglądał się im przez dłuższy czas - poważnie, skupiony, bez emocji. Popatrzył za nie z tyłu, powiódł wzrokiem w górę i w dół brzegu, i nie dostrzegł żadnych innych Indian. Zgadywał, że w pobliżu nie powinno być żadnych mężczyzn Rogue, ponieważ te dziewczyny chciały popływać; oderwały się więc od grupy, aby to zrobić. Wciągnął głęboki oddech i gdy miały wyjść z wody, wstał i zebrał się w sobie. Był przebiegły w swoim działaniu; poczekał, aż dotrą na brzeg, aby się ubrać. Wtedy, rozgarniając krzaki, rzucił się na nie.

Usłyszały, jak żwir rzeki zgrzyta mu pod nogami i odwróciły się natychmiast, by zobaczyć pędzącą w ich stronę jego wstrząsającą i groźną postać, z twarzą pokrytą czarnymi wąsiskami, całą w bliznach i ranach, której potężna klatka piersiowa wydawała dziwne odgłosy. Zobaczyły go i rzuciły się na bosaka do ucieczki, przez żwir pokrywający okolice rzeki. Jedna z nich puściła się przez rzekę i wkrótce znalazła się pośrodku nurtu; druga trzymała się brzegu i szybko oddalała się od napastnika. Zdając sobie sprawę z tego, że nie dopisało mu szczęście, Bragg zatrzymał się, wyciągnął rewolwer i strzelił do dziewczyny biegnącej brzegiem. Upadła na ziemię, a on wziął na cel dziewczynę w rzece. Zrozumiała co zamierzał zrobić, ale nawet nie krzyknęła; zanurkowała pod powierzchnię, aby przed nim uciec, on zaś śledził cień jej unoszącego się z prądem ciała. Szedł wzdłuż brzegu, trzymając się blisko niej. Kiedy się wynurzyła, aby

zaczerpnąć powietrza, strzelił do niej i chybił, i patrzył, jak znów nurkuje. Szedł dalej za nią i wystrzelił po raz drugi; rzucił się biegiem, wyprzedził ją i zatrzymał się, aby lepiej wycelować. Jego trzeci strzał ją dosięgnął. Obserwował, jak jej ciało się przetacza, a głowa opada. Aby upewnić się, iż nie żyje, strzelił ponownie i zobaczył, że jej postać lekko drgnęła w wodzie. Przykucnął na żwirze, przeładował rewolwer i poświęcił odrobinę czasu na nabicie fajki oraz zapalenie jej. Słońce wschodziło na wschód od rzeki; popatrzył na nie, wykrzywiając rozbite wargi w szerokim uśmiechu. Następnie wstał, wrócił między wierzby i kontynuował swój marsz w kierunku promu Evansa.

Rozdział XIII
U Corsona

Camrose stał pod jedną ze ścian baru Corsona, obok niego Overmire, a nieopodal Johnny Steele. Sędzia, górnik wybrany przez ludzi na tę konkretną okazję, siedział na krawędzi baru Corsona ze zwisającymi nogami. Miał śnieżnobiałą brodę lekko rdzawą na brzegach ust. Przyjął oferowaną mu funkcję ze znaczną godnością i dlatego wystąpił w bardzo ozdobnym stroju. Reszta pomieszczenia była wypełniona ludźmi na całej długości i szerokości, a okna zostały zdemontowane, aby inni mogli jeszcze zaglądać z ulicy. Johnny Steele właśnie prezentował wszystkim swoją historię.

— Pewnej nocy przyszedłem do obozu i poprosiłem Camrose'a o mój woreczek, który był u niego sejfie. Zamknął przede mną drzwi, kiedy otwierał sejf, i zajęło mu to sporo czasu. Potem wpuścił mnie do biura i dał mi mój woreczek. Odważony był absolutnie w porządku i nie powinienem mieć żadnych podejrzeń. Tym niemniej jednak miałem, więc zacząłem wypytywać w obozie i dowiedziałem się, że Camrose przegrywał w pokera więcej pieniędzy, niż mógł sobie na to pozwolić.

Overmire przerwał mu.

— To pogłoski, Johnny.

— No cóż, cały obóz o tym wie.

— Cały obóz o tym słyszał, ale to nieprawda, że cały obóz o tym wie. Nie możesz kogoś skazać na podstawie tego, co usłyszałeś od innego człowieka.

— Gdybym coś zobaczył — zauważył Johnny — i powiedział o tym Billowi Smithowi, to Bill Smith wiedziałby o tym równie dobrze jak ja.

Overmire znajdował się około piętnastu stóp od Steele'a. Sięgnął po monetę i upuścił ją na bar tak, aby wszyscy mogli usłyszeć echo jej brzęku.

— Johnny, co ja tu mam?

Johnny, podejrzliwie rzucając okiem na Overmire'a, długo i dokładnie przyglądał się monecie.

— Dolara.

— Jakiego dolara?

— Srebrnego dolara.

— Jesteś tego pewien?

Johnny przyjrzał się jeszcze raz.

— Jestem tego całkowicie pewien.

Overmire wziął monetę między kciuk i palec wskazujący, pokazując ją tłumowi.

Wskazał na człowieka z tyłu sali.

— Na co ci to wygląda, Moffatt?

— Dla mnie to wygląda jak dolar.

Overmire wskazał na innego z ludzi, uzyskując podobną odpowiedź. Poprosił o odpowiedź kilku górników, aż w końcu jeden z nich powiedział:

— Marnujesz czas, Jonas. To zwykły stary amerykański dolar.

— A więc — powiedział Overmire — mówisz, że to zwykły stary dolar amerykański. Johnny go rozpoznał, a ty przyjmujesz jego twierdzenia, ponieważ wierzysz, że jest prawdomówny. Nie próbował zresztą wprowadzić cię w błąd. Ale powiedział tylko, że to dolar. Ty poszedłeś o krok dalej i zrobiłeś z tego dolara amerykańskiego, co już nie jest prawdą. To pieniądz meksykański. Na tym polega niebezpieczeństwo i nierealność dowodów ze słyszenia. Nie można uczciwie przysiąc, że to, czego się nie zobaczyło na własne oczy, jest prawdą. Prawdę mówiąc, nie zawsze możesz być nawet pewien, że to, co widzisz, jest w pełni prawdziwe. Twoje oczy lub uszy również mogą cię zdradzić.

Johnny Steele przyglądał się Overmire'owi przez dłuższą chwilę. Miał prostą twarz, która stała się bystra dzięki dużej inteligencji i sile umysłu. Wykształcenie posiadał niewielkie i, jak większość ludzi tego pokroju, żywił zarówno szacunek, jak i podejrzliwość wobec tych, którzy byli dobrze wykształceni. Pragnąc mądrej rady dla siebie, natychmiast i z pełnym zaufaniem, udałby się do Overmire'a; ale mając Overmire'a przeciwko sobie, bardzo się obawiał, że ten człowiek może wpłynąć na widownię i sąd, sprytnie użytymi słowami. To zagranie oparte na srebrnych dolarach było czymś, co ci górnicy potrafili zrozumieć i docenić; bardzo mocno ono na nich wpłynęło. Popatrzył na Overmire'a, mierząc go wzrokiem, a Overmire, uśmiechnięty, praktyczny i wyglądający na swojego człowieka, popatrzył na niego. Zarówno Overmire, jak i on wiedzieli, na czym polega ta gra.

— Byłem coraz bardziej przekonany — kontynuował Johnny Steele — że Camrose ma niedobory w rachunkach i manipuluje powierzonym mu złotym pyłem, aby tymczasowo wyrównać ten bilans. Przegrywał dużo pieniędzy w pokera.

— Pogłoska, Johnny — wtrącił Overmire.

— Thackeray — zawołał Johnny Steele.

Hazardzista Thackeray wystąpił naprzód, a jego zwykły chłód został nieco naruszony przez znalezienie się w centrum uwagi całej widowni.

— Thackeray — powiedział Steele — czy Camrose...?

— Najpierw go zaprzysięgnij, Johnny — zauważył Overmire. — Sądzisz człowieka, stawką jest jego życie. Życie jest dla ciebie czymś cennym, prawda? Jest równie cenne dla George'a Camrose'a. Pamiętajmy, że dobrze jest żyć, budzić się pięknego poranka ze słońcem wschodzącym za wzgórzem, czuć zapach smażącego się na patelni bekonu, pić zimną wodę z potoku, gdy jest się spragnionym. Dobrze jest siedzieć wieczorem u Corsona, ze smakiem whisky i cygara na języku, czując się przyjemnie rozluźnionym po długim dniu. Człowiek żyje krótko. Ma swoje myśli, pragnienia, marzenia, wspomnienia, żal i miłość. Tych rzeczy nie wolno

odbierać kilkoma łatwo wypowiedzianymi słowami. Zaprzysięgnij go, Johnny.

Overmire mówił zupełnie konwersacyjnym głosem, jakby dokonywał prostej obserwacji w gronie przyjaciół. Lecz Johnny dostrzegł efekty jego przemowy i zaniepokoił się. Powiedział:

— Życie było czymś dobrym także dla McIvera. I zostało mu odebrane.

— Czy aby na pewno zostało mu odebrane — spytał Overmire — czy może był to wypadek? To właśnie próbujemy stwierdzić.

Nikt wcześniej nie pomyślał o Biblii, ale po chwili przerwy chudy i obdarty górnik wyciągnął z kieszeni mocno pogniecioną małą książeczkę.

— Czy wystarczy Nowy Testament?

Thackeray ostrożnie położył rękę na Nowym Testamencie i został zaprzysiężony.

— Czy Camrose grywał z tobą w pokera — powiedział Steele.

— Często.

— Tak więc, po tej długiej drodze naokoło — stwierdził Steele z zamierzoną ironią, — dowiadujemy się tego, co wszyscy w mieście już wiedzieli. Czy przegrał do ciebie pieniądze?

— Sporo.

— O czym też wszyscy wiedzieli — skomentował Steele. — Teraz to już zgodne z prawem, prawda, Jonasie? Thackeray, ile według ciebie stracił?

— W ciągu roku lub dwóch, może pięć tysięcy dolarów.

— Jego pensja jest mniejsza od tej kwoty — powiedział Steele do tłumu. Potem powstrzymał się, zanim Overmire zdążył się wtrącić. — Zaprzysięgnijcie Camrose'a.

Ktoś podał Camrose'owi Biblię, a Overmire go zaprzysiągł.

— A teraz, George — powiedział Steele — jaka jest twoja pensja?

— Dwieście pięćdziesiąt miesięcznie.

— Trzy tysiące rocznie. Ale straciłeś dwa tysiące więcej niż zarobiłeś. Skąd to wziąłeś?

— Część należała do Logana Stuarta. Pożyczył mi je do innych celów.

— Na jakie cele?

— Nie powiem.

— To twój proces i musisz odpowiedzieć na pytania.

Overmire pokręcił głową.

— Żaden oskarżony nie może zostać zmuszony do mówienia, jeśli chce zachować milczenie. Takie jest prawo, Johnny.

— Czyżby? — zauważył Johnny i wiedział, że przytrafiła mu się okazja. Odwrócił się do tłumu. — Jeśli człowiek jest niewinny, dlaczego miałby bać się mówić?

Głowy przed nim zaczęły zgodnie przytakiwać. Zdobył swój punkt, ale Overmire, pojedynkujący się stojąc obiema na ziemi, odezwał się.

— Mogę odpowiedzieć na to pytanie, Johnny. — Jego spojrzenie powędrowało po tłumie i zatrzymało się na Lidzie Shieldsie. — Załóżmy, że Lid idzie sobie pewnej nocy ulicą. Lid idzie w jakieś miejsce, w swojej własnej sprawie...

Tłum zaczął się uśmiechać. Sprawki Lida Shieldsa były wszystkim wiadome, a cele jego podróży były powszechnie znane - była to chatka nieco za miastem, w której mieszkała kobieta.

— Powiedzmy więc — powiedział Overmire, — że na ulicy doszło do zabójstwa. Lid został oskarżony i aresztowany. Ktoś pyta Lida: „Gdzie byłaś o tej porze?”. Lid nie może zostać zmuszony do odpowiedzi na takie pytanie.

Johnny Steele wskazał na Joe Harmsa.

— Joe, podejdź tutaj.

Harms przesunął się do przodu, nie patrząc na nikogo; wzrok miał wbity w jeden punkt na ścianie, ponad malowniczo wyglądającym i milczącym sędzią. Steele zaprzysiągł go.

— Joe, czy widziałeś kiedyś, jak Camrose wyjmował woreczki ze złotem z biurowego sejfu i strzepywał z nich kurz?

— Kilka razy - późno w nocy, po tym jak zaryglował drzwi do biura i zamknął okiennice. Widziałem, jak ważył pył z jednego woreczka, wkładał go do drugiego, ważył ten woreczek, układał samorodki na wierzchu woreczka i wkładał go z powrotem do sejfu.

— A gdzie byłeś ty? — zapytał Overmire.

— W alejce między domami Howisone’a i Camrose’a.

Overmire przyglądał się Harmsowi podczas celowo utrzymywanej chwili ciszy - ta cisza miała również wpływ na tłum; dała im czas do namysłu i nakładała dodatkowe brzemię na Harmsa, który przestąpił z nogi na nogę i rozejrzał się wokół siebie. Wtedy Overmire delikatnie zadał pytanie:

— Jak mogłeś to wszystko widzieć?

— W deskach jest dziura wielkości jaja rudzika. Patrząc przez nią, widziałem tylko ladę i szalki ze złotem.

— Często zaglądałeś przez tę dziurę, Joe?

— Każdej nocy — powiedział Harms, — przez kilka miesięcy.

— Co sprawiło, że zacząłeś podglądać?

— Nigdy go nie lubiłem. Chciałem zobaczyć, czego się dowiem.

Overmire przejechał dłonią po brodzie i znów zapadła cisza. Słowa Harmsa potwierdzały to, co podejrzewał obóz, dlatego nie można było ich całkowicie obalić. Jednak Overmire doskonale zdawał sobie sprawę z ogólnej niechęci obozu do Harmsa, więc obrał nową linię.

— Szpiegowałeś go, bo go nie lubiłeś. Joe, rozmawiałem z tobą chyba więcej, niż z żadnym innym człowiekiem w obozie. Nigdy nie słyszałem, żebyś pochwalił jakąkolwiek istotę ludzką. Nie lubisz wielu ludzi. Czy szpiegujesz również ich wszystkich?

Harms gniewnie popatrzył na Overmire’a.

— Nie.

— Czy kiedykolwiek szpiegowałeś kogokolwiek innego?

— Nie — odparł Harms, lecz dla Overmire'a było jasne, że ten człowiek kłamie, i było to równie jasne także dla tłumu.

Johnny Steele nagle dodał:

— Wystarczy. Myślę, że udowodniliśmy, iż Camrose majstrował przy złotym pyle w tych woreczkach.

— Może ważył pieniądze firmy, co byłoby uzasadnioną częścią jego pracy — zauważył Overmire.

Steele odpuścił tę kwestię.

— A teraz kolejna rzecz. Mack McIver przyjechał do miasta. Tej nocy grał do późna w karty. Następnego ranka znaleziono go martwego z twarzą w strumieniu. Kilku z nas poszło do Camrose'a, by zabrać jego złoto i wysłać je do jego rodziny. Camrose powiedział, że Mack już odebrał swój pył. Ale kiedy go znaleziono, nie miał przy sobie złota.

Nie podobało mu się to, co musiał powiedzieć dalej. Sprawiało to bowiem wrażenie, że znajduje się na poziomie Harmsa i obrażało jego własne silne poczucie sprawiedliwości. Ale musiał to powiedzieć i powiedział:

— Uznałem, że być może nie przeszukaliśmy wystarczająco dobrze kieszeni Macka. Harms i ja wykopaliśmy go i przyjrzeliśmy się jeszcze raz jego ciału. Znaleźliśmy coś. Było to w małej kieszonce na zegarek, u góry jego spodni.

Wszyscy patrzyli, jak wyciąga z kieszeni płaszcza mały kawałek papieru i rozkłada go między palcami. Overmire przyglądał mu się uważnie, a Harms po raz pierwszy zaczął patrzeć bezpośrednio na otaczających go ludzi, odzyskując nieco szacunku do samego siebie. Ale Steele'a najbardziej ciekawiła reakcja Camrose'a. Szybko uniósł wzrok i dostrzegł napięty wyraz twarzy Camrose'a.

— To — oznajmił Johnny Steele — jest pokwitowanie. Camrose dał je Mack'owi, kiedy ten zostawił złoto w depozycie. Jeśli miał je przy sobie, kiedy umarł, to nie dostał złota, ponieważ jest pewne, że Camrose musiałby go prosić o zwrot pokwitowania.

Overmire skierował do Harmsa pytanie.

— Czy widziałeś, jak Steele znalazł ten kwit przy ciele McIvera?

— Tak.

— Czy czytałeś go zaraz po wyjęciu z kieszeni ofiary?

— Zapaliliśmy latarnię, żeby zobaczyć, co to jest.

Overmire wyciągnął rękę, wziął papier i przyjrzał mu się uważnie. Pokazał go Camrose'owi.

— To twoje pismo?

Camrose obrzucił kwit krótkim spojrzeniem.

— Tak — powiedział bez szczególnego tonu w głosie.

Johnny Steele zadał Camrose'owi szybkie pytanie.

— Jeśli oddałeś mu złoto, dlaczego nie wziąłeś od niego pokwitowania?

Tłum czekał w dziwnej i znaczącej ciszy, aż Camrose sformułuje swoją odpowiedź. Overmire, patrząc na górników, domyślił się, że opowiedzieli się już przeciwko Camrose'owi.

— Rzadko wystawiam pokwitowania — odparł Camrose. — Pamiętasz, Johnny, że nigdy nie dałem ci pokwitowania za twoje złoto. Włożyłem je dla ciebie do sejfu i oddałem, kiedy o nie poprosiłeś. To była moja stała praktyka, jak wiedzą wszyscy chłopcy. Ale Mack był podejrzliwy i chciał pokwitowania. Dałem mu je. Kiedy odebrał złoto, nie pomyślałem, żeby poprosić o pokwitowanie. Zapomniałem o tym, ponieważ nie było to w moim zwyczaju.

— Powiedziałbym, że to spora nieostrożność — skomentował Steele.

— Wszyscy obchodzimy się ze złotem niezbyt ostrożnie. To najtańsza rzecz w obozie.

Johnny Steele stał w milczeniu, zastanawiając się nad odpowiedzią, aż w końcu Overmire zachęcił go.

— Czy to wszystko, Johnny? Jeśli tak, to nie wystarczy. Na podstawie zeznań podglądacza próbowałeś wykazać, że Camrose przerzucał złoto z jednego woreczka do drugiego. Na podstawie niezwróconego pokwitowania próbowałeś poddać w wątpliwość, czy Camrose oddał woreczek McIverowi. Nie wystarczy poddać czegoś w wątpliwość. Musisz to udowodnić, czego nie zrobiłeś. Jednak nawet zakładając, że udowodniłeś oba te punkty - nadal musiałbyś połączyć je z morderstwem i udowodnić morderstwo. Tego też nie zrobiłeś. Powiedziałeś tylko, że Camrose zamordował McIvera i wymachiwałeś przed tym tłumem podejrzeniami jak krwawą flagą, mając nadzieję, że twoja pasja doprowadzi do skazania Camrose'a. Stworzyłeś bajkę o złej czarownicy i sam w nią uwierzyłeś - a teraz próbujesz zrobić czarownice z nas wszystkich.

Johnny Steele powiedział:

— Pat Malloy, podejdź tu.

Pat Malloy był solidnym byłym górnikiem, który dzięki swojemu rozsądkowi i gospodarności doszedł do stanowiska drobnego sklepikarza; miał jaskrawoczerwoną twarz, okrągły nos i zestaw brązowych brwi wystających ponad oczy w taki sposób, że wydawało się, iż spogląda zza osłony. Johnny Steele zaprzysiągł go.

— Opowiedz nam, Pat.

— To co ci mówiłem? No cóż, przyszedł pewnej nocy do sklepu - tydzień temu - i chciał pudełko cygar, takich, jakie dostaję z San Francisco...

— Kto przyszedł? — spytał Overmire.

— Czy nie mówiliśmy o Camrose? On. Sprzedałem mu cygara, a on dał mi samorodek, zważyłem go i wydałem mu resztę. To był gruby samorodek o ładnym kształcie. To jest, ładnym dla Irlandczyka. Bardzo przypominał koniczynę. Zrobiłem więc na niego małą ramkę i ustawiłem w sklepie. Następnego dnia przyszedł Jim Hantis i zapytał: „Skąd masz szczęśliwy samorodek McIvera?”. Potem, w ciągu dnia i dnia następnego, pojawiło się trzech lub czterech ludzi, którzy to mówili.

Johnny Steele powiedział:

— Jim i reszta z was - chodźcie tutaj.

Overmire mocno pociągnął się za brodę i wziął długi oddech. Spojrzał na Camrose'a przelotnym, neutralnym wzrokiem. Camrose znów wyglądał na obojętnego i wycofanego; trzymał się prosto i zdawał się tym nie przejmować. Hantis i pozostali trzej mężczyźni, po zaprzysiężeniu, jeden po drugim zidentyfikowali samorodek. Po tym wydarzeniu Overmire - przeszukując spojrzeniem tłum - zobaczył, że nie ma już nadziei.

Johnny Steele oznajmił zadowolonym i pewnym siebie głosem:

— Tak wygląda sprawa, Jonasie. Obal ją, jeśli potrafisz.

— Gdzie w tym wszystkim wykazałeś związek między samorodkiem a faktem morderstwa?

— Ten samorodek był szczęśliwym znaleziskiem McIvera — powiedział Steele. — Znalazł go cztery-pięć lat temu i zawsze nosił go w lewej kieszeni spodni. Skąd Camrose go zdobył? Mógł go zdobyć tylko wyjmując go z kieszeni McIvera. I mógł to zrobić tylko w chwili, gdy Mack nie mógł mu się opierać. Innymi słowy, kiedy Mack nie żył. Na podstawie tego oskarżam go o morderstwo.

Overmire zwrócił się do Camrose'a.

— Chciałbyś to jakoś skomentować, George?

— Spodobał mi się — odparł Camrose. — Zaoferowałem mu dwadzieścia dolarów, a on się zgodził.

Jim Hantis i pozostali trzej przyjaciele McIvera pokręcili przecząco głowami, a Hantis stanowczo oświadczył:

— McIver nigdy by go nie sprzedał. Miał lepsze oferty niż dwadzieścia dolarów. Był człowiekiem podejrzliwym i przesądnym. Gdyby stracił ten samorodek, zrezygnowałby z dalszego poszukiwania złota. Mówił mi to wiele razy.

Johnny Steele miał już w głowie mowę końcową, ale miał również jeszcze paru innych świadków. Ale znał ludzi z tego obozu i gdy rozejrzał się po tłumie, zdał sobie sprawę, że przedstawił tak dobre argumenty przeciwko Camrose’owi, że lepszych już nie będzie potrzebował. Odwrócił się do Overmire'a.

— Ja już skończyłem. Ten człowiek jest winny, Jonasie, i wszyscy w tym pomieszczeniu są o tym przekonani, z wyjątkiem ciebie. Chodź, Jonasie, i zacznij rzucać w nas swoimi wspaniałymi słowami, aby nas zbić z tropu. Mówiłeś, że życie jest słodkie. Mówiłeś o srebrnych dolarach, pogłoskach i tak dalej. Próbujesz sprawić, byśmy zapłakali nad losem Camrose’a i zwątpili. Nie uda ci się to. McIver nie żyje, a jego szczęśliwy samorodek znalazł się w rękach Camrose'a - Camrose'a, który od dłuższego czasu ma kłopoty finansowe. Nie złapaliśmy Camrose'a za rękę, nie zaprowadziliśmy go na miejsce zbrodni i nie pokazaliśmy stojącego tam z kijem w ręku. Ale pokazaliśmy że miał w ręku ten samorodek, a tego nie da się wytłumaczyć. Wszyscy kochamy życie tak samo jak ty i jesteśmy za sprawiedliwością, ale chcemy sprawiedliwości zarówno dla McIvera, jak i Camrose’a. Istnieje coś takiego jak zdrowy rozsądek, który jest ważniejszy niż wszystkie wasze zasady i zastrzeżenia – ten zdrowy rozsądek mówi, że on jest winny.

Wycofał się w kąt pomieszczenia, z obawą czekając na przemowę, którą miał wygłosić Overmire, obawiając się skutków jego perswazji i nieskazitelnej reputacji tego człowieka. Bardzo podziwiał Overmire'a i wiedział, że reszta obozu również podziwia moc jego ducha, siłę, uczciwość i determinację. Obóz mógł być dumny z obecności w nim takiego człowieka jako obywatela.

Overmire stanął obok Camrose'a. Nie spieszył się z odpowiedzią, ponieważ każda odpowiedź wymagała od niego dużej dozy szczerości i przekonania, a im dłużej słuchał zeznań, tym większe ogarniały go wątpliwości. Znajdował się w dziwnym położeniu. Był przyszłym teściem

tego człowieka, a także jego adwokatem. Z obu tych powodów był zobowiązany do tego, aby uczynić w obronie Camrose'a wszystko, co było w jego mocy; i niepokoiło go to, że jego prywatne uczucia mówiły mu, że broni człowieka winnego. W zamyśleniu przejechał dłonią po brodzie i uniósł rękę w geście domagania się głosu. Górnicy oczywiście oczekiwali, że będzie to wspaniała przemowa; czekali na nią z niecierpliwością, jak na orację z okazji Czwartego Lipca.

— Jesteście moimi sąsiadami — oznajmił w końcu — i dobrze was znam. Dokładnie pojmuję, co teraz myślicie. Wiecie, że to nie jest proces sądowy. Obowiązują tu prawa tego terytorium, a to spotkanie nie ma żadnej sankcji. Jest to tylko zgromadzenie ludowe, takie jak kilka lat temu, zanim pojawiło się prawo. Jeśli uznacie tego człowieka za winnego, to i tak musicie poddać go regularnemu sądowi i regularnemu procesowi.

Powiódł po nich swym przenikliwym spojrzeniem i zobaczył, że przykuł ich uwagę.

— Ale uważacie, że to jest wystarczająco dobry proces. Tak to się odbywało w dawnych czasach. W waszych głowach wszystko już zostało zaplanowane. Zamierzacie uznać Camrose'a za winnego, a następnie, aby uchronić się przed ewentualną pomyłką sądową, po zmroku zabierzecie go z miejsca gdzie będzie przetrzymywany i powiesicie.

Rozejrzawszy się po tłumie, zauważył milczące skinięcia głów, a gdzieniegdzie spojrzenia podziwu dla jego przebiegłości.

— Po co stworzono prawo, jeśli nie po to, by chronić nas wszystkich? Niech więc chroni zarówno Camrose'a, jak i was. Mógłbym posłużyć się tym samym zestawem faktów, co Johnny Steele, i skazać każdego innego człowieka w tym obozie, winnego lub niewinnego, gdybyście nie lubili go tak bardzo, jak nie lubicie Camrose'a. W tych faktach jest wystarczająco dużo logiki, aby was przekonać. Ale jest w nich też wystarczająco dużo luk, aby zabić niewinnego człowieka. Głosując za śmiercią tego człowieka na podstawie przedstawionego nam zestawu faktów, przygotowujecie grunt pod inny dzień, kiedy wasi towarzysze może będą głosować za śmiercią któregoś z was, dokładnie na podstawie takiego samego zestawu faktów. A teraz, rozpocznijmy już głosowanie.

Johnny Steele był zaskoczony, ale również odetchnął z ulgą z powodu zwięzłości przemowy i natychmiast wyszedł do przodu. Powiedział:

— Wszyscy, którzy uważają, że nie jest winny, przykucnijcie na podłodze.

Camrose szybko odwrócił głowę, a jego oczy z fascynacją powędrowały wzdłuż szeregu ludzi. Dwóch mężczyzn na czele tłumu natychmiast przykucnęło; w tylnej części sali zapanowało zamieszanie, gdy inny z ludzi nieporadnie próbował opaść na podłogę. Poza tym, tłum stał bez ruchu. To było przytłaczające głosowanie. Na policzkach Camrose'a pojawił się lekki błysk, lecz wkrótce po nim obserwujący go górnicy - wszyscy żywo zainteresowani tym, jak przyjął swój los - zauważyli, że ogarnęło go otępienie. Odwrócił głowę.

Przez cały czas Johnny Steele wytężał wszystkie siły przeciwko człowiekowi, którego uważał za bardzo niebezpiecznego dla swojej sprawy. Teraz jednak, gdy sprawa uległa zakończeniu i odniósł

zwycięstwo, jego uczucia uległy odwróceniu. W opinii całego obozu Jonas Overmire reprezentował pewne standardy przyzwoitości; jego dobra opinia bardzo się liczyła. Dlatego Johnny Steele obawiał się, że Overmire może poczuć, że on i reszta obozu działali z pobudek niższych, niż powinni.

— Jonasie — oznajmił szczerze — to, co się wydarzyło, może nie być zgodne z twoimi wyobrażeniami o właściwej formie, ale mimo wszystko jest to nasza wizja sprawiedliwości. Mam nadzieję, że nie myślisz inaczej.

Overmire wykonał lekki gest ręką.

— Gdybym nie wierzył, że jesteście rozsądnymi i uczciwymi ludźmi, nie mieszkałbym w tym obozie.

Overmire opuścił lokal Corsona i udał się do sklepu Stuarta, który siedział w kącie z fajką w zębach. Stuart z niecierpliwością czekał na odpowiedź, ale zaczekał na nią, zamiast o nią prosić.

Overmire powiedział:

— Winny — usiadł na innym pudełku i poszukał cygara.

Odciął jego koniec, zapalił je i oparł się plecami, przyjmując wygodną pozycję.

— Wiesz — powiedział, — mocno wierzę w demokrację. Mam ogromną wiarę w zdolności każdej grupy Amerykanów do podjęcia sprawiedliwej decyzji. Och, oczywiście czasem kierują nami pośpiech, namiętności, uprzedzenia i własny interes. Od czasu do czasu popełniamy fatalne błędy. Czasami podążamy za niewłaściwymi przywódcami. Czasami staczamy się do poziomu zwierząt i nie jesteśmy lepsi od najgłupszych i najbardziej wściekłych bestii. Ale kiedy tak wszystko uśrednić, jeden przypadek z drugim, jeden czyn z drugim, jeden motyw z drugim, to żyjemy zgodnie z naszą jasną stroną - a nasza jasna strona jest uczciwa, życzliwa i zabarwiona miłosierdziem.

— Co chciałeś powiedzieć, mówiąc mi to, Jonasie?

— Zawsze są wątpliwości — wyjaśnił Overmire. — Ale dla mnie było to wystarczająco jasne i klarowne. Gdybym był sędzią, musiałbym zgodzić się z werdyktem i skazać George'a Camrose'a na powieszenie. Czy wiedziałeś o tym samorodku?

— Nie.

Overmire usiadł z powrotem i wygłosił ustne resume wszystkich dowodów. Kiedy skończył, Stuart krótko skinął głową. Overmire pomyślał, że nie był to człowiek, który lubił się zbytnio odsłaniać; trzymał się własnych standardów i był wyjątkowo niezależny w swoich działaniach. To właśnie owa niezależność niepokoiła Overmire'a.

— Teraz — powiedział Stuart — umieścili go z powrotem w jego biurze, pod strażą. Zabiorą go stamtąd i powieszą przed rankiem.

— Może nie.

Stuart pokręcił głową.

— Gdyby chcieli zaczekać na właściwy sąd i ławę przysięgłych, nie zawracaliby sobie głowy tym procesem. Ten proces im wystarcza. Podejmą działania.

— Johnny Steele to zaczął, ale Johnny nie jest gorącą głową. Nie podburzy ich do przemocy.

— Johnny uważa Camrose'a za winnego — zauważył Stuart. — Według Johnny'ego sprawiedliwości musi stać się zadość, im szybciej, tym lepiej.

— W głębi serca jesteś górnikiem — powiedział Overmire. — Co byś zrobił, gdyby Camrose nie był twoim przyjacielem?

— Pomógłbym go powiesić, Jonasie. Dlatego wiem, że to zrobią.

— Ja też — zgodził się Overmire i dotknął kolana Logana Stuarta. — Może zrobiłeś już wszystko, co mogłeś i nie powinieneś robić nic więcej.

— A co niby miałoby to być?

— Myślisz nad sposobem, jego uwolnienia. To oznacza, że masz zamiar pójść pod prąd. Obóz cię szanuje, Logan. Ale bardziej szanuje własną decyzję. Jeśli…

Do sklepu weszła Lucy.

— I jak to się skończyło?

— Winny — odparł Overmire, nie patrząc córce w oczy. Powiedział to rzeczowo i szybko, gdyż był człowiekiem o czułym sercu.

Rzuciła mu pełne napięcia spojrzenie, a potem skończyła z nim i przeniosła swoją uwagę na Stuarta. Wszelka nadzieja, jaką mogła mieć, zdawała się leżeć w nim.

— Jak oni mogli?

Overmire powiedział:

— Posłuchaj — i spokojnie powtórzył swoją relację. Następnie powiedział: — Dlatego tak to się skończyło.

Ponownie skierowała uwagę na Stuarta, a Overmire, widząc to i rozumiejąc, dodał z irytacją:

— Nie błagaj Logana o pomoc.

— Kiedy potrzebowałam pomocy, zawsze przychodziłam do Logana. Dlaczego nie miałabym zrobić tego teraz?

— Bo on spróbuje zrobić to, czego chcesz i wpakuje się w niezłe kłopoty. Myślę, że Camrose spowodował już wystarczająco dużo katastrof.

— Myślisz, że on to wszystko zrobił, tato?

Potarł palcem swoje wąsy.

— Jestem przekonany o jego winie. To słaby człowiek.

Tę scenę przerwało wmaszerowanie czwórki ludzi, na czele których stał Johnny Steele. Był to komitet, niezbyt pewny siebie, nawet Johnny Steele wykazywał wyraźną niechęć do przedstawianej sprawy.

— Logan — powiedział — przyszło nam do głowy, że możesz spróbować sprawiać nam kłopoty. Na przykład przez wyjście na ulicę z pomysłem uwolnienia Camrose’a w głowie. To byłaby niemiła okoliczność. Lecz bez względu na to, czy niemiła czy nie, musielibyśmy cię za taką próbę zastrzelić. Nie próbuj więc tego robić.

— To jasne przedstawienie sprawy — odparł Stuart. — Cieszę się, że mi to powiedziałeś.

— Nie rób tego, Logan — powtórzył Johnny Steele z największą powagą, na jaką było go stać.

Po czym, po wykonaniu swego nieprzyjemnego zadania, komitet opuścił sklep.

— To wszystko — powiedział Overmire do Lucy. — Nie proś Logana o nic więcej.

Wyglądało na to, że ani Logan, ani Lucy go nie słyszeli. Spoglądali na siebie, Logan z największą uwagą, Lucy z wyrazem twarzy zupełnie do niej niepodobnym. Nie był to ani gniew, ani prośba; wyglądało to na coś bardziej fundamentalnego - jakby w milczeniu wydawała mu jakieś nieprzyjemne polecenie. Na ten widok Overmire poczuł się nieswojo i zerknął na Logana, by obserwować jego reakcję, lecz niczego w jego twarzy nie znalazł. Ta dwójka potrafiła rozmawiać ze sobą bez żadnych słów. Po chwili Lucy odwróciła się i wyszła z pomieszczenia. Coś jednak zostało między nimi powiedziane, ponieważ Stuart skinął głową Lucy, kiedy ta się oddalała.

Rozdział XIV
Atak

O trzeciej po południu Liza Bartlett wyszła z chaty i przeszła przez środek łąki do miejsca, gdzie jej mąż rozcinał piłą ogromną jodłę na drewno na zimę; przyniosła mu dzbanek kawy i usiedli na pniu, na zmianę trzymając dzbanek. Ona stanowiła poważniejszą część ich pary, była ogromnie zdeterminowana, aby stać się wierną oraz zapobiegliwą żoną; natomiast młody Gray miał w sobie żyłkę zabawy - i to on rozlał kawę, kiedy próbował złapać ją i pocałować. „Moja stara", powiedział i stoczył się z pnia. Leżał u jego podstawy, śmiejąc się. Stała nad nim, zwrócona w stronę rzeki i wierzb, i nagle zobaczył, jak strach rozciąga i wybiela jej twarz, i dostrzegł, jak jej usta układają się w słowo ostrzeżenia. Zerwawszy się na nogi, zobaczył przed sobą grupę Indian – obrzuciwszy ich szybkim spojrzeniem, naliczył około dwudziestu - wychodzących z zarośli w wachlarzowatym szeregu, wszyscy pobiegli truchtem do przodu. Jeden z wojowników uniósł strzelbę, a inny naciągnął strzałę w łuku.

— Grey! — zawołała młoda Liza. — Grey!

Sięgnął po swój oparty o pień karabin i zastrzelił pierwszego Indianina; wtedy strzała trafiła go w ramię; wbiła się głęboko, jej trzonek wystawał z mięśnia. Krzyknął:

— Biegnij do chaty!

Młoda Liza odwróciła się, podeszła do niego i objęła go. Odepchnął ją, złapał za siekierę i stanął za jodłowym pniem, mając go jako bastion przed sobą. Zorientował się, że Liza nie ucieknie i wepchnął ją pod pień, gdy Rogue, wciąż truchtając, dotarli do pnia i przelali się przez niego. Druga strzała go zabiła, a kolba karabinu kolejnego wojownika roztrzaskała głowę Lizy Bartlett, kiedy kucała przy mężu i wołała na niego. Jej ostatnim gestem, gdy umierała, było położenie na nim ręki…

Rogue, wyłaniający się z ukrytych wąwozów rezerwatu, udali się wzdłuż zakoli rzeki, jedna banda po jednej jej stronie i druga po drugiej. U McTeague'sa spotkali się z dobrze zaplanowanym oporem i po dwóch lub trzech nieudanych próbach, udali się do chaty Montgomery'ego, gdzie znaleźli panią Montgomery i jej dziecko samych. Złapali dziecko za pięty i rzucili nim o ścianę chaty; zadźgali panią Montgomery na śmierć nożami, splądrowali chatę i podpalili ją, a następnie kontynuowali marsz wzdłuż dna doliny, zabierając różne domowe drobiazgi rodziny Montgomerych pouwieszane u pasów lub uwiązane na plecach. U Partlandów znaleźli pustą chatę i spalili ją; z pobliskich zarośli młody Sam Rails zobaczył szeregi miedzianoskórych wojowników nadchodzące przez łąkę i strach dodał mu skrzydeł, kiedy uciekł, aby ostrzec innych osadników. Docierając

do Oldhama, Rogue napotkali silniejszy opór i po godzinie przerywanego ostrzału, wyruszyli w dalszy marsz do chaty Allena. Odgłosy strzałów w oddali ostrzegły panią Allen na czas. Zabierając swojego chłopca, pobiegła do sterty gałęzi na łące i zagrzebała w niej siebie i syna. Trzymając dłoń na ustach łkającego dziecka, patrzyła, jak jej chata płonie - i leżała tam przerażona, długo po tym jak Rogue odeszli.

Wezwanie do rebelii najwyraźniej dotarło do wszystkich band na tych południowych wzgórzach; tego samego popołudnia nękani byli górnicy wzdłuż Applegate, a daleko w dół rzeki widziano jedną z band na piaskowej łasze Big Meadow. Wyżej, na szlaku z Crescent City została przechwycona i rozbita wracająca z wybrzeża karawana jucznych mułów Stuarta, zwierzęta i ludzie zginęli, a towary zostały zniszczone i porozrzucane po lesie.

W międzyczasie grupy poruszające się wzdłuż górnej części doliny, ominęły prom w dole, nie niepokojąc go, natknęły się na inną karawanę Stuarta, która wracała wówczas do domu ze Scottsburga. Blazier i Murrow otrzymali drobne ostrzeżenie i pośpiesznie utworzyli fortyfikacje w krzakach, aby stoczyć walkę z napastnikami. Tutaj, podobnie jak i w innych miejscach, pośpiech skłonił Indian do zastosowania tylko połowy wysiłków wobec tych grup, które stawiły im opór. Zabili wszystkie muły i śmiertelnie ranili Murrowa; następnie, bojąc się wejść głębiej w las, aby złapać Blaziera, udali się w kierunku Dance'a, dwie mile na północ. Blazier próbował opatrzyć zraniony bok Murrowa, lecz starszy mężczyzna, tylko uśmiechając się do niego z żalem, wydał ostatnie tchnienie. Blazier, myśląc o Caroline Dance, skierował się w stronę chaty, trzymając się blisko osłony drzew i zarośli.

Z daleka usłyszał stałą i intensywną wymianę ognia, która trwała przez większą część pół godziny. Potem palba całkowicie ucichła i gdy Blazier znalazł się w zasięgu widoczności od chaty, nie dostrzegł żadnych śladów Indian ani osadników. Wszystkie kopy siana na łące płonęły, podobnie jak szopy; lecz główny dom stał nietknięty. Blazier podkradł się przez zarośla, aż zbliżył się na pięćdziesiąt jardów, zatrzymał się, przepatrzył dokładnie skraj łąki i nasłuchiwał w słabnącym świetle dziennym wszelkich odgłosów. W końcu zawołał - i usłyszał odpowiadający mu z domu głos.

Przebiegł przez pustą przestrzeń i wszedł do domu. Pani Dance siedziała w bujanym fotelu, jej mąż leżał martwy na podłodze, a jeden z synów leżał na progu tylnych drzwi. Spytał:

— Gdzie są pozostali chłopcy - gdzie jest Caroline?

Pokręciła głową.

— Nie wiem. Chłopcy wybrali się nad Applegate. Caroline - ostatnio ją widziałam, była na krańcu łąki, szukając krowy bez rogów.

— Zostanę, dopóki nie nadejdzie pomoc — powiedział. — Pójdę na łąkę i jej poszukam.

— Caroline zawsze potrafiła o siebie zadbać — odparła pani Dance w z oszołomieniem, w chaotyczny sposób. — Wszystko będzie w porządku. Wróci, kiedy znajdzie krowę.

W południe Stuart przygotował sobie lunch w pokoju na zapleczu; o pierwszej wyszedł ze sklepu i przeszedł ulicą, mijając biuro Camrose'a - strażnicy uważnie go obserwowali - i wyszedł poza obóz. Nie był człowiekiem, który byłby w stanie długo znosić trzeźwą refleksję, nie popadając przy tym w znużenie, znudzenie i niecierpliwość. Jego światem było działanie, to jego chęć sprawiała, że biegło mu się gładko i przyjemnie; więc pokonywał trudne do przebycia podnóża wzgórz, pocił się i czuł, jak powietrze wypełnia mu płuca. O trzeciej wrócił do sklepu i usiadł na pudle z fajką w ustach. Odzyskał spokój, lecz nie znalazł odpowiedzi na swój problem. Problemem był dylemat - jakie teraz były jego obowiązki wobec Camrose'a?

Od dawna przymykał oczy na wady tego człowieka. Ludziom, którzy lubili George'a Camrose'a - i dlatego właśnie starał się ich pozyskiwać - łatwo było znaleźć wymówki dla jego nastrojów, jego swobodnej obojętności, jego nawyku brania tak wiele za pewnik, jego sposobu opierania się na innych. Człowiek ten miał w sobie wiele uroku, kiedy chciał i potrzebował go użyć. Lecz powłoka uroku rozdarła się obecnie, ujawniając jego wnętrze. A był to bardzo tandetny materiał. Stuart nie miał wątpliwości co do winy Camrose'a, zarówno w kwestii kradzieży, jak i morderstwa. Wyrok obozu był słuszny; w końcu człowiek, który nie miał skrupułów w kwestii kradzieży złotego pyłu, nie miałby skrupułów w kwestii zabijania, gdyby został do tego zmuszony przez narastającą desperację.

Jednak przyjaźń miała swoje zobowiązania, które przetrwały nawet wtedy, gdy przyjaźń przeminęła. Tylko człowiek bardzo zimnokrwisty, mógłby nagle, w jakiś pechowy poranek, zerwać te zobowiązania i odejść. Oznaczałoby to, że więzy przyjaźni nigdy nie były dla niego prawdziwe; oznaczałoby to, że lojalność tego człowieka jest rzeczą bardzo zmienną, podlegającą wszelkim kaprysom aury. Jeśli człowiek nie potrafił wytrwać w kilku ważnych sprawach, to jaki sens miało życie? Opróżnił fajkę i napełnił ją ponownie. Siedział zupełnie bezczynnie, przedzierając się przez głębszą dżunglę w głowie, niż ta jaką kiedykolwiek napotkał w górach. Słońce przesunęło się na zachód, a cienie się rozciągnęły.

Zdał sobie sprawę, że Lucy wiedziała już o George'u wszystkie te rzeczy, których on nigdy nie potrafił jej powiedzieć. A jednak Lucy z pewnością nie uwierzyła w zło Camrose'a; była związana swoimi zasadami, tak samo jak on, Stuart, był związany swoimi. Więc przyszła do jego sklepu i powiedziała mu, nie mówiąc ani jednego słowa wprost - co musi zrobić. To był jasny przekaz. Jeśli uwolni Camrose'a, będzie on musiał uciekać, a Lucy uda się za nim.

Fundamenty tego człowieka były zgniłe; nie można było zbudować na nich niczego trwałego. Tym, kim był teraz, będzie zawsze; i zrujnuje życie tej dziewczyny. To było całkowicie oczywiste.

A jednak nie można było nic w tej sprawie zrobić. W końcu Lucy zostanie rozczarowana i zniszczona przez tego człowieka. Lecz jeśli obóz powiesi Camrose'a, ją to i tak zniszczy — w inny sposób; stanie się kobietą pielęgnującą próżną miłość przez kolejne czterdzieści lat i uczyni ją to bezpłodną oraz pozbawi wszelkich nadziei. Cała ta sprawa była

czymś zapisanym w Księgach Przeznaczenia i żadne ich nędzne wysiłki nie mogły niczego z tego wymazać.

Clenchfield, obserwując z zainteresowaniem, zobaczył, że Stuart w końcu wzrusza ramionami i kładzie ciężką rękę na kolanie. Był to gest podjęcia jakiejś decyzji. Potem Stuart wyjął fajkę, obrzucił ją niezadowolonym spojrzeniem i wstał.

— Tytoń, jaki tu nam przysyłają, jest dosyć paskudny, Henry.

— Ciągnąłeś tę fajkę przez ostatnie pięć godzin — stwierdził w odpowiedzi Clenchfield.

Stuart podszedł do drzwi i oparł się ramieniem o ościeżnicę, rzucając spojrzeniem w obie strony ulicy. Strażnicy przed domem Camrose'a nadal pozostawali; gdzie indziej panował zwykły ruch i aktywność późnego popołudnia.

— Siedzą w jakimś pokoju na tyłach, próbując wymyślić jak to rozegrać.

— Co wymyślić? — spytał Clenchfield.

— Najlepszy sposób, na powieszenie Camrose'a nie robiąc zamieszania. Zrobią to po zmroku. Henry, wyczyść smar z jednego z tych nowych Coltów i załaduj go dla mnie.

— Nie powinieneś tego robić. Nie dasz rady przeciwstawić się całemu obozowi.

— Mogę przeciwstawić się obozowi, tak jak ty albo każdy inny człowiek, jeśli będzie musiał.

Henry Clenchfield uderzył knykciami o blat w rzadkim geście gniewu.

— Ale dlaczego miałbyś to robić? Człowiek nigdy nie musi robić niczego, co jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

— Zdrowy rozsądek nigdy by nie wygrał wojny, nie zbudowałby drogi ani nie napisałby książki.

— A co zatem sprawia, że ludzie robią takie rzeczy? — spytał Clenchfield.

— Henry — powiedział Stuart i teraz się uśmiechnął, — czy pamiętasz, jak byłeś młody i patrzyłeś na kobietę? Czy pamiętasz ambicje jakie wtedy miałeś?

— Byłem głupcem, dopóki się nie zestarzałem i nie nabrałem rozumu.

— To nie rozum sprawia, że człowiek jest głodny. Ani rozum nie sprawia, że staje on do walki, czy też knuje spiski, albo wysyła go do Corsona, żeby się napił i czuł się rozluźniony. To nie rozum sprawia, że człowiek znajduje sobie przyjaciela, chwyta się swojego Boga lub zapisuje się do swojej loży masońskiej. To nie rozum trzyma człowieka przy przyjaciołach, ani nie sprawia, że płacze on, śmieje się i denerwuje. Człowiek robi coś - a potem znajduje jakąś wymówkę, żeby nazwać to rozsądnym czynem; ale nie dlatego to robi, Henry. Robi to, ponieważ coś o wiele głębszego popycha go do tego. Rozum to blady błysk świecy, którą człowiek trzyma, by go prowadził, kiedy wygaśnie w nim ogień.

Uśmiechał się nadal, uwolniony od ciężkich trosk, które dręczyły go przez całe popołudnie. Odzyskał wiarę w siebie, powracając do tych niezwykle prostych podstaw, w które wierzył i których nie musiał sobie wyjaśniać.

Przeszedł przez sklep i wyszedł z budynku tylnymi drzwiami. Słońce było już w połowie schowane za zachodnimi wzgórzami i nagle jesienne powietrze zaczęło robić się zimne; wzdłuż strumienia dymy z ogni, przy których przygotowywano kolacje, zaczęły wirować z blaszanych kominów, a ludzie powoli schodzili się do domów po całodziennej pracy. Ominął tylną część biura Camrose'a, przyciągając zamyślone spojrzenie stojącego tam strażnika; poszedł do swojej stodoły i osiodłał najlepszego ze swoich koni - dużego kasztana o głębokiej klatce piersiowej, stworzonego wręcz do długich biegów.

Zatrzymał się w drzwiach stodoły, by obserwować budynek z drewnianych kłód, w którym przetrzymywany był Camrose, i z tego miejsca zobaczył dwóch strażników od przodu i jednego strażnika z tyłu. Wszyscy trzej obserwowali go teraz z odległości dwustu stóp. Spoglądając za nich, zauważył jeszcze jednego człowieka stojącego w sklepie Meadowsa, który również miał go na oku. Obóz znał go i podejrzewał, a ta obserwacja wywołała uśmiech na jego twarzy. To była kolejna gra do rozegrania, trudniejsza niż wiele innych, w które bywał już zaangażowany, a w tej sprawie był sam, stojąc przeciwko ludziom, którzy od dawna byli jego przyjaciółmi. Im się to nie podobało, a jemu jeszcze mniej; jednak tak właśnie trzeba było to rozegrać.

Wycofał się do stajni i usiadł na beczce, zastanawiając się nad jakimś sposobem, który mógłby okazać się skuteczny; i obracał go w myślach, udoskonalając i wygładzając, aż sposób wydał się możliwy do realizacji w praktyce. W ostatnich jasnych promieniach dnia, w pełnym galopie nadjechał drogą jeździec, przekroczył strumień w tempie, które wydawało się nieostrożnością, i dalej pędził ulicą. Stuart usłyszał jego krzyk, ale nie rozróżnił żadnych słów, ponieważ między nim a jeźdźcem znajdowały się zabudowania przy ulicy. Głos jeźdźca ucichł, zaś podniósł się rwetes innych.

Wracając do drzwi stodoły, zobaczył, że wszyscy trzej strażnicy udali się na ulicę; wkrótce zaś od wszystkich ognisk wzdłuż strumienia zaczęli zbiegać się górnicy, spływając przez wolne przestrzenie między budynkami na ulicę. Podniecenie rozprzestrzeniło się dosłownie wszędzie.

Stuart ruszył w stronę tylnej części biura Camrose’a, w międzyczasie obserwując ostatnią grupę wyłaniającą się znad potoku; zwolnił kroku, aż zauważył, że przez chwilę nikt na niego nie patrzy. Następnie podszedł do tylnych drzwi Camrose’a i spróbował nacisnąć klamkę, lecz zamek był przekręcony. Naparł ramieniem na drzwi i usłyszał, jak skobel zamka zgrzyta o obudowę. Głos Camrose’a wydobył się ze środka, przesiąknięty nutą paniki.

— Kto to?

— Ciągnij za tę klamkę, George — powiedział Stuart. Cofnął się i z całej siły uderzył w drzwi nogami i ciałem. Zasuwa pękła i drzwi stanęły otworem. Stuart wpadł przez nie i wpadł na Camrose'a, który przez chwilę gwałtownie się z nim zmagał i próbował wybiec z pomieszczenia. Stuart powiedział:

— Poczekaj.

— Nie mają zamiaru czekać dłużej niż do zmroku. Słyszałem, jak rozmawiają.

Stuart wręczył mu swoją broń.

— Weź z mojej stodoły kasztana. Przejedź przez wzgórza i nie zatrzymuj się. Nie wracaj tutaj.

— Logan…

— To wszystko, co mam ci do powiedzenia — oznajmił Stuart. — Twoje dłonie są czerwone od krwi, jak diabli. Jeśli cię znowu złapią, nie proś mnie o pomoc.

Wycofał się z pomieszczenia, dokładnie rozejrzał się dookoła i skinął na Camrose'a; następnie pobiegł wzdłuż tylnego krańca budynku przy ulicy, wślizgnął się między swój sklep a sklep Howisona i natknął się na rosnący tłum. Przy czarnym od potu koniu stał jakiś człowiek, zarówno on i koń byli krańcowo wyczerpani. Człowiek mówił coś z opuszczoną głową, ledwo dało się go zrozumieć.

— Od Evansa, przez całą drogę. Moja żona nie żyje. Moja córeczka nie żyje…

Był to Cobb, który znajdował się na skraju załamania. Howison stanął koło niego, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Ilu Indian widziałeś? Wielką bandę, małą bandę?

— Wszyscy wyruszyli z rezerwatu. Mówię ci…

— Co się dzieje? — spytał Stuart.

Najbliżej Stuarta stał Johnny Steele. Johnny się odwrócił do niego.

— Przybył od dolnego promu, Logan. Wszystko po drodze stoi w ogniu.

Posłaniec powiedział:

— Gdybym był pieszo, dorwaliby mnie. Wracałem do domu i widziałem, jak wychodzą z mojej chaty…

Howison zapytał:

— Dokąd poszli, kiedy opuścili twoje gospodarstwo?

— Ruszyli w stronę Dance’a. — Jego twarz zrobiła się dziwna, zaniepokojona i blada, w miarę jak czuł, że traci przytomność. Udało mu się jeszcze wykrztusić: — Wszystko zaczęło się przez Bragga. Bragg zabił dziś rano dwie indiańskie dziewczyny. Przyjazny Rogue powiedział o tym przewoźnikowi. — Następnie prześlizgnął się przez ramię Howisona i upadł na ziemię.

— No cóż — stwierdził Johnny Steele, — mężczyzna powinien być twardszy niż on.

— Diabelnie głupia uwaga, Johnny — odparł mu Stuart. — Będziemy musieli zebrać kompanię i wyruszyć dziś wieczorem. Sześćdziesięciu ludzi. Czy jest sześćdziesięciu ludzi?

Wokół niego rozległy się głosy, a Steele powiedział:

— Możemy zebrać więcej niż sześćdziesięciu.

Nagle jeden z górników — jeden ze strażników — rzucił Stuartowi przypominające sobie spojrzenie i pobiegł ulicą.

Stuart powiedział:

— Jeśli to jest naprawdę rebelia na dużą skalę, mogą zaatakować obóz. Ktoś musi być w pobliżu, na wszelki wypadek. Sześćdziesięciu ludzi wystarczy aby wyruszyć w drogę.

Z biura Camrose'a wrócił zdyszany strażnik, wykrzykując już z dala nowe wieści.

— Wyrwał się. Drzwi są otwarte - tylne drzwi. Wyłamał zamek.

Teraz tłum wprawiały w ruch i wzburzały dwa nurty podniecenia, i pośród całej grupy zaczęły krążyć rozmaite pomniejsze pomruki. Steele zawołał:

— Te drzwi otwierają się do środka, prawda? Jeśli są zniszczone, musiały zostać wyłamane pchnięciem od zewnątrz. — Ogarnęła go furia praworządnego człowieka. Krzyknął na strażnika: — Czemu nie pilnowałeś? — Rzucił się na Stuarta, a jego podejrzenia malowały się wyraźnie na twarzy. — Myślisz, że możesz stanąć przeciwko całemu obozowi? Myślisz, że…

— Johnny — oświadczył Stuart, — znowu zgadujesz. — Rozejrzał się po tłumie górników, wiedząc, że podzielają oni nieufność Johnny'ego Steele'a. Rozumiał ich bardzo dobrze, ich skłonność do sentymentalnych łez, życzliwości, brutalnej sprawiedliwości; ale znał też ich nieokiełznaną moc, gdy się ich rozbudzi. W tej chwili znajdował się w niewiele lepszej sytuacji niż Camrose, ale wzruszył ramionami i nie okazywał im żadnych uczuć. — Ktokolwiek wyrusza z nami, niech będzie tu za dwadzieścia minut. Żywność na trzy dni.

Johnny Steele pokręcił głową.

— Teraz mamy co innego do roboty, ale wrócimy do tej sprawy później. Potraktujemy cię twardo. Nauczymy cię czegoś, czego musisz się nauczyć. Żaden człowiek nie może stawać przeciwko całemu obozowi.

Stuart skręcił do swojego sklepu, zabrał żywność i ruszył do stodoły, aby osiodłać konia. Gdy ponownie dotarł na ulicę, kompania była już zebrana, w połowie piesza, w połowie konna, i już wybrała sobie oficerów: Howison był kapitanem, Steele porucznikiem, a górnik o nazwisku Kelly sierżantem. Howison wyjaśnił to Stuartowi w poufnej rozmowie na stronie.

— Myślę, że chłopcy dali mi funkcję, aby pokazać swoją irytację w stosunku do ciebie. — Zwrócił się do swojego oddziału. — Jeśli mam dowodzić tą kompanią, to będę to robił po swojemu. Jeśli mój sposób wam nie odpowiada, to jest to właściwa chwila, abyście wybrali sobie kogoś innego. Ale dopóki ja nią kieruję, nie chcę żadnych sporów o moje decyzje. Naprzód!

Kompania kapitana Howisona ustawiła się w swobodnej imitacji szyku wojskowego i ruszyła krętą ulicą, w połowie konno, w połowie pieszo, z każdym człowiekiem w odmienny sposób objuczonym kocami, zapasami i bronią. Kompania przyciągała zainteresowaną publiczność wzdłuż całej ulicy. Eli Decker, w patriotycznym odruchu, wyciągnął beczkę whisky z otwartym wieczkiem i kilka czerpaków, i przez jakiś czas maszerująca kolumna ani nie maszerowała, ani nie w kolumnie. W chwili, gdy beczka została opróżniona, marsz uległ wznowieniu, a od strony gapiów dobiegła ostatnia salwa uwag i swobodnych okrzyków.

Stuart szedł z tyłu grupy. Gdy przechodził wzdłuż ulicy, zauważył stojących w tłumie Overmire'a i Lucy. Overmire pomachał do niego ręką i zawołał: „Powodzenia”. Lucy spojrzała mu w oczy i przemówiła do niego w

dawny i spokojny sposób, który tak dobrze znał; a on odpowiedział jej w podobnym stylu, i tak opuścił Jacksonville.

Pięć mil na północny wschód od miasta, w całkowitym mroku nocy, Howison zauważył narastające pragnienie odpoczynku i zatrzymał oddział.

— Przygotujcie sobie szybką kolację. Proponuję, aby oddział przeszedł dziś w nocy prosto do Dance’a.

— Nie dotrzemy tam przed świtem — zauważył Kelly, sierżant.

— Jeśli rozbijemy obóz na nocleg do rana, nie dotrzemy tam przed jutrzejszym wieczorem.

— A jednak — upierał się Kelly, — jeśli będziemy maszerowali całą noc i dotrzemy do Dance'a o świcie, a potem znajdziemy świeży ślad, będziemy za bardzo zmęczeni, żeby nim podążyć.

Howison wpatrywał się w Kelly'ego.

— Mówisz jak pies goniący za swoim ogonem.

— No cóż, nawet pies ma na tyle rozumu, żeby zwinąć się w kłębek i spać, kiedy jest zmęczony.

Dyskusja coraz bardziej się rozkręcała. Kelly wygłosił perorę na rzecz odpoczynku i wczesnego wstania rano. Konny górnik o nazwisku Parrott zaproponował odpoczynek do północy. George McFall zasugerował marsz przez noc, ale z zastrzeżeniem: niech właściciele koni podjadą milę naprzód, przywiążą konie i idą dalej na nogach. Piesi górnicy dojdą do przywiązanych koni, przejadą milę przed pierwszą grupę i przywiążą je, kontynuując marsz pieszo. Ed Jensen sprzeciwił się temu, stwierdzając, że to przeciąży konie. Od tej chwili dyskusja zeszła na temat różnej wytrzymałości koni.

— Na przykład — powiedział Ned Gotch — znałem konia nad Russian River, który ważył około siedemset pięćdziesiąt funtów i miał czternaście lat. A jednak zimą ’50-go roku koń ten przeniósł dwóch mężczyzn piętnaście mil przez góry, po szlaku o głębokości trzech stóp w śniegu.

— Chyba to nie był koń kalifornijski — stwierdził ktoś inny. — To musiał być czystej krwi mustang.

Stuart zacisnął popręg konia i włożył nogę w strzemiono. Howison zawołał do niego przez ciemność.

— Dokąd jedziesz, Logan?

— Do Dance’a. Nie przyjechałem tu, żeby kłócić się o konie.

— No cóż — powiedział Johnny Steele, — musimy przedyskutować tę sprawę.

— Wybraliście kapitana, żeby wydawał rozkazy. Jeśli będziecie zatrzymywać się w każdym domu, żeby się z nim kłócić, jakim sposobem spodziewacie się dogonić jakichkolwiek Indian? Jeśli chcecie powymieniać się historyjkami, wracajcie do Corsona. Jeśli wyruszyliście walczyć, przestańcie się wymądrzać. Na ulicy mówiliście dużo, teraz dostajecie stracha. W tym tempie nie złapiecie żadnych Indian, a może nawet wcale tego nie chcecie. Może chcecie tylko poparadować w łatwych miejscach przez dwa dni, a potem wrócić do obozu i udawać, jacy to z was są wspaniali mężczyźni. — Potem dorzucił z wyrazem ostrej pogardy: — Do diabła, widok Indianina zmusiłby was do ucieczki do Kalifornii.

Do jego uszu dobiegł oburzony głos Johnny'ego Steele'a.

— No więc, co ty chciałbyś zrobić?

— Ci na koniach powinni szybko ruszyć do Dance'a i złapać trop Indian. Reszta z was powinna udać się nad rzekę i patrolować od Promu do Dance'ów, na wypadek gdyby Rogue dali drapaka z powrotem. Ja jadę do Dance'a. Kto jedzie ze mną?

— Ja pojadę — powiedział Howison. — Ty zabierz pieszych chłopców, Steele.

— Nie — oznajmił Steele. — Niech ktoś mi pożyczy konia.

Jeźdźcy formowali się w nocnym mroku. Gdzieś w tej ciemności jeździec, zachęcony przekonującymi słowami Steele'a, oddał mu wierzchowca i dołączył do grupy pieszych. Howison powiedział:

— Kelly, dowodzisz chłopcami na pieszo. Ty osłaniasz rzekę.

— Po której stronie rzeki? — zapytał Kelly. — Na jak długo? Jak daleko mam iść i kiedy zawrócić?

— Nie przejmuj się, Kelly — rzucił jakiś głos. — Postanowimy to w trakcie drogi.

— Niech mnie diabli — warknął Kelly. — Jeśli mam dowodzić, to sam podejmę decyzję.

Stuart i Howison ruszyli, prowadząc za sobą dwudziestu lub więcej jeźdźców. Nocne niebo lśniło swoją srebrzystą poświatą, a lekki wiatr niósł ze sobą rześki jesienny chłód. Zmierzając wzdłuż szlaku, który trzymał się podnóża wzgórz, dostrzegli srebrny blask rzeki w dole i wkrótce natrafili na nią samą, podążając dalej w rytmie: stępa – galopem - stępa, za jej meandrami i prostymi odcinkami. Przed nimi zabłysło światło chaty; a potem światło zgasło, gdy do mieszkańców dotarły odgłosy ich koni. Następnie przejechali koło niej, a Howison krzyknął:

— Jutro będzie tu patrolować kolejna grupa, Oldham.

Zapach rozgrzewających się koni zrobił się przenikliwy, a odgłosy szczękającego wyposażenia stukały rytmicznie w mroku. Odpoczęli przez chwilę i ruszyli naprzód; przy dolnym promie krzyczeli przez wodę, aż przewoźnik wyszedł ze swojej chaty i przypłynął promem.

— Jakie są ostatnie wieści? — zapytał Stuart.

— Mam tu cztery rodziny obsadzające fortyfikacje. Możemy być spokojni. Indianie ruszyli w stronę Dance'a. Perry Volk został zabity milę w dół rzeki.

Rzeka odpływała na północny zachód, szlak zmierzał na północ. Stuart parł dalej, przez niewielkie, połacie polan i w górę zboczy niskich wzgórz, i płaskimi odcinkami luźno usianymi drzewami. W gęstej masie wzgórz przed nimi widać było czerwoną łunę na niebie. Było to jakieś siedem lub osiem mil dalej, za Dance'ami.

— Podpalili las — powiedział Howison. — Albo to mogła być chata Jaya Fitcha.

Natknęli się na pozostałości zniszczonego taboru Stuarta; muły leżały wzdłuż szlaku, powywracane razem ze swoimi pakunkami, a zapach ich ciał zaczął już robić się coraz silniejszy. Stuart podjechał bliżej. Zszedł na ziemię i przeszedł wzdłuż resztek. Nie był pewien ich tożsamości, dopóki nie natknął się na jednego muła, którego ślady znał.

— Moja — powiedział.

Howison westchnął.

— To źle. Jak duża była ta karawana?

— Trzydzieści mułów.

— Ciekawe, czy Blazier i Murrow się z tego wykaraskali.

Rozrzucone bele materiału tworzyły w nocnych ciemnościach upiorne wzory, a wszystkie konie oddziału uciekały od widoku i zapachu tej katastrofy. Objechali więc miejsce ataku, wracając na szlak dopiero kiedy martwe muły pozostały daleko w tyle. W oddali zamigotało światło z domu Dance'a, i wkrótce Howison wykrzyknął podniesionym głosem długie i falujące „Hallo", aby uprzedzić znajdujących się tam ludzi. Gdy oddział wjechał na podwórze, drzwi domu Dance'a były otwarte – a głos Vane'a Blaziera zawołał:

— Kto tam?

— Jak tu wygląda sytuacja? — zapytał Stuart.

— No cóż, cieszę się, że cię widzę — powiedział Blazier. — Zostaliśmy zaatakowani i zabili Murrowa. Stary Dance i młody Bushrod Dance nie żyją. Pani Dance jest cała. Caroline zniknęła. Była w krzakach, szukając krowy, kiedy uderzyli Rogue. Znalazłem jej trop, ale nie mogłem nim ruszyć. Dokoła wciąż kręcili się jacyś Indianie i musiałem się wycofać. Na Boga, cieszę się, że tu jesteś.

Rozdział XV
Caroline

Stuart wszedł do domu i zastał panią Dance przy kuchni. Słyszała ich i teraz zaproponowała, że przygotuje jakiś posiłek. Popatrzyła po Stuarcie, a jej ciemna twarz miała opanowany wyraz.

— Z Caroline na pewno wszystko jest w porządku — zapewniła go. — Wychowaliśmy nasze dzieci tak, żeby potrafiły się sobą zająć. Za chwilę przyniosę kawę.

Howison i część grupy wtłoczyli się do środka, a inni krążyli wokół chaty, głośno nawołując się w ciemnościach. Stuart powiedział:

— Rano lepiej zabierzmy was do promu. To bezpieczniejsze miejsce.

— Nie — powiedziała pani Dance — nie czułabym się dobrze w domu innej kobiety. No i przecież pozostali chłopcy zaraz wrócą. Oni się wszystkim zajmą.

Blazier powiedział:

— Musimy pójść śladem Caroline. Prowadzi tam — wskazał na wzgórza na wschodzie. Czekał, aż Stuart się odezwie. Kiedy Stuart nie wykazał chęci ruszenia się z miejsca, napięte nerwy młodego Blaziera zaczęły pękać. Rzucił Stuartowi gorące i pełne urazy spojrzenie. — A więc co, nie idziemy?

— Co miała na sobie Caroline? — spytał Stuart panią Dance.

— Sukienkę w kratkę — odpowiedziała pani Dance. — W niebiesko-białą kratkę.

— Jaką broń wzięła?

— Duży rewolwer jej ojca.

— No cóż — stwierdził Stuart. — To sześć strzałów. Słyszałaś, że strzelała?

— Nie przypominam sobie — powiedziała pani Dance. — Kiedy były tu te czerwone bestie, było mnóstwo wystrzałów dokoła. Mój mąż zginął niemal od razu. Syn Bushrod został trafiony prawie ostatnim strzałem. Potem odeszli stąd. — Stanęła twarzą do pieca, odwrócona do nich plecami. — Wtedy myślałam tylko o moim mężu, o nikim innym.

Młody Blazier rzucił pani Dance pełne irytacji spojrzenie, urażony tym co powiedziała; zabrzmiało to dla niego bezdusznie. Stuart dopytywał ją dalej:

— Jak myślisz, w którą stronę mogła pójść ta bezroga krowa?

— To było krnąbrne zwierzę — odparła pani Dance. — Zawsze przewracała ogrodzenie. W Goose Canyon jest jakiś rodzaj trawy, za którym przepadała.

— Jak długo jej nie było — spytał Stuart — kiedy Rogue was zaatakowali?

Pani Dance położyła dłoń na oczach, żeby się zastanowić.

— Na kuchni gotowały się ziemniaki na kolację. Postawiłam je o piątej trzydzieści. Wtedy poszła. Mieszałam zieleninę z twarożkiem. Potem odwróciłem się, żeby zdjąć ziemniaki z pieca. Było już blisko szóstej. Usłyszałam krzyk Dance'a, a potem przybiegł z łąki. Nawet nie zdjęłam ziemniaków z kuchenki. Woda wygotowała się i ziemniaki przypaliły. Tak więc, nie było jej z pół godziny, kiedy nadeszły te bestie.

Jeden z uczestników wyprawy, na zewnątrz domu, powiedział:

— Ktoś zbliża się szlakiem. — Później noc przeszyło jego ostre obwołanie: — Kto tam jest? Odpowiadaj!

Jakiś głos, gardłowy ze zmęczenia, odpowiedział.

— Podchodzę.

Stuart, słysząc ten głos, wyszedł z chaty. Górnicy wynurzyli się z cienia i zbili w grupę na podwórzu domu, nasłuchując szurania butów zbliżającego się nieznajomego. Przybysz zawołał ponownie:

— Tu wszędzie dokoła są Rogue. Słyszałem ich na szlaku jakiś czas temu.

Stuart wyciągnął broń. Powiedział:

— Stój. Kim jesteś?

Howison mruknął:

— Do diabła, Logan, to biały człowiek. Niech podejdzie.

Szuranie butów nieznajomego ustało. Powiedział innym głosem:

— To ty, Logan? Gonią mnie przez cały dzień. Jestem śmiertelnie zmęczony.

— Przecież — wykrztusił Howison — to Bragg.

Stuart uniósł broń i wystrzelił w stronę Bragga. Echo rozeszło się po nocy wielkimi, rozszerzającymi się falami i odbiło się o wzgórza, rozpadając się na mniejsze echa. Bragg stał twardo, w miejscu gdzie był. Zaczął nalegać z uporem.

— Stuart, musisz zapomnieć o całej sprawie. Nie zwracaj się teraz przeciwko człowiekowi o twoim kolorze skóry. Chłopcy, nie pozwólcie mu na to. Zabierzcie mu broń.

— Jeśli cię zobaczę na oczy, Bragg, zabiję cię — oświadczył Stuart.

— Słuchajcie, chłopcy — prosił Bragg — nie mogę już dłużej uciekać. Rogue są w zasięgu mojego głosu. Wiecie, co ze mną zrobią, prawda? Chcecie zobaczyć, jak wiszę przymocowany do drzewa, goły i obdarty ze skóry? Tak właśnie zrobią.

Stuart stał w milczeniu. Howison wpatrywał się w niego przez ciemność, a jego własne uczucia zostały nieco podminowane przez makabryczny obrazem, jaki namalował Bragg. Reszta grupy nic nie powiedziała, a Bragg odezwał się ponownie coraz bardziej błagalnym tonem.

— Chłopcy, zabierzcie mnie. Wrócę do Jacksonville i stanę przed sądem górniczym. To chyba uczciwe, co?

— Nie — odparł Stuart. — Nic ci się od nas nie należy.

Bragg warknął:

— Na Boga, pochodzę — a jego buty zaczęły szurać po drodze.

Ma nadzieję, że złamie ich nerwy, pomyślał Stuart; ma nadzieję, że wejdzie między nich, po czym nie będą mieli odwagi go zastrzelić. Stuart uniósł rewolwer od razu, gdy tylko zobaczył na tle nocy sylwetkę człowieka; wystrzelił dwa razy i był świadkiem, jak Bragg odskakuje na bok i zjeżdża ze szlaku w zarośla. W ciemnościach nocy zabrzmiały straszne i urywane przekleństwa Bragga. Jego namowy ciągnęły się w nieskończoność, na przemian gwałtowne i błagalne. Ludzie stali bez ruchu, słuchając.

Stuart powiedział:

— Blazier i ja idziemy w górę Goose Canyon. Nie sądzę, byśmy cokolwiek zobaczyli w ciemności, ale musimy poszukać.

Ruszył razem z Blazierem. Zatrzymał się nagle i zawołał.

— Jeśli pozwolicie Braggowi tu przyjść, zastrzelę go, kiedy wrócę.

Jeden z grupy odpowiedział mu.

— Nie przyjdzie tu. Zajmę się tym.

Stuart skręcił za róg domu i ruszył przez pustą przestrzeń, a Blazier szedł koło niego. Żółta darń błyszczała słabym blaskiem, a ich stopy stukały o grudki ziemi. Przeszli przez latem malutką stróżkę i natychmiast znaleźli się między ścianami kanionu, w czerni tak głębokiej, że pas nieba w górze, przez kontrast wydawał się niesamowicie jasny - świeciły na nim chyba wszystkie gwiazdy. Stuart zatrzymał się i przykucnął, wsłuchując się w noc. Tylko strumień chlupał na kamieniach i wiatr szumiał między drzewami. Stuart podniósł się i ruszył dalej. Przeszedł tylko niewielką odległość - około dwudziestu stóp - gdy jego stopa natrafiła na przeszkodę, na wpół miękką, a na wpół twardą. Przyłożył do niej rękę i wymacał martwą krowę bez rogów.

Blazier mruknął:

— Musiała przyprowadzić krowę z powrotem — i pospieszył do przodu.

Stuart stłumił chęć zawołania go i pozostał przy krowie. Jeśli Caroline odeszła, to w którą stronę? Nie od razu do domu, ponieważ był atakowany. Być może krążyła w lesie i czekała na okazję do powrotu. Dlaczego więc nie wróciła po tym, jak Indianie opuścili chatę?

Może wycofała się głębiej na wzgórza.

Jeśli tak, to należałoby przypuszczać, że podążyła albo na północ, albo na wschód - oba kierunki zapewniały najgęstszy las do osłony. Nie było prawie żadnej wskazówki odnośnie do wyboru między tymi dwiema drogami, z wyjątkiem tego, że idąc na północ, trzymała się blisko szlaku Oregon-Kalifornia i mogła natknąć się na przechodzących nim górników.

Wszystko to opierało się na przypuszczeniu, że przeżyła. Położył dłoń na krowie i poczuł ciepło wciąż tkwiące w tym truchle; pomyślał o jędrnej i zarumienionej twarzy Caroline, o krzywiźnie jej ramion i uśmiechu, który rzadko się u niej pojawiał. Wtedy, punktu położonego wyżej na szlaku, młody Blazier głośno wykrzyczał jej imię w noc.

— Caroline!

Ledwie je wypowiedział, gdy w ciemności rozległ się suchy i ostry strzał z rewolweru, po którym nastąpił drugi, a potem Stuart usłyszał, jak buty Blaziera z tupotem pędzą w dół szlaku. Stuart podniósł się i stanął na

nogi. Wyciągnął ręce i przyjął pierwsze uderzenie rozpędzonego ciała Blaziera. Szepnął:

— Spokojnie — i odciągnął Blaziera od szlaku. Popchnął Blaziera i sam upadł na ziemię.

Jakiś głos w górze szlaku powiedział:

— Ah-uh — i po chwili Stuart wychwycił szybki, lekki stukot mokasynów. Stuart przywarł niżej ziemie, aby uchwycić sylwetkę Rogue na tle nieba; widział go niewyraźnie, a potem zobaczył drugiego - dwa ludzkie kształty, blisko siebie.

Obaj Rogue zdawali sobie sprawę z obecności martwej krowy i zwolnili kroku. W tym momencie Stuart poderwał się z ziemi i uderzył lufą rewolweru w głowę pierwszego z nich. Drugi Indianin, ostrzeżony, odskoczył do tyłu i strzelił - chybiając. Kula Blaziera, wycelowana w błysk broni Rogue, powaliła drugiego Indianina. Echa strzałów szybko ucichły, jedno zlało się z drugim.

— Chodź — powiedział Stuart i poprowadził ich ścieżką w dół kanionu. Zanim odezwał się ponownie, byli już na łące koło domu. — Nie możemy nic zrobić do czasu gdy zrobi się jasno.

Howison rozstawił straże. Reszta grupy rozsiadła się na dziedzińcu, by odpocząć. Stojąc chwilę przy drzwiach, Stuart patrzył, jak Blazier pada na ziemię w pobliżu domu i słyszał, jak młody mężczyzna oddycha krótko i nierówno. Blazier płakał. Stuart pomyślał: „To właśnie do niej czuje. Ciekawe, czy ona o tym wie”. Bragg nie odezwał się więcej, ale Stuart domyślał się, że wielki mężczyzna trzyma się tak blisko ochrony zapewnianej przez ten dom, jak to tylko było możliwe. Wszedł do środka i zastał Howisona z filiżanką kawy. Usiadł i rozparł się w fotelu.

— Krowa jest martwa. Rzuciło się na nas dwóch wojowników.

Pani Dance upierała się:

— Caroline potrafi o siebie zadbać.

Howison delikatnie pokręcił głową i wyszedł z chaty. Stuart pomyślał: „Północ to równie dobry wybór jak każdy inny” i zapadłszy głębiej w fotelu, zasnął.

Obudziła go pani Dance, grzechocząc dzbankiem z kawą na piecu, on zaś stwierdził, że w czasie snu zszedł z fotela i położył się pod stołem. Na łące wokół wciąż nie było jasno, gdy poszedł na tyły domu i umył twarz w cynowej misce. Górnicy budzili się z krótkiego i niezbyt wygodnego snu, ponuro milcząc z powodu braku odpoczynku. Ciemności przeciął bladożółty płomień ogniska, wokół którego kucali ludzie piekący bekon. Pani Dance przygotowywała kawę. Stuart wypił dwie filiżanki czarnej kawy i powiedział:

— Blazier i ja jeszcze raz sprawdzimy kanion — i ruszył z młodym mężczyzną.

Na wschodnim niebie zaczęła się pojawiać blada poświata. Zwłoki martwej krowy, gdy je mijali, były już widoczne, a w potoku widoczne były jasne smugi na białych brzegach, w miejscach gdzie pienił się między głazami. Nieco za truchłem krowy Stuart zanurzył się w zaroślach i

zaczekał na pełne światło. Kiedy dzień się rozjaśnił, powiedział do Blaziera:

— Idź w dół kanionu. Powinna zostawić ślady stóp w pobliżu potoku. Ja pójdę w drugą stronę.

Pięćdziesiąt stóp od martwej krowy natknął się na wyraźne tropy Indianina odciśnięte głęboko w błocie potoku. Podążył za nimi z powrotem w zarośla i obserwował, jak stają się coraz słabiej widoczne na mniej plastycznym gruncie; wrócił do potoku i kontynuował drogę w górę jego biegu. Wkrótce znalazł inne ślady, ale wszystkie należały do Rogue. Śledzili ją, a więc szli w tym samym kierunku, co ona. Zawrócił, znajdując Blaziera nieco poniżej martwej krowy. Blazier wskazał na ziemię i zakreślił palcem wskazującym kółko wokół małego odcisku buta. Był bardzo poruszony.

— Ona tu była. Stała dokładnie w tym miejscu.

Stuart podążył za tymi śladami w górę zbocza wzgórza i w zarośla. Biegła tak, że można było to wyraźnie dostrzec po głębokich i niewyraźnych śladach. Przebiegła długi dystans nie zatrzymując się, okrążając zarośla tam, gdzie było to możliwe, a innych wypadkach przedzierając się prosto przez nie. Dwieście stóp od potoku zatrzymała się, aby odpocząć lub ukryć się. Jej kolana wycisnęły dwa okrągłe wgłębienia w leśnej ściółce.

Zawołał do Blaziera.

— Powiedz Howisonowi, żeby zostawił trzech ludzi z panią Dance, a sam poszedł z resztą. Pieszo. Nie możemy użyć koni.

Blazier popędził w dół kanionu, wysyłając przed sobą informujące o odkryciu okrzyki. Stuart przykucnął w zaroślach, zdając sobie sprawę, że będzie musiał mieć oko na Blaziera podczas całodziennego marszu; chłopak był w takim stanie umysłu, że mógł zrobić się nieostrożny. Popatrzył w dół na odciski kolan Caroline i pomyślał o strachu i szaleństwie, jakie musiały przepełniać jej myśli, lecz kiedy wyobraził sobie jej twarz, nie widział na niej przerażenia; cechowała ją pewność siebie równie duża jak każdego mężczyznę. Wyciągnął rękę w dół i położył dłoń na odcisku jej kolana i nagle zdał sobie sprawę, że jest bardziej dojrzałą kobietą, niż mu się wydawało. Przypomniał sobie cień na jej twarzy, kiedy się jej oświadczył; nawet przyjemność tej chwili nie była w stanie go całkowicie rozproszyć. Wiedziała, co jej oferował i wiedziała o Lucy. Niemniej jednak była realistką, biorąc to, co mogła dostać i nie okazując mu łez z powodu tego, czego nie mógł jej dać. Zdawał sobie sprawę, że to mniej niż chciała; to mniej niż chciałaby jakakolwiek kobieta. Ale postanowiła się tym zadowolić i ukryć swój żal.

Howison wszedł do kanionu z resztą górników i grupa utworzyła luźny krąg w zaroślach wokół Stuarta.

— Niech wszyscy się rozproszą — polecił. — Przeczeszemy okolicę najlepiej, jak potrafimy.

— Spójrz za siebie — powiedział Howison.

Stuart odwrócił głowę i popatrzył w dół kanionu, gdzie dostrzegł wyraźny kształt Bragga wchodzącego z otwartego terenu wokół domu, do kanionu. Jego postać wkrótce zniknęła im z pola widzenia.

— Boi się zostać sam — stwierdził Stuart. — Czeka go ciężka śmierć, jeśli Rogue go złapią.

Dał znak grupie, po czym wstał i zagłębił się w lesie, mając przed sobą ślady dziewczyny.

Jasne światło słońca rozlewało się po wysokim niebie, ale gdy tylko grupa weszła do tego gęstego lasu, znów nastał zmierzch, przerywany od czasu do czasu cienkim snopem światła słonecznego przebijającego się przez szczelinę w matowym suficie konarów. Te drzewa były stare, ogromne i stały mocno na ziemi, a ich wielkie korzenie tworzyły wokół nich masywne pagórki. Tysiąc lat próchnicy i rozkładu leżało na ziemi, miejscami uniemożliwiając bezpośrednie posuwanie się naprzód, a w wiecznym cieniu bujnie rosły paprocie i krzewy podszycia. Zbocze wznosiło się równomiernie i w końcu doszli do nierównego grzbietu. Za grzbietem ziemia opadała pod kątem czterdziestu pięciu stopni do kanionu porośniętego dzikimi jagodami, diabelskimi łodygami i wodolubnymi krzewami.

Odciski butów Caroline aż do tego miejsca były wyraźnie widoczne; tutaj jej szlak skręcał razem z grzbietem i prowadził wzdłuż niego na zachód. Stuart pomyślał: „Przyszło jej do głowy, by podążać w kierunku drogi Oregon-Kalifornia”. Zaczekał, aż górnicy przebiją się przez splątane zarośla na zboczu. Pojawił się Howison, głośno łapiąc powietrze w płuca; jakaś gałąź, uderzając go z boku, zostawiła mu na czole czerwoną pręgę.

Stuart podążył za Caroline na zachód. Pięćdziesiąt jardów dalej zobaczył parę odcisków mokasynów, które wychodziły z zarośli i pomaszerowały razem ze śladami Caroline; wkrótce potem do tych odcisków dołączyły i inne, aż na ziemi pojawiła się wydeptana ścieżka, w której ślady Caroline całkowicie się zatarły. Pół tuzina wojowników znalazło jej trop i podążyło za nim.

Potem ścieżka opadła w głąb kanionu. Stuart ruszył w dół zbocza, podskakując na zesztywniałych nogach, i dotarł do wąskiego, mulistego potoku, na wpół zasypanego błotem; całe to błoto zostało zmącone przez wcześniejszy przemarsz Indian. Kilka metrów dalej Howison wpadł w kępę pokrzyw i cicho przeklinał. Reszta górników przybyła, robiąc spory hałas, rzucając się do potoku po wodę. Blazier, zawsze z wyprzedzeniem, zawołał.

— Rozdarła sobie sukienkę.

Stuart podszedł do niego i zobaczył mały pasek niebiesko-białego ginghamu przylegający do sztywnego zadzioru krzaka; przykucnął i zdjął kapelusz, aby wytrząsnąć pot z jego paska. Znów miał przed oczami obraz Caroline, wciąż z kamiennym wyrazem twarzy, w poszarpanej sukience i z coraz ciemniejszymi oczami. Pokręcił głową i ruszył w górę. Howison zawołał z tyłu.

— Lepiej odpocznijmy. Zaczynamy być zmęczeni.

Szedł dalej, aż dotarł do kolejnego wzniesienia. Ślady nagle rozeszły się w kilku kierunkach, ponieważ Rogue rozdzielili się w swoich poszukiwaniach. Powiedział do Blaziera:

— Idź w tamtą stronę. Zobacz, czy uda ci się namierzyć jej ślady.

Przed nim - pod nim - znajdował się większy i szerszy kanion. Wzdłuż jego dna płynął sporych rozmiarów potok, a zbocza kanionu, zerodowane przez stulecia naporu jego nurtu, były niemal pionowe. Górnicy przesuwali się teraz z wolna do przodu, by dołączyć do niego, rzucić na niego okiem i opaść na siedzenia. Howison wspiął się na ostatnie stopnie zbocza i otworzył usta, by zaczerpnąć powietrza. Było mu gorąco z wysiłku, ale wyglądał blado.

Blazier wrócił.

— Nic tam nie znalazłem — powiedział i skierował się w inną stronę, by rozpocząć poszukiwania.

Stuart wyciągnął fajkę, napełnił ją i zapalił. Pierwsze zaciągnięcie się dymem odświeżyło go i zaczął uważniej przyglądać się tropom wokół siebie; pochylił się nad jednym z nich. Do tej pory zakładał, że ślad ten powstał poprzedniej nocy, ale teraz zauważył, że krawędzie odcisków wciąż były ostre i poszarpane. Drobinki ziemi nie obeschły i nie pokruszyły się tak, jak byłoby to po ośmiu czy dziesięciu godzinach, a wysuszone liście i krótkie źdźbła paproci, które zostały przyciśnięte ciężarem Indianina, wciąż przylegały płasko do dna odcisków.

— Zostały zrobione dziś rano — powiedział. — Musiała ukrywać się w pobliżu chaty przez całą noc - Indianie również. Musiała się domyślić, że ją obserwują i czekają na światło dzienne. Ruszyła więc dalej. Podążyli za nią, gdy tylko mogli odczytać ślady. Jest już niedaleko.

Howison pokręcił głową.

— Wiem, co musisz czuć, ale nie wpadaj w optymizm.

Blazier wrócił i przypadł do ziemi.

— Żałuję, że nie umiem czytać tropów — oznajmił i był zły na własną bezużyteczność. — Nic tam nie widzę.

Pod nimi, gdzieś w kanionie, z którego właśnie wyszli, zaczęły szeleścić zarośla. Stuart podniósł się i policzył otaczających go ludzi.

— Wszyscy tu jesteśmy, prawda? — powiedział. Podszedł do krawędzi kanionu i spojrzał w jego głąb. Znów usłyszał trzask zarośli, ale nic nie mógł dostrzec przez gęstwinę drzew; potem zarośla przestały grzechotać. — Bragg — stwierdził.

— Boi się — powiedział Howison.

— To będzie dla niego coś nowego. Nigdy wcześniej nie bał się niczego.

— Nigdy wcześniej nie stał przed niczym, czemu by nie mógł stawić czoła — zauważył Howison. — Ale z tym sobie nie da rady. Dopadną go i on o tym wie.

Nadszedł czas, by ruszyć dalej; nadszedł też czas na zgadywanie. Stromy kanion z przodu uniemożliwiał Caroline kontynuowanie drogi bezpośrednio na północ; z konieczności skręciła albo na wschód, w głąb wzgórz, albo zeszła w dół na zachód, w kierunku szlaku Oregon-Kalifornia. Z zachodu doleciał odgłos pędzącego przez zarośla jakiegoś zwierzęcia, a za chwilę zobaczył łosia, starego i o potężnym porożu, przedzierającego się przez krzewy. Wiatr nadlatywał wraz z łosiem, z zachodu, więc nie otrzymał żadnego ostrzeżenia, dopóki jego oczy nie ujrzały postaci ludzkich, które nie były znane jego światu. Ostrożność powstrzymała go,

ale nie mogła zatrzymać do końca. Przeszedł do kłusu, obrócił głowę lekko w bok, wciągnął nozdrzami powietrze, po czym rzucił się do ucieczki i pomknął w dół kanionu.

Stuart stwierdził:

— Mamy naszą odpowiedź. Coś w tamtym kierunku go wystraszyło.

Ruszył na zachód, a górnicy powlekli się obok niego i za nim, mozolnie okrążając uskoki i potężne kolumny drzew, w wysiłkiem zmagając się z zaroślami. Odciski mokasynów tworzyły na ziemi zygzakowate wzory, gęstniejące w miarę zbliżania się Rogue do siebie i przerzedzające się, gdy rozchodzili się za różnymi tropami. Las rozjaśnił się, a drzewa ustąpiły miejsca polanie, w tych dzikich ostępach; na pobliskich pniach drzew ukazały się blizny po ogniu, a dalej przerzedzający się las ukazał im widok na łąkę.

Grupa podeszła do skraju lasu i zatrzymała się przed otwartym obszarem, który stanowił nierówny kwadrat o boku około stu stóp; światło słoneczne zalewało ten pusty teren, a paprocie rosły wysoko wokół zwęglonych pni i posrebrzonych kikutów konarów. Rogue szli tędy, a ich drogę wyznaczały połamane paprocie.

Howison powiedział:

— Nie podoba mi się, że tak się tam wystawiamy.

Dla Stuarta stało się jasne, że szlak ten został wytyczony nie więcej niż dwie godziny wcześniej. Caroline była gdzieś w tamtych drzewach, a Rogue też gdzieś tam byli; czuł presję czasu, a potrzeba pośpiechu wzięła górę nad ostrożnością. Oznajmił:

— Idziemy, szybko — i wyszedł zza drzew.

Zapach paproci unosił się intensywnie w powietrzu, gdy łamał je pod stopami. Przeskakiwał martwe kłody porośnięte pnączami jagód; przepiórki, wypłoszone z kryjówek, trzepotały przed nim w niskim locie. Howison i Blazier pędzili po jego obu stronach i zauważył, że twarz Howisona była ściągnięta z wysiłku, a usta szeroko rozchylone. Reszta górników szła luźnym szykiem po polanie, poruszając się naprzód w nierównym szeregu, a ich postaci wystawały z gęstwiny paproci od bioder w górę. Odwrócił głowę, by spojrzeć za siebie i zobaczył stojącego na skraju łąki Bragga.

— Czy widzę coś przed nami, prosto przed nami, w drzewach? — zapytał Howison.

Byli już w połowie drogi i ze zmęczenia zwalniali biegu. Stuart krzyknął:

— Trzymaj tempo! Trzymać tempo! — i żałował, że zmarnował ten oddech.

Spojrzał na młodego Blaziera i zauważył, że chłopiec biegł równo, a na jego twarzy nie było widać wysiłku. Widząc to, Stuart gorzko pożałował, że nie ma już dwudziestu lat i bezgranicznej wytrzymałości dwudziestolatka. Omiótł spojrzeniem linię drzew przed sobą i pięćdziesiąt stóp od tego schronienia poderwał dłoń z rewolwerem w stronę czegoś, co uznał za czające się tam miedziane ciało. Powstrzymał się, ale jego gest zdenerwował Howisona, który uniósł broń i wystrzelił na oślep. Spłoszeni tym górnicy nabrali prędkości i jeden po drugim ruszyli do przodu,

wbiegając do lasu; tam zatrzymali się, nawołując się nawzajem rwącymi się z wyczerpania głosami.

Po polanie przetoczył się pełen rozpaczy krzyk. Wpatrując się w łąkę paproci, Stuart patrzył, jak Bragg zbliża się do nich w wielkim pośpiechu; zawołał coś ponownie, jego głos osiągnął najwyższą tonację i załamał się. Stuart uniósł broń i natychmiast wystrzelił, chybiając. Bragg zatrzymał się. Położył obie ręce na głowie i stał tak nieruchomo, jak tylko pozwalało mu na to zmęczone ciało. Machnął ręką do tyłu, wskazując na las, z którego wyszedł i przez który Stuart i jego grupa niedawno przeszli. Krzyknął:

— Oni tam są!

W tej samej chwili inne strzały zaczęły odzywać się głośno od strony górników w kierunku Bragga. Ten uchylił się, odwrócił i ruszył z powrotem. Dwadzieścia stóp od drzew zniknął z pola widzenia w paprociach, a jego własna broń również zaczęła się odzywać.

Howison krzyknął:

— Spójrz tam — i Stuart zobaczył ciała przemykające się wzdłuż krawędzi drzew po przeciwległej stronie.

Na łąkę wypadł Rogue, trzymający się nisko ziemi, a rewolwer Bragga posłał dwa szybkie strzały. Rogue upadł, najwyraźniej trafiony, lecz dwóch kolejnych Indian rzuciło się spośród drzew na Bragga; ten strzelił ponownie, kiedy tylko do niego podeszli. Podniósł się i oddał ostatni strzał, gdy ci dwaj zaczęli się do niego zbliżać.

Jego broń była już najwyraźniej pusta, i zaczął machać nią przed sobą tak, jakby to była kosa. Jeden z Indian okrążył go, podczas gdy drugi ruszył prosto na niego. Bragg rzucił broń, skoczył na najbliższego Indianina i zamknął go w swoich potężnych ramionach - i szybki krzyk tego Rogue rozległ się przeszywającym sygnałem po całej łące, gdy Bragg miażdżył mu kręgosłup. Drugi Indianin rzucił się na Bragga i zaczął uderzać go po głowie, aż ten upadł w paprocie; potem Stuart zobaczył, jak obaj Indianie wyginają się, podnoszą i wyginają, gdy zabijali Bragga.

— Dobry Boże — powiedział Howison i odwrócił głowę.

Dwaj Indianie podnieśli się, unosząc w dłoniach jakieś zakrwawione trofeum. Stuart starannie wycelował i wystrzelił na maksymalny dystans, na jaki pozwalał mu zasięg rewolweru. Trafił w cel, zobaczył, jak Indianin szarpnął się i uciekł chwiejnym krokiem pod osłonę lasu. Teraz wszyscy górnicy otworzyli ogień do drugiego uciekającego Rogue, ale nie powalili go. Z drugiego końca szeregu górników dobiegł przeciągły, zaskoczony krzyk.

— Heeej, tutaj!

Pięćdziesiąt stóp dalej wzdłuż ich krawędzi lasu rozpoczęła się strzelanina i robiła coraz silniejsza. Stuart mruknął:

— Musieli się podkraść — i popędził w kierunku źródła strzałów.

Okrążył drzewo i dotarł do kępy zarośli; gdy wyłonił się z niej, stanął twarzą w twarz z Rogue, który, czołgając się płasko po ziemi, wyskoczył teraz z bronią. Był tak blisko, że Stuart zderzył się z nim podczas tego skoku i poczuł odór dzikusa, zanim walnął go z góry swoją bronią. Howison zawołał:

— Uważaj! — i wystrzelił, a jego kula przeleciała tuż koło Stuarta.

Obracając się do połowy, Stuart zobaczył, jak zarośla drżą, gdy z ukrycia wyłonili się kolejni Rogue i rzucili się do ataku. Miał koło siebie Howisona i Blaziera, a gdzieś w pobliżu inni górnicy przedzierali się ku nim przez las. Kule zaświszczały im koło uszu; odłamek kory oderwał się od jodły i uderzył Stuarta w kapelusz.

Warknął ostro na Blaziera:

— Schowaj się za drzewo.

Odwrócił się, odepchnął Blaziera i strzelił do na wpół ukrytego za jodłą Rogue, piętnaście stóp przed nimi. Indianin zakołysał się, jakby pchnięty; chwycił się szorstkiej kory drzewa i opadł do tyłu. Na jego piersi pojawiła się okrągła, matowa plama, która bulgotała i powiększała się, a krew spływała jaśniejszą smugą po jego klatce piersiowej. Jego Oczy zrobiły się okrągłe i bezdenne, a wargi zsunęły się z zębów - i na oczach Stuarta Indianina ogarnęło otępienie, pustka i niewiedza. Kiedy upadł na ziemię, był już martwy.

Rogue, rzuciwszy się do ataku, napotkali opór. Dostrzegli perspektywę łatwego zabójstwa, inaczej nigdy nie zaszarżowaliby w ten sposób, tak nietypowy dla ich sposobu walki. Teraz wycofywali się, zaś górnicy rzucili się za nimi. Walka zmieniła się w pojedyncze starcia, rozproszone po całym lesie. Stuart utracił kontakt z Howisonem i Blazierem, kiedy ruszył do przodu. Obok niego świsnęła kula, której źródło zdawało się znajdować za martwą kłodą drewna. Odskoczył na bok, przeskoczył nad kłodą i zobaczył Rogue znikającego w plątaninie powalonych przez wiatr drzew. Podążył za nim, odpychając na boki pousychane gałęzie i przedzierając się przez coś w rodzaju tunelu utworzonego przez dwa leżące obok siebie drzewa.

Kiedy dotarł do końca tunelu, stanął przed dołem, w którym kiedyś znajdowały się korzenie drzewa. Indianin stał na jego dnie, szybko wpychając nowe ładunki do rewolweru.

Kiedy zobaczył Stuarta, upuścił swój bezużyteczny pistolet, wykonał szybki skok, chwycił Stuarta za stopy i wytrącił go z równowagi, ściągając go na dół do dołu. Upadł na Stuarta, zaczął go bić pięściami. Zacisnął przedramię wokół gardła Stuarta, a następnie przetoczył się, splótł dłonie razem i zaczął ściskać gardło Stuarta.

Stuart przetoczył się razem z nim. Miał wolne ręce i sięgnął do splecionych dłoni przeciwnika, aby zerwać uchwyt. Nie był w stanie sięgnąć dostatecznie daleko do tyłu, ani nie mógł użyć wystarczająco dużej siły, aby się uwolnić. Odwrócił głowę, lecz nacisk na gardło rósł. Wciągnął ostatni cienki strumień powietrza do płuc - i czuł, jak serce wali mu coraz mocniej w piersi. Przetoczył się ponownie i podniósł się na kolana; wyciągnął rękę i złapał jedną z nóg Indianina. Przystawił swoje kolano do złapanej kończyny i potężnym szarpnięciem pociągnął do siebie za dolną część nogi Indianina. Indianin wykręcił się, aby zmniejszyć nacisk dźwigni, lecz kiedy to robił, jego dłonie zsunęły się z szyi Stuarta. Stuart wciągnął potężny haust słodkiego jak wino powietrza, i złapał Rogue, który nagle spróbował się uwolnić, odtaczając się do tyłu. Przygwoździł swojego przeciwnika do ziemi; przeniósł na niego ciężar swojego ciała, a przedramieniem nacisnął na gardło Indianina. Napierał całą siłą ramion, aż

usłyszał chrzęst tchawicy Rogue. Rogue obrócił się razem z nim i zrzucił go z siebie, ale Stuart użył pięści, ogłuszając Indianina uderzeniem w czoło. Następnie cofnął się i złapał upuszczony przez Rogue rewolwer. Jego przeciwnik uniósł się już na wpół na nogi, gdy Stuart zamachnął się trzymaną bronią i uderzył go nią w głowę.

Stał bez ruchu, z zamglonym wzrokiem; jego ręka trzęsła się, gdy przeciągnął nią po twarzy. Nie był w stanie oddychać dostatecznie głęboko ani dostatecznie szybko. Chwycił się obiema dłońmi za krawędź dołu i trzymał się jej, w tej chwili wątpiąc, czy zdoła się z niego wydostać. Słyszał w oddali krzyczące głosy, oraz inne głosy, które im odpowiadały, podczas gdy strzelanina uspokoiła się do sporadycznych wystrzałów; jakiś głos zawołał jego imię.

Otworzył rewolwer i naładował go; założył kapiszony, chwycił broń jedną ręką i odbił się do góry, z dna dołu. Spadł z powrotem, a potem zaczął wykopywać stopami dziury w gąbczastym zboczu dołu, i użył ich aby wyciągnąć się do tunelu utworzonego przez dwa zwalone drzewa. Wrócił nim, przecisnął się przez gałęzie i zobaczył nadchodzącego Howisona.

Howison przyjrzał mu się uważnie.

— Zostałeś trafiony?

— Nie.

— Myślę, że ich złamaliśmy. Tutaj jest czysto.

Kolejny strzał rozległ się głębiej między drzewami, gdy Stuart i Howison zbliżali się do skraju łąki. Kiedy tam dotarli, zobaczyli górników podchodzących w stronę miejsca, w którym upadł Bragg. Howison zatrzymał się i powiedział:

— Nie chcę go oglądać.

— Płacz po dobrych ludziach, którzy zginęli — powiedział Stuart. — Nie za nim. Czy chciałbyś, żeby żył, snując się po okolicy i czekając, żeby zabić kogoś innego?

— Wiem — odparł Howison. — Ale istnieje coś takiego jak chrześcijańskie miłosierdzie, o czym musimy pamiętać.

— Istnieje miłosierdzie — zgodził się Stuart. — Ale istnieje jeszcze coś, co nie jest miłosierdziem, a jedynie łatwymi łzami. Ludzie, którzy zginęli z powodu tego człowieka, pewnie żyliby dzisiaj, gdyby Bragg zginął miesiąc temu. Żałuję, że nie zrobiłem tego wtedy. — Poczuł się lepiej, ale wciąż był wstrząśnięty walką i wciąż prześladowało go makabryczne uczucie dłoni Indianina zaciśniętych na jego szyi.

Obserwował nadchodzących górników i powiedział:

— Nie znajdziemy śladów Caroline w tej dżungli. Kierowała się w stronę drogi Oregon-Kalifornia. To mniej niż pół mili na zachód. Pójdziemy tam i zobaczymy, czy czegoś nie znajdziemy.

Górnicy rozproszyli się z powolnym znużeniem i po raz kolejny ruszyli przez ten na wpół niemożliwy do przebycia las. Szli ostrożnie i uważnie obserwowali wszystko przed sobą, wokół siebie i za sobą. Nie leżało w naturze Indian, by stawać twardo do walki, kiedy już ponieśli dotkliwą porażkę, ale zawsze istniała szansa, że jakiś odważny, chcący się wyróżnić wojownik, podejmie samotną walkę. Więc szli dalej z nieustanną uwagą,

znużeni, zdyszani i podrapani przez krzaki. Niewielka przerwa w gęstwinie drzew otworzyła im w dole widok na szlak i gdzieś przed południem dotarli do niego i ruszyli dalej wzdłuż szlaku, aż dotarli do strumienia. Wszyscy rzucili się na ziemię i pili z łapczywym pragnieniem, z ulgą zwilżając twarze. Stuart napełnił płuca powietrzem i wysłał z nich długi okrzyk „hallo" rozbrzmiewający echem przez wszystkie przejścia wśród wzgórz. Blazier oddał w powietrze jeden strzał. Stali dokoła, nasłuchując i czekając. Ciągle się bali, ale unikali mówienia o tym; gapili się na głęboki, gęsty las i ze znużeniem myśleli o kolejnym żmudnym przeczesywaniu go w drodze powrotnej.

Stuart polecił:

— Niech dwóch z was, chłopcy, pójdzie drogą do chaty Dance'a. Szukajcie jej śladów. Mogła dotrzeć tutaj i wrócić do domu. Blazier i ja wyruszymy w drugą stronę.

— No cóż — stwierdził Howison — niech będzie.

Usiadł na drodze i przeciągnął się. Zmęczenie wniknęło w niego głębiej niż w innych; zrobiło z nim coś trwałego, pomyślał Stuart, skręcając na północ i ruszając szlakiem z Blazierem.

— Vane — powiedział ze śladem ostrości w głosie — głowa do góry.

Szlak biegł prosto przez jakieś pół setki jardów, wspinał się na niewielkie wzniesienie i skręcał długim łukiem; słońce stało im prosto nad głową, a jego światło tu i ówdzie zmieniało ciemny pył szlaku w brudne złoto. Powierzchnia szlaku była zniszczona przez ruch karawan jucznych mułów, więc Stuart nie był w stanie stwierdzić, czy Caroline tędy przechodziła. Po pokonaniu połowy mili, zawrócił.

— Nie poszłaby dalej tędy.

Młody Blazier podążył za nim z powrotem długim zakolem szlaku, nie odzywając się ani słowem. Walka z Indianami wpędziła go w stan przygnębienia; napełniła jego myśli złymi przeczuciami.

— Vane — powiedział Stuart — głowa do góry.

Nie obeszli jeszcze do końca zakrętu, nie znaleźli się jeszcze w zasięgu wzroku znajdującej się przed nimi głównej grupy, gdy spojrzenie Stuarta, nieustannie wędrujące w tą i z powrotem wzdłuż krawędzi szlaku, dostrzegło ruch w głębokim półmroku lasu, kilkanaście jardów po lewej stronie. Nie był tego pewien i zatrzymał się, unosząc broń i mrużąc oczy, aby uzyskać lepszy widok. Stracił z oczu miejsce w którym coś się poruszyło; potem dostrzegł je ponownie i po chwili zobaczył Caroline Dance wychodzącą spomiędzy drzew na szlak.

Puścił się biegiem z krzykiem, i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak czarne i ciężkie były jego obawy; opadły one z niego, wprawiając go w stan niesamowitej lekkości ducha.

— Witaj, Caroline — powiedział.

Blazier odepchnął go w bok i rzucił się w stronę Caroline, raz po raz wołając ją po imieniu. Podbiegł do niej i położył jej rękę na ramieniu, i nagle młody mężczyzna zaczął szlochać.

— Boże, Caroline — szlochał. — Boże mój...

Była zmęczona i zachwiała się, gdy Blazier jej dotknął. Jej sukienka była w strzępach, ramiona podrapane, a twarz pokryta śladami pnączy,

przez które musiała się przedzierać. Włosy opadły jej na twarz, więc w obecności dwóch mężczyzn lekko przesunęła ręką po czole, aby je odgarnąć. W dłoni trzymała rewolwer ojca. Jednak, pomimo zmęczenia i siniaków, na jej twarzy królował spokój. Przeszła przez ciężką próbę, lecz próba ta nie zachwiała jej umysłem. Teraz była już taka, jak wcześniej, ufna i praktyczna dziewczyna, która, pomimo całego strachu, jaki mogła odczuwać, i wszystkich nagłych ataków grozy, mogących ją przeszywać, nigdy nie zwątpiła w siebie.

Stuart stanął przed nią i objął ją. Przytulił ją mocno i na moment opuściła głowę na jego ramię. Powiedziała:

— Usłyszałam strzały. Dobrze się ukryłam. Chyba spotkaliście Rogue. Jestem zmęczona i chcę wrócić do domu.

— W porządku — oznajmił Stuart. — Wracamy do domu.

Odsunęła się od niego i popatrzyła na niego z największą uwagą; przeczytała go uważnie i dokładnie, a potem zwróciła wzrok na młodego Blaziera. Opanował się, ukradkiem ocierając łzy z oczu; popatrzył na nią z najszczerszą ulgą, a jego uczucia były dla niej równie jasne jak dzień. Jej twarz złagodniała, gdy na niego patrzyła, a to, co zobaczyła, przełamało zmęczenie na jej policzkach. Ponownie zwróciła się w stronę Stuarta, a on poczuł, że przed chwilą dokonała ich porównania i wydała jakiś osąd. Jakikolwiek by on nie był, natychmiast pomyślała o czymś innym.

— Co z moimi bliskimi?

Stuart odparł:

— Z twoją matką jest wszystko w porządku.

— Logan - a co jest nie tak z moim ojcem?

— On nie żyje, Caroline. I twój brat Bushrod też.

Noc i dzień spędzone samotnie w lesie jej nie złamały, lecz teraz jej twarz się zmieniła. Powiedziała:

— Chcę iść do domu — i odwróciła się od nich, ruszając w kierunku głównej grupy. Potknęła się, idąc, i zasłoniła twarz dłonią, na wpół zaślepiały ją łzy.

Rozdział XVI
Rozmaite pożegnania

Po powrocie do Dance’ów górnicy zrzucili z siebie ekwipunek, przygotowali południowy posiłek i porozkładali się na ziemi, aby zapalić i odpocząć. Wkrótce, w ciepły dzień, połowa z nich zasnęła. Drzwi do chaty Dance'ów zamknęły się, zaraz jak tylko weszła do niej Caroline, i po raz pierwszy Stuart usłyszał płacz pani Dance. Pojawienie się Caroline odblokowało rozpacz starszej kobiety. Młody Blazier usiadł ciężko przy drzwiach i znów zapadł w ponury nastrój.

Stuart zabrał parę łopat i wraz z pół tuzinem górników udał się szlakiem do rozbitej karawany mułów, aby pochować leżącego w zaroślach Murrowa. Howison poszedł razem z nim i w drodze powrotnej do Dance’ów mówił o pechu Stuarta.

— Trzydzieści mułów z ładunkiem to poważna strata, Logan.

— Może nawet więcej — stwierdził Stuart. — Zastanawiam się nad losem karawany z Crescent City.

Kiedy dotarli do chaty, drzwi były otwarte, a pani Dance czekała na podwórzu.

— Logan — powiedziała — chyba lepiej pomyślmy o Dance’ie i Bushrodzie. — Osłoniła oczy i popatrzyła na łąkę, gdzie dwa stare dęby ocieniały ziemię. — Pochowajmy ich tam.

Podczas kopania grobów, na szlaku pojawiła się połowa oddziału Kelly'ego i sierżant wkrótce poinformował ich:

— Reszta chłopców wróciła do domu. Koło rzeki nikogo nie ma. Te potwory nigdy nie zostają w miejscu, w którym uderzyli.

Dance i Bushrod zostali pochowani wczesnym popołudniem. Wyglądało na to, że jeden z górników był wcześniej pastorem. Wygnano go, czy też sam zrezygnował, teraz jednak wystąpił i poprowadził nabożeństwo. Howisonowi przyszło do głowy, aby zainicjować pieśń. Po odśpiewaniu pieśni kobiety wróciły do chaty, a mężczyźni ustawili się w kręgu, aby omówić dalsze rzeczy do zrobienia.

— Żołnierze z Fortu Lane przeszukują górny bieg rzeki Rogue — przekazał Kelly.

— No cóż — stwierdził Howison — nie wątpię, że za kilka dni gubernator wezwie oddziały milicji. W międzyczasie powinniśmy rozlokować kilku ludzi tutaj i kilku gdzieś nad rzeką. Po sześciu ludzi w obu miejscach, powinno wystarczyć. Reszta z nas może wracać do domu i lepiej się zorganizować. To będzie kampania, która potrwa przez całą jesień. Kto zgłosi się na ochotnika, aby zostać tu jeszcze przez trzy dni?

— Gdzie jest Johnny Steele? — spytał Stuart.

— Wyruszył z powrotem.

Caroline pojawiła się w drzwiach, przyglądając się grupie ludzi. Młody Blazier podszedł do niej i zaraz wrócił, mówiąc krótko do Stuarta.

— Chce się z tobą zobaczyć.

Zmieniła ubranie i poprawiła włosy. Kiedy podszedł, zdał sobie sprawę, że Caroline ma mu coś do powiedzenia, ale było to dla niej trudne; wzięła go za rękę i ruszyła z nim dookoła chaty i wzdłuż szlaku. Przypomniał sobie, że na podobnym spacerze oświadczył się jej.

— Co zamierzasz zrobić, Logan?

— Wrócę do Jacksonville, żeby zobaczyć, co się stało z moimi ludźmi jadącymi z Crescent. Przez jakiś czas zostanie tu sześciu ludzi. Ty i twoja matka powinnyście pojechać do miasta i zamieszkać u mnie.

— Nie — odparła. — Nie chciałabym tego robić.

— Wkrótce i tak to zrobisz — zauważył.

— Nie — powiedziała, — nigdy nie opuszczę tego miejsca. Tu wyjdę za mąż i tu wychowam swoje dzieci. Nie mogłabym zostać kobietą z miasta. Nie mogłabym przenosić się z miejsca na miejsce. Nie mogłabym zamieszkać na tyłach sklepu. Myślałam o tym wiele, nawet ostatniej nocy na wzgórzach. Rozczarowałabym cię. Dotarło do mnie, jak bardzo. Nie jesteśmy tacy sami.

— Caroline… — rozpoczął.

— Nie — powiedziała — nie jesteśmy do siebie podobni. Może myślisz, że moglibyśmy stać się tacy sami, ale nawet kiedy się zestarzejemy, nie zmienimy się. — W jej głosie po raz pierwszy słychać było smutek. — Nie jesteś człowiekiem zadowolonym z tego co już ma. Nigdy taki nie będziesz. Ale ja nie chcę niczego zmieniać. Moim pragnieniem jest wyglądać z okna chaty i widzieć mojego mężczyznę w czasie orki, a nocą widzieć go w bujanym fotelu w kuchni. Nigdy nie będę chciała, żeby moje życie wyglądało inaczej.

Zapytał:

— Kto będzie tym mężczyzną?

Spojrzała na niego, uważnie go obserwując.

— Chyba wiesz.

Przytaknął, przypominając sobie, jak było na szlaku. On nie rozpłakał się na jej widok; zrobił to Vane Blazier. Wtedy dowiedziała się, gdzie leży miłość.

— Blazier — stwierdził.

Odwróciła się od niego i nie odzywała się do czasu, aż dotarli z powrotem do chaty.

— Ciężko mi nawet myśleć o tym, że mogłabym cię krzywdzić. Ale nie krzywdzę cię zbyt mocno. Nie tak bardzo, jak zrobiła to już pewna inna kobieta.

Otrzymał odpowiedź na pytanie, które wcześniej sobie zadawał. Wiedziała, czego by jej brakowało u niego, i teraz odmawiała mu, ponieważ był to dla niej zbyt wielki problem.

— Z biegiem czasu za bardzo bym cię ranił… To chyba o to chodzi, jak mi się wydaje?

Obdarzyła go najmniejszym i najkrótszym z uśmiechów.

— Tak — odparła i szybko weszła do domu.

Stała w kuchni ze ściągniętą twarzą, co zauważyła jej matka i powiedziała:

— Caroline, nie ma sensu walczyć z płaczem, jeśli człowiek musi się wypłakać.

Caroline poszła do sypialni i stanęła przy otwartym oknie. Stała tam, gdy Logan przejeżdżał na koniu, i cofnęła się, aby jej nie zobaczył, lecz nie spuszczała z niego wzroku, dopóki nie zjechał w dół szlakiem i nie zniknął jej z pola widzenia.

— Będę za nim tęskniła, tak jak on tęsknił za Lucy. Ale przynajmniej on przestanie tęsknić.

Poczucie straty ciążyło jej ogromnie na sercu, a samotność zwaliła się na nią z pierwszym nieznośnym wstrząsem. Jednakże nawet gdyby ona i Logan, przeżyli wspólnie całą resztę życia, nadal byłaby samotna, wiedząc, jak wiele z niego nigdy nie będzie do niej należeć. Lepiej było wziąć Vane'a Blaziera, który oddawał jej wszystko i będzie tutaj szczęśliwy.

Nigdy nie obdarzy Vane'a taką miłością, jaką czuła do Stuarta; to zawsze będzie coś innego. Mimo to była na tyle realistką, by zdawać sobie sprawę, że zdoła ukryć to przed Vane'em, tak aby nigdy się o tym nie dowiedział. Mężczyzna nigdy nie widział tego wszystkiego, co dostrzegała kobieta. Wszystko będzie dobrze, a czas ułagodzi sprawy, które w tej chwili wydawały się trudne.

— Caroline — powiedziała pani Dance, — może jednak trochę popłaczesz? Wielu ludziom to bardzo pomaga.

— Nie — odparła Caroline. — Nie będę płakać. Niektórym to nie pomaga.

Camrose pobiegł do stajni Stuarta niezauważony, wsiadł na przygotowanego dla niego konia i podjechał do tylnych wrót stajni. Wszyscy górnicy wzdłuż potoku zbiegli się na ulicę, pozostawiając górną część miasteczka pustą. Mając duży budynek stodoły osłaniający go od ulicy, przejechał przez potok i wjechał między drzewa; następnie okrążył miasto i zjechał z powrotem nieco w dół, aż znalazł się w odległości kilku metrów od chaty Overmire'a. Zostawił konia w lesie i poszedł do domu. Wzdłuż ulicy w dole zebrani byli górnicy i zaryzykował, okrążając chatę oraz wchodząc do niej przez otwarte drzwi. Lucy i jej matka były w pokoju. Overmire zszedł na dół, aby dołączyć do górników.

Lucy wpatrywała się w Camrose'a. Powiedziała:

— Nie powinieneś ryzykować przyjścia tutaj.

— Ty! — rzuciła pani Overmire z wyraźnie negatywnym uczuciem w głosie. — Ruszaj w swoją drogę. Kto cię wyciągnął?

— Logan — odpowiedziała Lucy.

— Myślę — oznajmiła pani Overmire — że Logan zrobił dla ciebie wystarczająco dużo, George. A ja myślę, że ty zrobiłaś za dużo.

Pochwyciła jednak spojrzenie swojej córki, wstała i wyszła z chaty.

— Bardzo chłodne przyjęcie — zauważył Camrose.

Charakterystyczne dla niego było to, że kiedy spotykały go kłopoty, robił się pokorny, a kiedy kłopoty się oddalały, powracał jego dawny sposób zachowania, swobodny, cyniczny i mocno protekcjonalny. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem i po raz kolejny spróbował ją ocenić, odkryć subtelne cienie, wahania i skrywane uczucia, które zawsze podejrzewał, że są w niej obecne. Jeszcze przed godziną był człowiekiem, na którego czyhała śmierć; teraz był ponownie dawnym Camrose'em, sondującym tę dziewczynę swoim niezadowolonym umysłem.

— Lepiej już idź — powiedziała. — Nie rozumiesz niebezpieczeństwa? Nawet moja matka może zawiadomić górników i sprowadzić ich tutaj.

— Zawsze czułem milczący sprzeciw twoich rodziców.

— Zawsze byłeś człowiekiem, który czuje różne rzeczy — stwierdziła. — Niektóre z nich nigdy nie były prawdziwe. Wymyśliłeś je sam, w swoim umyśle.

— Zwróciłaś się przeciwko mnie, tak jak cała reszta — oznajmił. — Co to za miłość, która nie jest w stanie oprzeć się plotkom i kiepskim dowodom? Widzę to wyraźnie.

— Zawsze byłeś również człowiekiem, który widzi różne rzeczy — powiedziała.

— I miałem rację — odparł. — Nie widzę tu zbyt wiele wiary w kogokolwiek, nie ma za wiele lojalności ani wielkich i głębokich uczuć. Nienawidzę tego obozu. Kiedy stado jest za tobą, nic, co robisz, nie jest złe. Kiedy stado staje przeciwko tobie, nic, co robisz, nie jest dobre.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jakie ryzyko podjął Logan, aby cię uwolnić? Czy wiesz, co obóz może mu za to zrobić? Zaryzykował całą swoją popularność, kiedy ci pomógł. Jeśli ją straci, będziesz mógł powiedzieć, że zrobił to, bo byłeś jego przyjacielem. Nigdy cię nie opuścił.

— Jakie odważne — powiedział Camrose z lekkim rozbawieniem. — Jakie szlachetnie.

Patrzyła na niego wyraźnie dostrzegając teraz jego wady. Nigdy nie były dla niej bardziej widoczne niż obecnie.

— Mówisz o uczuciach i lojalności. A jednak niszczysz je, kiedy tylko je zobaczysz. Kpisz z niego. Zazdrościsz mu ich.

— Bez wątpienia Stuart jest wielkim człowiekiem — stwierdził tym samym drwiącym tonem.

— W głębi serca wiesz, że jest wobec ciebie lojalny. Albo był.

— Skąd wiedziałaś, że mi pomógł? — spytał.

— Znam go. Nie spocząłby, dopóki nie wydostałby cię z miasta. — Wstała, podeszła do drzwi i spojrzała w zapadający zmierzch. — Musisz stąd wyjechać.

— Strasznie chcesz się mnie stąd pozbyć — zauważył.

Kiedyś w niego wierzyła, a on zniszczył tę wiarę swoją nieostrożną mową i zachowaniem, tak że teraz był dla niej słabym człowiekiem bez żadnych godnych podziwu cech. Trudno było jej sobie przypomnieć, co do niego kiedyś czuła i jak bardzo się myliła. Zawstydziło ją to i sprawiło, że straciła wiarę we własną uczciwość.

— Wyjadę do San Francisco — powiedział. — Gdybym po ciebie posłał, przyjechałabyś?

— Już chyba wiesz, że nie, prawda?

— Stuart — zauważył — bardzo dobrze wykorzystał swoją przyjaźń. Czy widzisz, jak dobrze skorzystał z czasu, by zrujnować to, co było między nami?

Pokręciła głową.

— Z początku byłeś dla mnie wszystkim. Byłam ciebie pewna. Byłam szczęśliwa. Potem zacząłeś to niszczyć przez sposób, w jaki mówiłeś, przez sposób, w jaki wszystko przyjmowałeś i lekceważyłeś, przez sposób, w jaki pracowałeś nad moimi emocjami - i chowałeś się za mną, aby przyglądać się, jak wiję się i skręcam. Nadeszła jednak chwila, kiedy poczułam, że wszystko jest nie tak. Ale nie potrafiłam przyznać przed sobą samą, że tak bardzo się myliłam, i miałam nadzieję, że nie jesteś takim, jakim zaczęłam cię postrzegać. To straszne dla kobiety zakochać się, a później zdać sobie sprawę, że się pomyliła. To sprawia, że wątpi w istnienie czegoś takiego jak miłość.

— Wszystkie te ładne słówka nie są odpowiedzią na moje zarzuty — powiedział. — Teraz twoim bogiem jest Stuart - dopóki nie okaże się, że jest ulepiony ze zwykłej gliny, tak jak i ja. Na Boga, żałuję, iż nie mam pewności, że nigdy go nie zdobędziesz. To jedyny żal, jaki stąd ze sobą unoszę.

Odwróciła się od niego i usiadła. Złożyła dłonie na kolanach i popatrzyła na nie.

— No cóż — stwierdziła, — tego możesz być akurat pewien. Nigdy go nie dostanę.

Z wyższych części zboczy doliny zaczęły dobiegać głosy ludzi, przez co Camrose nagle zdał sobie sprawę z zagrożenia. Zdobył się na jeszcze jedną chwilę odwagi.

— Wierzysz, że zabiłem McIvera?

— Nie wiem. Jesteś do tego zdolny.

Wyszedł z chaty i dosiadł konia, natychmiast podążając małą górniczą ścieżką, w głąb wzgórz. Zrobiło się ciemno, a wiatr zrobił się znacznie zimniejszy, więc zaczął rozmyślać o swoich marnych perspektywach. „Będę musiał podróżować całą noc. Nie mam koców ani jedzenia. Jestem teraz bez środków do życia, tak samo jak wtedy, kiedy przybyłem tu dwa lata temu”.

Szlak zszedł do wąwozu i podążał wzdłuż niewielkiego potoku, którego brzegi poznaczone były bliznami po górniczych szybach i żwirowniach. Minął kilka opuszczonych chat, ale około dwóch mil od obozu zobaczył przed sobą mrugające światło i zatrzymał się, by się nad tym zastanowić. Była to chata Eda Grogana, starego gościa, który od czasu do czasu przyjeżdżał do miasta na popijawę. Grogan miał jedzenie i bez wątpienia miał trochę złotego pyłu. Nie powinien być trudnym przeciwnikiem.

Grogan przygotowywał kolację - jej zapach unosił się w powietrzu. Camrose zsiadł z konia, szybko wszedł przez drzwi i wycelował rewolwer w Grogana, gdy ten, siedząc przy stole, uniósł głowę.

— Camrose — stwierdził. — Uwolniłeś się?

— Potrzebuję twojej kolacji, Grogan. Potrzebuję zapakowanego jedzenia.

Grogan wzruszył ramionami.

— Zgaduję, że wyszedłeś zwycięsko z tej awantury. — Wstał i poszedł na drugi koniec chaty, gdzie znalazł worek z mąką. Obejrzał się z powrotem przez ramię. — Będziesz musiał podróżować bardzo szybko. Chłopcy łatwo się nie poddadzą.

— Skoro już o tym mowa, Grogan — rzucił Camrose — wrzuć do środka swój woreczek ze złotem.

Grogan natychmiast odpowiedział:

— Nie mam złotego pyłu.

— Kłamiesz. Masz go w tylnej kieszeni. Widzę to.

Grogan stał nieruchomo, z głową obróconą do tyłu. W ten sposób obserwował Camrose'a, który stał tuż koło drzwi, i obserwując Camrose'a, obserwował również drzwi.

— Wiesz, George — stwierdził — nie byłem pewien, czy to ty zabiłeś McIvera. Ale chyba obóz miał rację.

— Ruszaj się — powiedział Camrose. — Nie mogę długo czekać.

— Nie będziesz — odparł Grogan.

— O co ci chodzi? — zapytał Camrose, po czym przypomniał sobie, że stoi plecami do drzwi.

Rzucił się w bok najszybciej jak potrafił, ale było już za późno. Wyłaniająca się z mroków nocy kula, przeszyła go na wylot, a Grogan, teraz wolny od zagrożenia, wyciągnął własny rewolwer i oddał drugi strzał. Camrose opuścił broń. Położył obie ręce na ścianie kabiny i przez moment rzucał Groganowi dzikie, blade i rozgoryczone spojrzenie, po czym upadł na podłogę. Grogan podszedł do niego, a z ciemności wyszedł inny człowiek. Grogan powiedział:

— Dobrze, że przyszedłeś, Ted.

Ted stwierdził:

— Oto człowiek, który miał wykształcenie, kobietę i bardzo dobre perspektywy. Z pewnością był skazany na sukces, nie ma tu żadnych wątpliwości. Nie do końca to pojmuję.

— No cóż — odparł Grogan — Myślę, że miał zbyt duże ambicje. Takie rzeczy mogą bardzo zaszkodzić.

Stuart przybył do Jacksonville po zmroku i otrzymał złe wieści od Clenchfielda. Karawana z Crescent została zniszczona w dolinie Applegate. Stuart przyjął tę wiadomość bez większej reakcji. Powiedział tylko:

— Karawana ze Scottsburga też przepadła, Henry. Blazierowi się udało, ale po południu pochowałem Murrowa.

Poszedł do swojego pokoju i umył się. Stał chwilę pośrodku pokoju, z grubsza analizując swoje rachunki. Stracił siedemdziesiąt jucznych mułów, kilka koni i wiele tysięcy dolarów w towarach; nie trzeba było wiele dodawać, aby ocenić jego sytuację.

Clenchfield podszedł do drzwi.

— Wiesz, jak stoisz, Logan?

— Będziemy winni ze dwadzieścia tysięcy. Czy ten sklep i jego zawartość pokryją tyle?

— Prawie wystarczy — powiedział Clenchfield.
— Więc będziemy spłukani, ale kwita. Nieźle, Henry.
— Wiesz, co ja zrobiłem, kiedy byłem spłukany? Miałem w kieszeni dwadzieścia funtów. Upiłem się i obudziłem na ulicy z jednym szylingiem. To było dawno temu. Może lepiej upijmy się dziś wieczorem.
Stuart uśmiechnął się do Clenchfielda.
— Wraz z zabawą przychodzą kłopoty. Ja już się zabawiłem, a teraz mamy kłopoty. W przyszłym tygodniu pojadę do San Francisco i zdobędę jakiś kredyt. Wkrótce nasze karawany znów ruszą w drogę. Wtedy będziemy mieli więcej zabawy, Henry.
— Te wszystkie pieniądze… — stwierdził Clenchfield i widać było, że tragedia ich straty stała się jego obsesją.
— Nieważne — rzucił Stuart, przechodząc przez sklep. — Kupimy kolejną talię kart i zagramy jeszcze jedno rozdanie. W tym kraju zawsze można kupić kolejną talię. Pamiętaj o tym.
Zatrzymał się przed drzwiami, widząc wchodzącego Johnny'ego Steele'a. Johnny trzymał w ręku rewolwer, odwrócił go kolbą i podał Stuartowi. Powiedział:
— To właśnie pożyczyłeś Camrose'owi, prawda?
— Gdzie jest Camrose?
— Pozostał głupcem do końca — odparł Johnny. — Zeszłej nocy wyciągnąłeś go stąd i byłby wolny, gdyby sobie pojechał. Zamiast tego zatrzymał się, aby obrabować Grogana, a Ted McGovern go zastrzelił. Oto koniec człowieka, dla którego byłeś gotów stracić wszystko.
Stuart podszedł do dużej lady sklepowej i położył na niej broń. Stał przy niej, spoglądając w dół.
— Bardzo mi przykro — powiedział. — W tym człowieku było dobro.
Steele odpowiedział z irytacją.
— Jak zwykle wiesz lepiej. Po prostu skręciłeś sobie kark i nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy.
— W innym kraju może by się sprawdził. Tutaj przegrał. Margines, Johnny, między tym, co mogłoby być, a tym, co jest w rzeczywistości, jest bardzo cienki.
— No cóż — oznajmił Steele — Wyczerpałeś swoje szczęście do samego końca. Zeszłej nocy miałem ochotę powiesić cię na tym samym drzewie, które wybraliśmy dla niego. Myślę, że teraz możemy o tym zapomnieć.
Stuart odwrócił się i spojrzał na Steele'a.
— Widzisz, jak cienka jest ta granica, Johnny?
— Przez chwilę była bardzo cienka dla ciebie — zauważył Steele.
— Cienka dla nas wszystkich, przez cały czas. Gdzie będziesz jutro albo gdzie ja będę? Może szczęśliwy i żywy. A może martwy, jak George.
W głosie Stuarta zabrzmiała niezwykła nuta bezsilności, która sprawiła, że zarówno Clenchfield, jak i Steele popatrzyli na niego ze zdziwieniem, i wkrótce Steele wyszedł w ciemną noc, bez dalszych komentarzy. Stuart pozostał przy ladzie, bezmyślnie obracając rewolwer w dłoniach. Jego twarz, zawsze pozbawiona wyrazu w chwilach odpoczynku, teraz była

twarda i pozbawiona światła, gdy zagłębił się w sobie. Potem podniósł głowę.

— Mówiąc tak między nami dwoma, Henry, Camrose był dokładnie takim człowiekiem, za jakiego uważano go w obozie. Ale nie mogłem zrobić niczego innego niż to, co zrobiłem - i zrobiłbym to ponownie.

— Nigdy nie robiłeś tego, dla niego — zauważył Clenchfield.

Stuart rzucił mu szybkie spojrzenie i wyszedł ze sklepu. Stał chwilę na chodniku, obserwując oświetlone lampą drzwi chaty Overmire na wzgórzu. Pomyślał: „Ona wierzyła w niego i nigdy w niego nie wątpiła. Teraz będzie o nim pamiętać do końca życia”.

Przeszedł przez ulicę i podszedł do chaty.

Wychodząc od Stuarta, Johnny Steele zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na rozświetlone latarniami mroki ulicy, a potem odwrócił się z nagłą decyzją i raptownym podnieceniem oraz poszedł prosto do domku Lestrade’a.

— Nie może być aż tak bardzo smutna — powiedział sobie, pukając do drzwi. — Złamał jej serce, a teraz już wie, że był łajdakiem.

Usłyszał jej wołanie i otworzył drzwi, by znaleźć ją pochyloną przed wypełnionym do połowy kufrem na środku pokoju. Ogołociła pokój do czysta.

— Wyjeżdżasz? — spytał. — Dokąd?

— Gdzieś.

— Zgaduję, że miałaś złe chwile — powiedział. — Teraz jesteś już od tego wolna. Nie musisz już płakać. Masz kogoś, do kogo możesz wrócić?

Pokręciła głową.

— Te drzwi są zamknięte, Johnny.

— To po co w ogóle gdzieś jechać? Masz tu przyjaciół. — Przerwał i spróbował dyskretnie przejść do tego, co chodziło mu po głowie. — Są tu mężczyźni, którzy przyglądają ci się od dłuższego czasu.

— Jesteś jednym z nich, Johnny?

— Tak — odpowiedział. — Jestem.

— Kiedyś wziąłeś mnie w ramiona — powiedziała. — To sprawiło, że pomyślałeś sobie o pewnych rzeczach. Bardzo miło jest o tym myśleć. Ale ja nie jestem wolna, Johnny. Nadal będą pojawiać się chwile, kiedy będę płakać - i to z tego samego powodu, z którego widziałeś, jak płakałam wtedy.

— Dlaczego? — spytał. — Ten człowiek nie żyje. Nie może cię więcej skrzywdzić.

— O tak, może, Johnny.

Zdała sobie sprawę, że niewiele z tego rozumiał. Stał przed nią z uczuciem i pragnieniem, które powoli blaknęło, powoli zanikało. Była bliska łez, kiedy to zobaczyła – miała ochotę być dla niego miła i pocieszyć go; ale zamiast tego uśmiechnęła się, podeszła do niego i pocałowała go w czoło. Następnie obróciła go, a nacisk jej ramienia skierował go w stronę drzwi. W progu zawahał się, wciąż martwiąc się o nią.

— Ale jeśli nie możesz wracać do swoich rodziców, to co się stanie...?

— Inne drzwi są wciąż otwarte, Johnny. Do widzenia.

Słuchała, jak odchodzi i myślała: „To dobry chłopak”, a potem stanęła jej przed oczami twarz Jacka Lestrade'a i wszystkie wspomnienia o nim, dobre i złe, zatrzymały ją w miejscu. Mieszkańcy Jacksonville osądziliby go surowo, a po jej wyjeździe, o niej będą dobrze myśleli. Pod tym względem mylili się. Ciepło, barwny charakter i beztroska Jacka przyciągnęły ją, ponieważ były to rzeczy, na które reagowała; i znalazłaby je ponownie u innych mężczyzn, ponieważ nic nie mogła na to poradzić. Jak powiedziała Johnny'emu, inne drzwi są otwarte. Mimo to miło było wiedzieć, że zostawiała za sobą przyjaciół - ludzi, którzy uważali ją za lepszą niż była i życzyli jej dobrze.

Stuart podszedł do drzwi i zastał Overmire’a rozłożonego przed piecem. Obie kobiety były w kuchni. Overmire spytał:

— Jak było?

— Była potyczka i przepędziliśmy Indian na zachód.

Lucy stała za nim i słuchała. Powiedziała:

— A co z Dance’ami?

— Ben i jego syn Bushrod zginęli. Kobietom nic się nie stało.

Odwrócił się, chcąc zobaczyć jej twarz. Była spokojniejsza niż się spodziewał, nie okazywała smutku. Światło lampy zmiękczyło jej rysy, a na jej ustach pojawiło się ciepło. Znów pojawiło się między nimi dawne uczucie bliskości.

Overmire, pod wrażeniem panującej ciszy, przypomniał sobie o jakichś obowiązkach, które na niego czekały, i podniósł się z krzesła.

— Mamuśka — powiedział, — pójdę teraz po tę perkalową tkaninę dla ciebie.

Pani Overmire natychmiast zrozumiała o co mu chodzi:

— Ty wybierzesz zły wzór, Overmire — i szybko wyszła z kuchni; oboje razem zniknęli w ciemnościach na dworze.

— Oni nigdy nie byli specjalnie subtelni w tych sprawach, Logan.

— Żałuję, że nie mogłem zostać z George'em i przeprowadzić go przez to — powiedział.

— Wiesz, jak zginął?

— Słyszałem. To musi być jakaś pomyłka.

— Zawsze będziesz go bronił — powiedziała.

Wzruszył ramionami.

— Jak człowiek mógłby być naprawdę zły, skoro od dwóch lat kocha go kobieta? Gdyby był zły, zauważyłabyś to chyba, co nie?

Chciała coś na ten temat powiedzieć i wyjaśnić, ale rzuciła mu tylko krótkie, ostre spojrzenie i podeszła do kominka.

— Czy Caroline nie powinna schronić się w mieście? Tam, gdzie jest, nie jest bezpiecznie.

— Nie — odparł. — Ona chce tam zostać. Nie lubi miasta.

— Jak ją przekonasz, Logan?

— Nie ma kogo przekonywać. Ona wychodzi za Blaziera, nie za mnie.

— Logan… dlaczego?

— Nie mogłem dać jej wystarczająco dużo. Wiedziała o tym.

Odwróciła się do niego.

— Czego ona chce? — Wpatrywała się w niego, jej wyraz twarzy zmieniał się, rozjaśniał i wypełniał. — Logan, czego nie mogłeś jej dać?

— Tego samego, co ty widziałaś w Camrose — powiedział.

— Przyszedł tu do mnie, po tym, jak wyciągnąłeś go z biura — powiedziała. — Szkoda, że w ogóle się tu pojawił. Ciężko jest patrzeć na mężczyznę i widzieć, tak otwarcie, rzeczy, których nigdy nie chciałoby się w nim zobaczyć. To nie stało się z dnia na dzień, Logan. Wiedziałam o tym już chyba z rok temu.

Powiedział w najbardziej dosadny sposób:

— Więc dlaczego nie zakończyłaś tego związku rok temu?

— Zadał mi to samo pytanie, ale ja dałam mu jedynie połowę odpowiedzi. Skąd miałam wiedzieć, czy miałam rację kochając go, czy nie? Jak mogłam się tak szybko zmienić, nie przyznając, że byłam głupia i nieodpowiedzialna? — Spojrzała na niego z niepokojem. — Caroline widziała, że jej nie kochasz. Ja też to wiedziałam. Bałeś się mieszać w sprawy George'a i moje?

— Chciałem usunąć się wam z drogi.

— Teraz powiem ci to, czego nie mogłam powiedzieć George'owi. Gdybym go zostawiła, co ty byś o mnie pomyślał? George zmalał, a ty urosłeś, ale nigdy nie byłabym w stanie wyjaśnić ci tego, jak to było możliwe.

— Ależ, Lucy — powiedział — wspierałem go, bo był tym, którego ty pragnęłaś.

— Też to wiedziałam — odparła. — Ale on już dawno przestał być człowiekiem, którego pragnęłam.

Złapał w płuca wielki i głośny haust powietrza i pozwolił, by delikatnie się z nich wydostało.

— Dlaczego więc chciałaś, żebym pomógł mu uciec?

— Gdyby go powiesili, jego duch zawsze stałby między nami.

Z każdą chwilą robiła się coraz bardziej ciepła i piękna. Była uczciwa i stała w uczuciach - i czekała na niego z niecierpliwością. Wymówił jej imię cicho, tak jak często wymawiał je w myślach.

— Lucy — westchnął i wyciągnął ku niej ręce. Uśmiechnęła się, gdy podeszła do niego i pocałowała go. Potem cofnęła się, a na jej twarzy pojawiło się pełne przerażenia otrzeźwienie, zaś w oczach błysnął strach.

— Logan — powiedziała — czy możesz uwierzyć, że to co się teraz dzieje, powinno być zawsze?

— Wtedy w Portland — wyjaśnił. — Myślałaś, że spotykam się z inną kobietą. Miałaś nienawiść w oczach, Lucy. Powinienem się domyślić, co to oznaczało. Zawsze w swych oczach miałaś coś dla mnie.

Uniosła ku niemu usta i powiedziała:

— Myślałam, że jesteśmy dla siebie już straceni — a jej ręce zamknęły się wokół jego ramion.

Tak będzie już zawsze między nimi, ta bliskość, to szorstkie pożądanie, ta natarczywość. To nigdy się nie skończy i nigdy nie będą mieli tego dosyć.

KONIEC